

Evelyn Anthony

**Nasionko
tamaryndowca**

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1996

Z angielskiego przełożył Lesław Ludwig

Tłoczono pismem punktowym dla niewidomych w Drukarni ZNiW Zn

Warszawa, ul. Konwiktorska 9

Przedruk z wydawnictwa "Graf", Gdańsk 1991

Pisała K. Kruk Korekty dokonały U. Maksimowicz i I. Stankiewicz

Prolog

Odesłał sekretarkę do domu.

Lubiła swą pracę, była niezwykle obowiązkowa i nigdy słowem nie protestowała, gdy trzeba było zostać dłużej w biurze. Często nazywał ją w myślach bezcennym nabytkiem, lecz tego wieczoru jej chęć pomocy po godzinach wywołała w nim złość.

Posprzeczali się o to, ale wyszedł z tej potyczki zwycięsko, został sam w swoim gabinecie. Odczekał jeszcze kilka minut chcąc upewnić się, że już poszła, podszedł do drzwi i przekręcił klucz. Za ochlapanymi mokrym śniegiem oknami panowały ciemności: zaciągnął zasłony i zapalił lampę na biurku. Było ono zavalone papierami i to właśnie ten bałagan zirytował jego sekretarkę. Uważała, że nie powinien chodzić z nimi po gmachu, by osobiście odnieść je do archiwum. Jednak te dokumenty zupełnie go nie interesowały, toteż odsunął je na bok, otwierając kluczem zawieszonym na łańcuszku u kamizelki środkową szufladę swego biurka.

Tylko on miał do niej klucz.

Wyjął teczkę oznakowaną czerwoną nalepką w lewym górnym rogu.

Umieścił ją pod lampą, po czym strona po stronie zaczął fotografować jej zawartość posługując się miniaturowym przedmiotem, który wcale nie przypominał aparatu.

W pewnej chwili przerwał tę czynność i zastygł w bezruchu, ponieważ ktoś szedł korytarzem koło jego gabinetu. Stał z oczyma utkwionymi w klamkę. Na myśl, że mógł zrezygnować z wieloletniego nawyku i nie zamknąć drzwi ogarnęła go chwilowa panika, znana z nocnych koszmarów. Jeśli kroki zatrzymają się i rozlegnie się pukanie, po czym drzwi się otworzą... Nikt jednak nie zapukał, nikt nie przekręcił klamki. Kroki minęły jego drzwi, a ich odgłos stawał się coraz bardziej stłumiony, aż zdał sobie sprawę, że to, co słyszy, jest biciem jego własnego rozdygotanego serca. W pięć minut dokończył dzieła i poukładał dokumenty w teczkę; dopiero wtedy podszedł do drzwi i upewnił się, że nic złego nie mogło go spotkać. Nacisnął klamkę i uśmiechnął się: były zamknięte. Nie zapomniał.

Kiedy wychodził z gabinetu, biurko było posprzątane, środkowa szuflada zamknięta na klucz, mało istotne dokumenty odniesione do archiwum, a teczka z czerwoną nalepką, oznaczającą "ściśle tajne", spoczywała w sejfie piętro niżej.

Rozdział pierwszy - Proszę państwa, zbliżamy się do Barbadosu. Za około dziesięć minut wylądujemy na lotnisku Seaways.

Pilot miał znudzony głos; dziecko w klasie turystycznej przestało płakać po raz pierwszy od dwóch godzin. Judith była tego pewna, ponieważ sprawdzała czas na zegarku; irytujące zawrodozenie nasiliło się teraz i nagle zamilkło, zupełnie jakby zdeorientowane niemowlę zrozumiało, że podróż zbliża się do końca. Z pewnością dziecko nie mogło przejawiać mniejszego entuzjazmu od niej. Inni pasażerowie pochylali się w stronę okien wykręcając szyje, by zobaczyć wyspę w otoczce błękitu oceanu. Judith Farrow zerknęła przez siedzącego obok pasażera i ujrzała mały skrawek lądu, niezwykle zielony w palącym słońcu. Na ten widok, niemal wbrew sobie, poczuła odrobinę zainteresowania, a nawet dreszczyk emocji.

Słyszała, że wyspa jest niezwyklej urody. Oddalona od pełnych gwaru większych wysp karaibskich, była oazą spokoju, uśpionym rajem, w którym ktoś taki jak ona mógł na nowo przemyśleć swe chaotyczne życie i spróbować zaprowadzić w nim jakiś ład. Miała dwadzieścia osiem lat, ale porządek jej życia uległ daleko posuniętemu rozkładowi, zamieniając się w bezkształtne, ohydne, odarte z godności bytowanie. Weź urlop - tę radę usłyszała od swego szefa, Sama Nielsona. Zostaw za sobą Onz, Nowy Jork, przyjaciół, codzienną rutynę.

Szef był dobrym człowiekiem, z którym łączył ją sympatyczny związek; on mógł wykazywać się nieszkodliwym paternalizmem w stosunku do kobiety niewiele starszej od jego córki Nancy - Judith dzieliła z nią mieszkanie.

Nancy, twarda, zdecydowana, równie mało sentymentalna wobec swoich licznych romansów co pierwszy z brzegu playboy, sugerowała to samo rozwiązanie: ucieczkę.

I chociaż Judith nie miała na to wielkiej ochoty, zrobiła tak jak jej doradzano. Sam i Nancy zapewniali ją, że po kilku dniach poczuje się lepiej, zobaczy wszystko z właściwej perspektywy. Zauważyła, że wyspa zniknęła pod skrzydłem podchodzącego do lądowania samolotu. Guzik prawda, że poczuje się lepiej. To bzdura, że urlop może przywrócić jej utraconą wiarę, złudzenia, szacunek do samej siebie. Z drugiej strony Nielsonowie mogą mieć rację; kiedy cztery lata temu spotkała ją życiowa tragedia, zdecydowała się na odcięcie się od swoich angielskich korzeni i rozpoczęcie nowego życia w Usa, Śmierć męża była dla niej katastrofą w prawdziwym znaczeniu tego słowa, to nie ulegało wątpliwości. W porównaniu z nią utrata mężczyzny, którego kochała i z którym żyła przez pół roku, była drobiazgiem. Jej romans z Richardem Patersonem nie zasługiwał na więcej niż dwutygodniowy okres rekonwalescencji.

Lądowanie przebiegło gładko; pasażerowie ustawiali się w kolejce do wyjścia. Niemowlę znowu się rozplakało. Judith była mężatką przez dwa lata, ale nigdy nie urodziła dziecka.

Nigdy nawet nie zaszła w ciążę.

Wyszła za Patricka Farrowa mając dwadzieścia dwa lata, on był człowiekiem zamożnym, pełnym uroku i poczucia humoru typowego dla Irlandczyków, miał wiecznie zieżaspokojony pęd do podróży, wyszukiwania nowych miejsc i "kolekcjonowania" nowych ludzi.

Judith stała się nowym nabytkiem w jego kolekcji, gdy udał się do Maroka, a ona mieszkała akurat w tamtejszej ambasadzie brytyjskiej. Jej wuj pracował tam jako radca, a Pata Farrowa poznała podczas kolacji wydanej przez ambasadora. W miesiąc później wzięli ślub i rozpoczęli dwuletni pościg po świecie. Z początku udawała, że jest szczęśliwa, że bawi ją ten styl życia. Fajnie było pojechać do Kenii, następnie złapać samolot z Mombasy do Nepalu, gdzie Pat już po tygodniu nudził się jak mops, a poza tym ktoś proponował właśnie wycieczkę do Tokio, by zobaczyć kwitnące wiśnie.

Farrow był hojny i czuły, ale nie mieli stałego domu, a nawet najbardziej luksusowy apartament hotelowy przypominał do złudzenia poprzedni, kiedy już nowość tej sytuacji przestała ją bawić. Nie ulegało jednak wątpliwości, że jej mąż był szczęśliwy. Był największym szczęściarzem na świecie, jak często oznajmiał wszem i wobec na kolejnym całonocnym przyjęciu, trzymając w jednej ręce kieliszek szampana, a drugą obejmując swą żonę.

Przyjechali na krótko do

Londynu, chcąc zdążyć na główną gonitwę sezonu i Judith zobaczyła się z ojcem, zostawiając Pata, by sam pojechał na wyścigi. Wracając z Newmarket wpadł swoim jensenem na tył zaparkowanej ciężarówki.

Zginął na miejscu.

Jej ojciec starał się być dla niej miły, ale był człowiekiem oschłym i zamknięty w sobie od czasu, gdy na początku małżeństwa porzuciła go żona; zbyt wiele uczuć kosztowała go ta dawna klęska życiowa, by zachował je dla swojej córki.

Tak więc Judith znalazła się w

Nowym Jorku z listem polecającym do Sama Nielsona od swego wujka, który tymczasem zamienił Maroko na Ottawę.

Brakowało jej Pata Farrowa; wydawało się jej niemożliwe, by taki ładunek energii i radości życia mógł zostać na zawsze unicestwiony; ale smutek ustępował miejsca poczuciu winy, ponieważ przestała kochać męża przed jego śmiercią.

Swój majątek podzielił równo między nią, a kobietę mieszkającą w Irlandii, która urodziła mu nieślubnego syna.

Judith nie mogła narzekać na brak pieniędzy, chociaż pozostawił jej skromniejszą sumę, niż sugerował to jego styl życia. Judith ubiegała się i otrzymała pracę osobistej asystentki

Nielsona, który pełnił obowiązki dyrektora jednego z wydziałów Sekretariatu Onz. Miało to miejsce cztery lata temu. Kilku mężczyzn miało ochotę na romans z nią, a pewien czarujący, ale śmiertelnie poważny prawnik z biura Nielsona oświadczył się jej. Wszystkim mówiła: "nie". I, co było dla niej typowe, kiedy w końcu powiedziała: "tak", zrobiła to wobec niewłaściwego faceta. Jej wybór kochanka okazał się równie pechowy jak wybór męża.

Gdy opuściła samolot, upalne powietrze otuliło ją szczerze ze wszystkich stron niczym koc, a słońce tak oślepiło, że musiała zmrużyć oczy. Otaczało ją kojące ciepło, przenikliwy upał, który można było znieść dzięki łagodnemu pasatowi utrzymującemu temperaturę na stałym poziomie i odbierającym tropikalnemu słońcu jego palący żar.

Lotnisko było bardzo małe, wyzbyte pośpiechu i frustracji zawsze kojarzących się jej z lataniem. Bagaż rozładowywano w żółtym tempie, pasażerowie posuwali się wolno przez kontrolę celną i paszportową, mijając tęgiego ciemnoskórego policjanta w białym tropiku, z baretkami na piersi, przypominającego wiejskiego konstabla. Wyglądało na to, że nikomu nie przeszkadza fakt, iż muszą czekać, chociaż na lotnisku nie było wolnocłowych sklepów ani innych wartych obejrzenia atrakcji dla turystów. Nagle, w sposób niemal cudowny, gorączkowe tempo życia w Ameryce zwolniło do tego stopnia, że niemal się zatrzymało.

Judith przeszła przez kontrolę celną i czekała na swoją torbę - w przeciwieństwie do większości kobiet nie lubiła zabierać ze sobą wiele bagażu; wystarczyła jej jedna walizka, w której miała zeszłoroczne letnie sukienki i dwa kostiumy kąpielowe. Wiedziała, że nie spotka tu nikogo znajomego i nie miała zamiaru opuszczać hotelu.

Richard Paterson dzwonił do niej w dniu jej wyjazdu. Telefon odebrała Nancy, która powiedziała mu, że Judith wyszła gdzieś na chwilę i odłożyła słuchawkę, zanim zdążył zapytać, dokąd. Teraz, kierując się w stronę wyjścia wraz z czarnym bagażowym niosącym jej walizkę, Judith poczuła ogromną ulgę.

Wszystko wyglądało tu inaczej i to od chwili lądowania.

Policjant w lśniącym białym mundurze spojrzał na nią i uśmiechnął się. Był młody - nigdy przedtem nie zauważyła, jakim wspaniałym okazem samca może być czarnoskóry mężczyzna.

Nie miał zbyt czarnej karnacji; chociaż ludność Barbadosu nie stanowiła takiej mieszanki rasowej jak na innych wyspach, niemniej nie była też czystej krwi, a piękny młody człowiek w stylizowanym na kolonialny mundurze był bez wątpienia wynikiem rasowej integracji pokolenia lub pokoleń przed jego narodzinami.

- Witamy na Barbadosie - powiedział. - Taksówki stoją tam.

- Dziękuję - odparła Judith.

Po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się. - Dziękuję bardzo.

Wyspa tonęła w kwiatkach.

Hibiskus, różowe i białe oleandry, wspaniałe purpurowe bugenwille pięły się po płotach i dachach, a najpiękniejsze z nich, szkarłatne poinsecje, zwykle oglądane w kwaciarniach w czasie Bożego Narodzenia w postaci strzelistych roślin, rozrastały się tu w płomienne krzewy wybuchające po obu stronach drogi feerią barw.

Taksówkarz mówił coś do niej przez całą drogę, ale jego gardłowy akcent praktycznie uniemożliwiał zrozumienie.

Judith zdołała wyłowić zaledwie kilka słów. A potem dojrzała morze: szafirowy błękit ze śnieżnobiałymi grzywaczami.

Palmy pięły się w niebo. Hotel okazał się kolejną niespodzianką. Składał się z szeregu małych bungalowów otoczonych bujnymi tropikalnymi ogrodami, jakie widziała wszędzie podczas jazdy z lotniska.

Basen, wypełniony wodą o barwie akwamaryny, iskrzył się na środku wyłożonego chodnikiem patio w otoczeniu jaskrawych kwiatów; wokół niego stały małe stoliki osłonięte

pasiastymi parasolami przypominającymi jakieś niesamowite gigantyczne grzyby, a czarny niczym smoła barman stał za barem potrząsając shakerem jakby grał na marakasach.

Wpisała się do księgi gości; zrobiło jej się bardzo gorąco.

Ubranie lepiło się do niej, a kiedy w lustrze za recepcją ujrzała swe odbicie, zaskoczona zdała sobie sprawę, że ta blada, zmęczona twarz w obramowaniu prostych brązowych włosów należy do niej.

Rozejrzała się po małym bungalowie; było tu dużo światła, białe ściany i jaskrawe perkalowe zasłony powiększały jeszcze to wrażenie. Balkon wychodził na plażę, a w sypialni mruczała cichutko klimatyzacja.

Ucieszyła się, gdy odkryła maleńką, całkowicie wyposażoną kuchnię. Weszła do łazienki, zrzuciła z siebie ubranie i wsunęła się pod prysznic pozwalając, by jej głowa i całe ciało nasiąknęły wodą. Jej biała skóra wydawała się nieatrakcyjna w porównaniu z brązowymi ciałami, jakie widziała rozłożone wokół basenu.

Strumienie wody smagały jej ciało i twarz, spływając obfitą strugą między piersiami.

Poczucie nagości przywiodło jej na myśl niechciane wspomnienia.

Zakręciła kran i owinęła się ręcznikiem. Zbliżenia fizyczne z Richardem Patersonem były ostatnią rzeczą, którą chciała teraz pamiętać. Wytarła się do sucha i poszła do sypialni.

Słońce właśnie zachodziło i na niebie pokazała się szara linia - posuwała się ku górze sprawiając wrażenie, jakby ktoś powoli zaciągał stopy. Wkrótce się ściemni. Poczowała się tak zmęczona, że rzuciła się na łóżko; przypomniała sobie o mokrym ręczniku, odrzuciła go na bok i przykryła się prześcieradłem. Może później zadzwoni, by coś jej przysłano - jakąś kanapkę i kawę.

Wciąż nie mogła się zdecydować, co zamówić, kiedy zasnęła.

Gdy obudziła się, wokół panowały absolutne ciemności, a fosforyzujące wskazówki jej zegarka wskazywały drugą w nocy.

Sąsiedni bungalow zajmował pewien mężczyzna, który o tej porze jeszcze nie spał.

Zauważył, że w ciemnych dotychczas oknach po prawej stronie rozbłysło światło; ich żółty blask rozświetlał mrok niczym latarnia morska. Właśnie zrezygnował z prób czytania, w długi czas po tym, jak przestał próbować zasnąć i wyszedł posiedzieć na balkonie z papierosem w ręce. Noc była pełna odgłosów; zaledwie o dwadzieścia jardów od niego morze uderzało o plażę, a z drzew rosnących wzdłuż piaszczystej linii brzegowej rozlegał się natarczywy, przenikliwy świst. Brzmiało to jak ptasi śpiew, ale rozpoznał w nim cykanie świerszczy i prozaiczny szum okiennych klimatyzatorów. To już druga noc, podczas której nie mógł zmrużyć oka. Sen nigdy nie przychodził do ścigającego.

Przez całe życie cierpiał okresy bezsenności; bez żadnego ostrzeżenia, bez widocznego związku z sytuacjami stresowymi, jakie nieraz były jego udziałem, przychodziły noce, kiedy nie mógł zasnąć. Równie nagle okresy takie mijały. Nauczył się akceptować tę przypadłość nie uciekając się do środków nasennych.

Nigdy przedtem nie był w

Indiach Zachodnich; bawiła go możliwość wyboru miejsca, które z typowym dla siebie ironicznym zacięciem nazywał kapitalistycznym rajem, utrzymywanym dzięki morderczej pracy czarnego proletariatu. Był przekonany, że wybór ten obrazi jego znajomych, niezwykle chętnych do krytykowania innych.

Lubił podrzucać kości niezgody swoim wrogom i oddalać się, podczas gdy oni wrywali je sobie zapamiętane. Siedział w ciemnościach paląc i rozmyślając, z oczami utkwionymi w błyszczący chaos gwiazd na niebie. Ludzie wyruszyli w nieskończoną przestrzeń odkrywając jej skończoność; pędem przelecieli obok gwiazd stwierdzając, że są niezamieszkałe i wstretne.

Ogromny biały księżyc został zbezczeszczoney: stanął na nim but astronauty. Wiedział, że nic już nigdy nie zostanie takie samo. Nie było niezmienności w dawnym sensie tego słowa,

stosowanym w odniesieniu do gwiazd. Wszystko podlegało zmianom; ludzie mądrzy cieszyli się z tego i starali się płynąć z prądem.

Inni stawiali opór hamując postęp swymi zwłokami. Było prawdą, pomimo swej gorzkiej ironii, że dzieci rewolucji stawały się najbardziej zatwardziałymi reakcjonistami, wyrazicielami postaw zdecydowanie wstecznych. Prąd zmieniał teraz kierunek; czuł rosnącą siłę tego procesu, chociaż odbywał się on pod powierzchnią. Mógł zabrać z sobą jakąś kobietę, ale nie miał na to ochoty. Jego ciało trzydziestodwuletniego mężczyzny było równie zmęczone jak jego spragniony snu umysł.

Nie miał problemów ze zdobywaniem kobiet; przychodziło mu to tak łatwo, że przestawało cokolwiek znaczyć. Sąsiedni bungalow wydawał się pusty; dopiero gdy w oknach zapaliło się światło, zdał sobie sprawę, że jest zamieszkały. Słyszał jakieś odgłosy; miał wyczulony słuch. Jego uszy wyłowiły hałasy towarzyszące chodzeniu po pokojach, trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Zapaliło się światło, zalewając balkon żółtym blaskiem. Drzwi rozsunęły się i wyszła przez nie kobieta, podeszła do barierki - przez chwilę wychylała się przez nią wpatrując się w czarne morze, na którego powierzchni szeroka, pomarszczona smuga światła zdawała się niknąć na horyzoncie. Trzymała się prosto i miała młode ciało; jej długie włosy opadały na ramiona. Nie mógł dojrzeć twarzy. Siedział bez ruchu w ciemnościach obserwując ją, ciałem zasłaniał czerwony ogień papierosa. Nadal zwrócona plecami weszła do środka. Szkoda, pomyślał. Świadomość, że o tej porze ktoś inny jeszcze nie śpi i znajduje się tak blisko, była kojąca.

Usłyszał, jak drzwi jej bungalowu zamknęły się i pomyślał zdziwiony, że wyszła na dwór. Po chwili rozległ się plusk. No pewnie: poszła popływać w basenie.

Na patio paliło się tylko jedno żółte światło nad zamkniętym barem. Nie było potrzebne, ponieważ ogromny biały księżyc tkwił na niebie w otoczeniu gwiazd. Spoglądając w górę Judith przypominała sobie każdy wyświechtany frazes na ten temat: księżyc niczym perła, gwiazdy jak brylanty; palmy uginające się na wietrze i cykające świerszcze. Te wytarte sentymentalne zwroty brzmiały nieprawdopodobnie, dopóki nie zobaczyło się tego na własne oczy. A wtedy nie sposób było opisać tego inaczej niż słowami, które uległy dewaluacji.

Skoczyła do basenu i zaczęła leniwie pływać, zajmując swój umysł zabawą w metafory, przy pomocy których próbowała jak najlepiej opisać tę noc.

- Dobry wieczór. Piękna noc. -

Ten dziwny akcent przypominał wymowę taksówkarza, chociaż nie był tak przesadny. Odwróciła głowę i ujrzała mężczyznę stojącego na skraju basenu. Na głowie miał płócienną czapkę, którą po chwili zdjął.

- Dobry wieczór - odparła. -

Jest pan tu nocnym stróżem?

- Tak, proszę pani.

- Przyjechałam wczoraj - wyjaśniła. - Nie mogłam spać.

Tak tu pięknie i ciepło.

- Tak, proszę pani. Jest ciepło, nie ma co. - Założył z powrotem czapkę, zsalutował jej latarką i oddalił się. Judith pływała dalej.

Mężczyzna z bungalowu wyszedł cicho zza domku i stanął w miejscu, z którego nie zauważony mógł przyglądać się postaci sunącej przez oświetloną taflę wody. Obserwował ją stojąc tam, aż wyszła z basenu. Mógł dobrze się jej przyjrzeć w tym świetle, gdy wycierała nogi i mocno nacierała ręcznikiem całe ciało.

Była młoda i miała ładną twarz.

Wrócił do bungalowu, zanim weszła na ścieżkę. W salonie miał butelkę whisky. To było jedyne amerykańskie przyzwyczajenie, jakiego się nabawił: wołał szkoocką od wódki.

Mógłby ktoś powiedzieć, że tu zaczęło się całe zło. Uśmiechnął się do siebie, napelnił do połowy szklaneczkę i wrócił na balkon. Światło obok zgasło.

W specjalnie wyposażonej ciemni fotograficznej na parterze ambasady sowieckiej pod numerem 1125 Szesnastej Ulicy w Waszyngtonie wywoływano właśnie rolkę mikrofilmu i robiono odbitki. Proces ten zabierał trochę czasu, a obserwowało go dwóch pracowników ambasady. Film zawierał trzydzieści stron maszynopisu na papierze kancelaryjnym z ręcznymi dopiskami; na powiększeniach widać było napisane większymi literami nagłówki; niektóre ze sfotografowanych listów pochodziły z Departamentu Stanu, inne z ambasady brytyjskiej; było też kilka notatek służbowych z Białego Domu.

Niższy i starszy z dwóch pracowników pochylił się nad kuwetą i przeczytał kilka zdań. - Świetnie - stwierdził. - Kolejny niezwykle ważny materiał.

Drugi mężczyzna był jego młodszym asystentem, porucznikiem wojska oficjalnie zatrudnionym w charakterze attach~e. Był o wiele młodszy i trzymał się trzy kroki za swoim przełożonym.

- Skopiujemy to i umieścimy w kartotece "Błękitnego", panie generale. - Świetnie - powtórzył generał Golicyn. Spojrzał na fosforyzującą tarczę swego zegarka. - Muszę już iść. Mam spotkanie z węgierskim ambasadorem. Zostaniecie tu aż wszystkie odbitki będą gotowe. Teczka "Błękitnego" ma leżeć na moim biurku jutro rano, o dziewiątej.

Wyszedł z ciemni; porucznik zasalutował mu, a laborant rzucił się, by otworzyć przed nim drzwi. Generał poszedł na górę do swoich pokoi chcąc przebrać się w mundur. W przeciwieństwie do zachodnich dyplomatów noszących zwykle ubrania cywilne, pracownicy ambasady sowieckiej, będący oficerami służby czynnej, nie stosowali się do tego zwyczaju.

Generał lubił swój mundur; na lewej piersi miał różnobarwne medale przyznane mu za lata spędzone w służbie swemu krajowi oraz kilka obcych odznaczeń.

Gotując się do wyjścia myślał o kartotece "Błękitnego".

Formalnie był szefem misji wojskowej; miał stopień generała i należał do starych, zaufanych członków nomenklatury. Ponieważ szef jego sekcji był nieobecny, on pierwszy zobaczył informacje przekazane im przez najważniejszego na półkuli zachodniej sowieckiego agenta.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry. - Judith przyzwyczaiła się do obecności swego sąsiada na balkonie, gdy wychodziła rano na śniadanie.

Przez pierwsze dwa dni nie odzywał się, właściwie nie zauważała go prawie, spędzając czas na plaży lub czytając na balkonie. Hotel pełen był ludzi mile spędzających czas; pary dołączały do innych par tworząc hałaśliwe grupki skupiające się przy barze i monopolizujące basen. Judith odrzuciła kilka prób wciągnięcia jej do tego grona. Do basenu chodziła jedynie nocą; nadal budziła się przed świtem i chodziła sama popływać w ciemności. Więcej rozmawiała z nocnym stróżem niż z jakimkolwiek z gości hotelowych.

Nie zauważyła nigdy, jak jej sąsiad co wieczór stoi w cieniu swego bungalowu obserwując ją.

Fakt, że nie mówił nic poza dzień dobry czynił go w jej oczach nieszkodliwym. On także unikał ludzi i jadał sam. Judith sprzeciwiła się, gdy zarządzający hotelem próbował posadzić ją przy wspólnym stole z dwoma kanadyjskimi matronami na wakacjach.

Dopiero tego ranka Judith po raz pierwszy dokładnie przyjrzała się swemu sąsiadowi.

- Chyba dzisiaj jest bardziej gorąco - ta próba kontynuowania rozmowy z jego strony przysłała całkiem nieoczekiwanie.

- Tak - przyznała. - Na to wygląda.
- Może padać. Trochę się tam chmurzy.
- Nie szkodzi, to nie potrwa długo.
- Wie pani, że nie należy chronić się pod tymi drzewami?
Odłożyła książkę. - Nie. Pod jakimi drzewami?

Był młodszy niż sądziła. Miał ciemną nerwową twarz o wydłużonych rysach, jasne oczy i wykrzywiony jeden kącik ust.

Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, że nie mogła wziąć z powrotem do ręki książki nie okazując tym samym lekceważenia; nie chciała być nieuprzejma. - Mówię o tych ciemnych drzewach tam dalej.

Noszą dziwną nazwę, której nie pamiętam. Ale jeśli zacznie padać i ktoś będzie stał pod nimi, to oparzy sobie skórę. Są bardzo trujące. Powinni byli panią o tym uprzedzić.

- Nie dałam nikomu tej szansy.

Od przyjazdu z nikim nie rozmawiałam.

- To tak jak ja. Przyjechałem tu, by znaleźć się z dala od ludzi. Pani też?

- Tak - przyznała. - Ostatnią rzeczą, na jaką mam ochotę, to znaleźć się w tym wesołym tłumie przy barze.

- Nie jest pani Amerykanką?

Kanadyjka?

- Jestem Angielką, chociaż być może mówię z lekkim akcentem; od trzech lat pracuję w Stanach.

- Co pani tam robi?

- Pracuję dla Onz - odpowiedziała. - Pan jest Rosjaninem, prawda?

- Fiodor Swierdłow. - Podniósł się; ciało miał opalone na ciemny brąz. Był wysoki i szczupły, miał na sobie szorty, a na nogach staroświeckie płócienne buty na sznurówki.

Wychylił się wyciągając rękę.

Judith potrząsnęła nią lekko.

Słyszała już o obsesyjnym zamiłowaniu Rosjan do ściskania dłoni. Było oznaką życzliwości, gdy od czasu do czasu potrząsali dłonią rozmówcy, zanim zrobili to jeszcze raz przy pożegnaniu.

Zachodni dyplomaci wiedzieli, że jeśli nie wymienili z kimś uścisku, oznaczało to, że mają z nim na pieńku.

- Ja też przebywam w Ameryce.

Pracuję dla naszej ambasady w Waszyngtonie. Pewnie zna pani Waszyngton.

- O tak. Znam. - Zupełnie jakby jej umysł był sceną i przez cały ten czas, przez cztery dni i noce, za kulisami czyhał Richard Paterson. Przy wzmiance o Waszyngtonie wyszedł na środek sceny. Judith wstała pospiesznie.

- Idę popływać - powiedziała.

- Zanim zacznie padać. - Świetny pomysł - odparł Rosjanin. - Pójdę z panią.

Nie mogła nic zrobić, by go powstrzymać.

Kiedy zaczęło wreszcie padać, pozostali w wodzie, wypływając w morze i powracając ku brzegowi na szczytach małych spienionych fal. Na dnie tkwiły kolonie koralu, które mogły poważnie pokaleczyć stopy. Ostrzegł ją przed nimi; odkryła, że go posłuchała i trzyma się od nich z daleka. Poczula, że jest zmęczona; Rosjanin pływał jak zawodowiec rozgarniając wodę długimi wyrzutami potężnych ramion. Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo sprawnym fizycznie. Położyła się na plecach dryfując. Przelotny deszcz osłabł i zupełnie ustał.

Natychmiast ukazało się słońce, niebo zamieniło się znowu w rozpalony błękit, a plażowicze pojawili się z powrotem na piasku niczym osy rzucające się łapczywie na jedzenie.

- Koniszał - Swierdłów podpłynął do niej. - Tak właśnie się nazywa.

- Co?

- To trujące drzewo. Napije się pani ze mną kawy, gdy wyjdziemy z wody?

Kiedy stanęli na plaży, złapał ją za ramię i pociągnął w swoją stronę.

- Tu są korale. Musi pani kupić tenisówki. Zawiozę panią do miasta przed obiadem. Jest tam sklep, w którym kupiłem swoje.

- Nie, dziękuję, wolę poleżeć na plaży - odpowiedziała Judith.

Puścił jej ramię i szedł obok niej. Pozwalał sobie na zbyt wiele. Rzeczywiście potrzebowała tenisówek, ale nie miała zamiaru jechać z nim do Bridgetown. Nie po to przyjechała do Barbados, by wdawać się w romans z nowym facetem.

- Zamówię kawę - powiedział

Swierdłów.

Leżała na płóciennym łóżku z uniesionym ramieniem, którym osłaniała oczy przed słońcem.

Nie słyszała, jak wrócił po miękkim piasku, a on szedł powoli, przyglądając się jej.

Nigdy nie przepadał za dużymi kobietami ani kobietami z obfitym biustem, które w jego ojczyźnie uważano za podniecające. Przyszło mu na myśl, że jego rodacy mają taką samą obsesję na punkcie postaci samicy_matki jak Amerykanie. Być może żadne z tych społeczeństw nie dawało dostatecznego poczucia bezpieczeństwa u samego zarania życia i stąd ta obsesja ssania piersi ukrywająca się pod postacią bodźca seksualnego.

Swierdłów uważał, że ciało tej

Angielki jest naprawdę piękne.

Było kształtne i delikatne, zabarwione na ciepły brąz, z białym paskiem wzdłuż miednicy, gdzie jej majteczki zsunęły się trochę. Stał nad nią przyglądając się jej.

- Jeśli poda mi pani rozmiar stóp, pojedę i kupię je pani - zaproponował. Usiadła; stał nad nią bez ruchu. - Nie będę się pani narzucał. Kupię pani buty, ale nie będę się narzucał. Nie warto poranić sobie stóp.

Popsułoby to pani urlop.

- Niech pan siada, niosą już naszą kawę.

- Dziękuję. Chciałbym wypić ją z panią. Jeśli nie przeszkadza to pani.

- Nie - odparła Judith. -

Pewnie, że nie. Miło z pana strony, że martwi się pan o moje buty. Przykro mi, jeśli byłam wobec pana nieuprzejma.

Nie był przystojny; niewielkie skrzywienie warg nadawało jego twarzy surowy wygląd, który zmieniał się całkowicie, gdy się uśmiechał.

- Nie była pani nieuprzejma - stwierdził. - Dała mi pani tylko znać, że zbyt się spieszę.

Rozumiem. Oto kawa. Poproszę o trzy łyżeczki cukru.

- Taki słodki z pana chłopak? - zapytała zdając sobie sprawę, że czuje się w jego towarzystwie odprężona. Niepokojące było, że starał się jej narzucić swoją wolę, tym bardziej że zareagowała na to w sposób tak naturalny. Był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Co pan robi w ambasadzie?

- Jestem attach~e wojskowym.

Współpracuję z generałem

Golicynem. Czy to nazwisko coś pani mówi? - Odpowiadając na jej pytanie, wpatrywał się w morze; odwrócił się, a w jego jasnoszarych oczach pojawił się ponownie ten intensywny wyraz, który sprawiał, że trudno jej było odwrócić wzrok.

- Nie. A powinno?

- Jest w Ameryce od blisko trzech lat. Mówiła pani, że zna pani Waszyngton.
- Znam kogoś, kto tam mieszka, to znaczy, pracuje. Czasami jeździłam tam na weekend i mieszkalam u przyjaciół. Nie obracam się w kręgach dyplomatycznych.

- To nic ciekawego - przyznał

Swierdłow, popijając kawę. -

Wciąż te same twarze.

Zapamiętałbym panią, gdybyśmy się tam spotkali. A co pani robi w Onz? Może to tajemnica i nie powinienem nic o tym wiedzieć? - Jego krzywy uśmiech naigrawał się z niej, ale kryła się w nim sympatia. Tak dobrze odgadł jej myśli, że Judith zaczerwieniła się.

- Jestem sekretarką, osobistą asystentką Sama Nielsona, który pracuje dla Sekretariatu Onz. W pracy nie mam do czynienia z żadnymi tajemnicami.

- Znam go - stwierdził

Swierdłow. - Kanadyjczyk, dyrektor Wydziału Prawnego.

Bardzo inteligentny facet. Jest przeważnie w stanie udowodnić, że jedna strona ma więcej racji od drugiej.

- To najbardziej bezstronny człowiek, jakiego znam - wystąpiła szybko w jego obronie.

- Myśli pani, że można być bezstronnym?

- To absolutnie konieczne w jego fachu. Sam nigdy nie opowiada się po czyjejsz stronie.

- Jest pani niezwykle lojalną asystentką - przyznał Swierdłow.

Jego stalowe spojrzenie złagodniało; naigrawał się z niej za to, że przybrała postawę defensywną.

Widać było, że bawi go ta sytuacja. - Ma pani ochotę na rosyjskiego papierosa?

- Nie, dziękuję.

- Zapewniam, że nie zawiera narkotyku - w jego sympatycznym tonie krył się wyrzut.

Wzruszyła ramionami. - Dobrze, o ile nie obudzę się na Syberii...

Pochylił się i zapalił jej papierosa.

- Ani nie znajdzie się pani w rękach Kgb - odpowiedział. - Jeśli teraz pójde sobie i zostawię panią w spokoju, czy usiądzie pani przy moim stoliku podczas obiadu?

- Cóż - zawahała się - nie wiem, może tak, skoro pan sobie tego życzy...

- Byłaby to dla mnie prawdziwa przyjemność - powiedział. - Jadę teraz do Bridgetown. Będę czekał na panią przy barze. - Skłonił się lekko i ponownie uścisnął jej dłoń. Ułożyła się wygodnie na łóżku, przeciągając się zmysłowo w rozkosznym cieple, i dokończyła mocnego papierosa.

Sytuacja była dość niezwykła.

Był pierwszym Rosjaninem ze

Związku Sowieckiego, jakiego poznała. Odszukała swą książkę w torbie plażowej i otworzyła ją; zapomniiała zaznaczyć miejsce, gdzie czytała, ale i tak książka nie była zbyt interesująca.

Attach~e wojskowy w

Waszyngtonie. Pewnie zna

Richarda Patersona. Tak więc im mniej będą o tym rozmawiać, tym lepiej. Teraz, kiedy Swierdłow odszedł, pożalowała, że zgodziła się zjeść z nim obiad.

Buty, które jej przywiózł, nie pasowały na nią. Gdy zeszła z plaży, czekał przy barze z papierową torebką w ręku. - Proszę je przymierzyć - powiedział. - Będziemy mogli po południu przejść przez kolonie koralowców.

Założyła jeden bucik zdając sobie od razu sprawę, że jest za duży.

- Głupio z mojej strony - wykrzyknął Rosjanin - że chciałem pani zrobić niespodziankę. Powinienem był zapytać o rozmiar. Te zupełnie nie pasują. Wymienię je po południu. Przykro mi!

- Proszę się nie fatygować. I tak miło z pańskiej strony, że zadał pan sobie tyle trudu...

Nie pozwolę, by ponownie jechał pan do miasta. Mogę wymienić je jutro sama. - Popatrzyl na nią, wzruszając ramionami; wydawał się zirytowany swą pomyłką.

- Nie wolno pani wypływać daleko w morze - ostrzegł ją. - Wśród skał są jeże morskie; przypominają jeże lądowe, ale ich ukłucia są bardzo trujące.

Musi pani mieć tenisówki.

- Jeśli będzie pan o tym jeszcze długo mówił, w ogóle nie wejdę do wody - rzuciła Judith.

Uczepił się tego tematu z uporem maniaka; jeśli ona nie zacznie mówić o czymś innym, gotów ciągnąć go przez cały obiad.

Najwyraźniej domyślił się, o czym myśli. - Nie powinienem urządzać pani wykładów - przyznał. Uśmiech powrócił na chwilę na jego twarz, dotknął jej ramienia, odwracając ją w kierunku wolnego stolika koło basenu. - Najpierw postawię pani drinka.

Kelnerzy niespiesznie zbierali zamówienia; Judith już przedtem zauważyła, z jaką swobodą poruszają się tubylcy; brak napięcia i tkwiącego głęboko poczucia pośpiechu przenikającego życie w Ameryce niczym prąd elektryczny.

Barbadoska obojętność wobec czasu nie niepokoiła jej; spokojnie czekała na posiłki, na kawę, na tacę ze śniadaniem o poranku, i nigdy nie przyszło jej do głowy, by okazać zniecierpliwienie. Zdziwiło ją, że gdy tylko siedzący obok niej mężczyzna uniósł rękę, natychmiast podszedł do nich ktoś z obsługi.

Swierdłow zamówił podwójną whisky, a dla niej poncz rumowy.

Z fascynacją i odrobiną niepokoju obserwowała, jak jednym haustem wlał w siebie alkohol.

Pojawił się ponownie ten sam kelner niosąc drugą szklaneczkę.

Swierdłow uniósł ją w jej stronę. - Polubiłem to w Ameryce. Whisky jest wysmienita, lepsza od wódki.

Judith nie mogła się powstrzymać: - Czy to nie zdrada?

- Zdrada stanu - zgodził się

Swierdłow. - Jeśli powiadomi pani o tym moich przełożonych, odeślą mnie do domu i zastrzelą.

A jak smakuje poncz? Lubi pani rum?

- Tutaj tak - odparła. - Ma inny smak. Sądzę, że należy go pić w słońcu.

- Słońce poprawia nie tylko smak trunków. - Nie czuł się tak dobrze od miesięcy, nie: dłużej, od roku... Bez znaczenia było, co mówi do tej dziewczyny. Mógł opowiadać dowcipy, mógł siedzieć w migotliwym blasku słońca i mówić wszystko, co mu przyjdzie do głowy. Oczywiście w określonych granicach. Pani Farrow była piękną kobietą; teraz, po wypiciu drinka, wyglądała na mniej nieszczęśliwą niż kiedykolwiek przedtem, gdy ją obserwował. Interesowało go jej zamknięcie się w sobie. Nie chciała z nim rozmawiać; zmusił ją do tego; zabawne byłoby dalsze zmuszanie jej do rzeczy, na które nie ma ochoty. Miał już plany na resztę tygodnia: zwiedzanie wyspy, wyprawa w morze na ryby, kolacja w dwóch innych hotelach, gdzie był rozeń i kabaret.

- Masz bardzo ładną sukienkę - powiedział.

- Ma już ponad rok. - Judith poczęstowała go papierosem.

Potrząsnął głową; wołał swoje. -

Po prostu spakowałam się i przyjechałam tu. Muszę przyznać, że bardzo tu pięknie. Ludzie są tacy mili.

- Milsi niż na innych wyspach - przyznał. - To jedna z ciekawych rzeczy dotyczących niewolnictwa. Albo czyni ono ludzi gwałtownymi i wrogo nastawionymi do innych, albo odbiera im ducha. Stają się wtedy pasywni, łatwo nimi kierować. Jak tutaj, na Barbadosie. Jamajczycy są zupełnie inni.

- Bez względu na wpływ niewolnictwa, był to ohydny proceder.

- Nasz lud żył w niewolnictwie do 1861 roku - powiedział Swierdłow. - Zastanawiam się, jaki wpływ miało na nas poddaństwo, jakiś socjolog powinien to zbadać. Najlepiej jeden z tych mądrych Amerykanów znających wszystkie skomplikowane terminy, ale nie potrafiących odpowiedzieć na żadne ze swoich pytań...

- Przekonałbyś się zapewne, że ich to nie interesuje.

Stwierdziliby, że nie ma tu czego udowadniać, ponieważ nic od tamtych czasów się nie zmieniło.

Odchylił się do tyłu ze śmiechem. - Bardzo dobre.

Potrafisz celnie odpowiedzieć.

Bardzo mi się to podoba.

- Niewiele brakowało, bym tego nie powiedziała - przyznała. - Ale jeśli będziesz kpił sobie z Amerykanów i Zachodu, ostrzegam cię, że odpowiem tym samym.

- Nie - uniósł do góry rękę. -

Nie, pokojowa koegzystencja, tak to się teraz robi. Proszę cię, nie wypowiadaj mi wojny. - Jego oczy wpatrywały się w nią badawczo; domagały się od niej odwzajemnienia spojrzenia i poświęcenia mu pełnej uwagi.

- Nigdy nie wypowiadałam nikomu wojny - powiedziała. - Należę do tych, którzy uciekają.

- Aha. Nie sądzę. Uważam, że byłaby z ciebie odważna i piękna obrończyni kapitalizmu.

Po raz pierwszy usłyszał jej nieskrępowany śmiech. Jedli obiad przy stoliku stojącym na skraju błękitnego basenu; on wypił parę kolejek whisky, a dla niej zamówił wino, na które nie miała ochoty. Popołudnie zrobiło się upalne; na krótki czas zaniknął wszechobecny wiatr od morza i powietrze stało się ciężkie i nieruchome. Większość gości udała się do bungalowów na sjeście; dwoje małych dzieci pluskało się w ciepłej wodzie basenu, a obserwowała je spoczywająca w cieniu matka, która zmagiała się z sennością.

Nagle Judith poczuła, że sama z trudem pokonuje chęć snu. Rum, wino, upał, wszystko to razem sprawiało, że miała wrażenie, iż jej głowa jest z ołowiu. Bolały ją kończyny. - Mam zamiar się położyć - powiedziała. - Czuję się taka zmęczona.

Wstał i wyciągnął rękę. -

Przykro mi z powodu butów.

Usiądziesz przy moim stoliku podczas kolacji dziś wieczorem?

- Jedynie pod warunkiem, że przestaniesz znowu przeproszać z powodu tych butów.

- Obiecuję. Będę czekał przy stoliku. Chyba że masz ochotę zawrzeć jakieś znajomości w barze. Wszyscy Kanadyjczycy będą chcieli ci stawiąć.

- Nie, dziękuję. Przyjdę do restauracji.

Obserwował ją jak odchodzi, wspinając się po kilku schodkach wiodących do bungalowów.

Postanowił nie iść za nią. Matka dwójki dzieci uniosła głowę i obserwowała Judith. Dołączył do niej jej mąż, układał się właśnie na leżance smarując olejkiem swe obfite ciało.

Swierdłow zdjął koszulę i usiadł w pełnym słońcu. Oparł się wygodnie i zamknął oczy.

Podobała mu się Judith - jest kobietą inteligentną i ma poczucie własnej wartości. Jej rezerwa bawiła go i nie mógł powstrzymać się od uszczypliwych uwag; zawzięcie atakował uprzedzenia, które - był tego pewien - tkwiły w jej umyśle niczym miny przeciwczołgowe.

Kierowała nim pokusa prowokowania nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciela? Na chwilę otworzył oczy, wpatrując się w palące żółte słońce. To piękna dziewczyna; wywoływała w nim pragnienie, by się z nią kochać.

Golicyn widziałby w niej wroga.

Ani razu nie pomyślał o generale od czasu, gdy poszedł z nią popływać tego ranka. Nie myślał też o swojej żonie.

Para Kanadyjczyków drzemała w cieniu plażowych parasoli, ich dzieci wykrzykiwały coś do siebie w basenie. Mężczyzna przyglądał się Swierdłowowi, gdy ten mijał go w drodze na plażę.

Obserwował, jak wchodzi do wody i wypływa w morze.

- Zauważyłaś tych dwoje podczas obiadu? - mruknął do żony.

- Aha - odpowiedziała nie podnosząc wzroku znad książki.

- Szybko się zgadali.

- Tak - odparła. Jej mąż był człowiekiem gadatliwym, a ona lubiła długie dosadne powieści pornograficzne pełne wymęczonych opisów z dziedziny ludzkiej anatomii.

- Jest taki upał. Dlaczego się nie zdrzemniesz?

Rozdział drugi - Rachel, jeśli się nie pośpieszysz, spóźnimy się. - Richard Paterson starał się nie okazać irytacji. Wybierali się na przyjęcie w ambasadzie francuskiej. Jego żona spędzała zawsze długie godziny na przygotowaniach i ta jej cecha wyprowadzała go z równowagi.

Uważał, że niepunktualność świadczy o braku wychowania, niechlujstwie i bezmyślności.

Podszedł do drzwi sypialni i obserwował ją. Odwróciła się stojąc przy komodzie, w której szukała czegoś, i uśmiechnęła się do niego. Była ładną kobietą o jasnych włosach, świeżej cerze, w typie Angielki. Świetnie prezentowała się w zwykłych ciuchach, ale nie ekstrawaganckiego tak naprawdę nie pasowało na nią. Niestety, z isticie kobiecym uporem, lubiła rzeczy nieodpowiednie i folgowała temu upodobaniu, kiedy wychodzili gdzieś wieczorem.

Richard miał dobry smak i skrzywił się na widok blasku ozdób z paciorków na tle koktajlowej błękitnej sukni o odcieniu typowym dla niemowlęcych becików.

- Już idę, kochanie. Szukam tylko chusteczki. Jest dopiero wpół do siódmej.

- Ambasador lubi pojawiać się o siódmej - rzucił zniecierpliwiony. - Nie chcę po prostu przyjść w tej samej chwili. Na miłość boską, chodźże już. Nie masz przy sobie chusteczek higienicznych?

W pośpiechu wbiła się w płaszcz i zeszła za nim po schodach do drzwi wejściowych. W czasach, kiedy mieszkali w Londynie, on pracował w Ministerstwie Lotnictwa, taka wymiana zdań zakończyłaby się kłótnią, w wyniku której ona zostałaby w domu tonąc we łzach.

Ale wiele rzeczy zmieniło się od czasu, gdy przyjechała do Stanów i zaczęła dokładać wszelkich starań, by ich małżeństwo funkcjonowało normalnie. Po dwóch pierwszych latach zaczęli sobie działać na nerwy; kiedy nie zasypywali się zarzutami, zajmowali się swoimi sprawami - ona zamykała się w kręgu rodziny i przyjaciół, jego coraz bardziej absorbowała praca.

Kiedy otrzymał awans na pułkownika lotnictwa i zaproponowano mu stanowisko w Waszyngtonie, perspektywa zostawienia za sobą domu i wyjazdu z mężem do nie znanego kraju wydawała się jej nie do zniesienia. Niewłaściwie oceniła sytuację, stawiając go przed wyborem: albo wyjazd do Stanów, albo dalsze wspólne życie.

Wybrał Waszyngton. Kiedy wyjechał, stosunek do niej kręgu, w którym się obracała, nie był przychylny. Rodzina i znajomi czynili niedwuznaczne uwagi o biednym samotnym Dicku, aż zaczęła czuć się fatalnie, prześladowana poczuciem winy. W dodatku tęskniła za nim. Mijały miesiące, a jej życie bez męża wydawało się pozbawione celu; ich elegancki mały domek w Londynie bardziej niż zwykle przypominał pustą bombonierkę.

Tak więc Rachel, przy aprobacie rodziny, wysłała telegram i wsiadła do samolotu lecącego do Waszyngtonu.

Okazało się, że postąpiła właściwie. Teraz, nosząc w sobie jego dziecko i powoli poznając nowych ludzi w Waszyngtonie, a nawet zawierając kilka efemerycznych przyjaźni, była w stanie znosić jego humory; grzecznie tolerowała nawet jego cotygodniowe wyprawy do Nowego Jorku. Dostała nauczkę i potrafiła wyciągnąć z niej wnioski. Był człowiekiem trudnym w pozyciu: samolubnym, drażliwym, zimnym. Kochała go jednak, a za kilka miesięcy będzie miała dziecko wymagające troskliwej opieki.

Nie byłby w stanie sprowokować kłótni, nawet gdyby miał ten zamiar. Rzecz jasna nie wiedziała nic o Judith Farrow.

- Przepraszam cię, że tak długo to trwało. - Zwróciła się ku niemu w samochodzie i ścisnęła go za ramię. - Przyznasz, że wszystko wygląda tak pięknie na świeżym śniegu.

- Tak - zgodził się. - Bardzo pięknie.

- Pani Stephenson zaprosiła mnie na obiad w przyszłym tygodniu - oznajmiła.

Zadziwiało go i jednocześnie cieszyło, że ludzie lubili jego żonę. Nawet najbardziej niesympatyczne spośród żon dyplomatów, włącznie z małżonką pierwszego sekretarza ambasady Fergususa Stephensona, akceptowały ją, uważając za istotę czarującą, aż czuł się zobowiązany sam jej się lepiej przyjrzeć. Kłopot w tym, że wciąż myślał o Judith; za każdym razem, kiedy się z nią spotykał, jego żona wydawała się nijaka, sztuczna i pretensjonalna jak okropny pekińczyk, którego kazał się jej pozbyć tuż po ślubie.

- Musisz być dla niej niezwykle miła. Mówi się, że Stephenson ma objąć ambasadę w Paryżu. To błyskotliwy facet.

- Bądź spokojny. Nie palnę żadnego głupstwa. Pamiętaj, że odebrałam staranne wychowanie, przygotowujące mnie do roli żony dyplomaty. Jesteśmy na miejscu, a jest dopiero za pięć siódma.

Zdążyliśmy, prawda?

- Tak - zgodził się Richard. -

Tylko proszę cię: oddaj płaszcz i nie zacznij pudrować sobie nosa.

Ambasada francuska mieściła się w wielkim eleganckim budynku na Kalorama Road; Richard wraz z żoną minęli witających ich dyplomatów, wymieniwszy uścisk dłoni z ambasadorem i jego atrakcyjną żoną, po czym wmieszali się w tłum gości w głównym salonie recepcyjnym.

Zdążyli przebić się przez pierwszy szereg, kiedy zaanonsowano ambasadora brytyjskiego. Richard podszedł do grupki ludzi, których Rachel nie знаła. W pole widzenia wtoczył się ogromny Holender, jeden z pierwszych sekretarzy swojej ambasady; jego zwisające podbródki podskakiwały nad kołnierzykiem, gdy kiwał swą wielką głową z boku na bok.

- A, pan pułkownik, szukałem pana. Chcę przedstawić panu naszego nowego attaché wojskowego. Sympatyczny z niego człowiek - na pewno zaprzyjaźnicie się. Proszę ze mną, on stoi tam, obok ambasadora Niemiec Zachodnich.

Gdy mijali grupki gości, mówił do niego przez ramię.

- A przy okazji - zaczął - nie widzę tu Swierdłowa. Nie widział go pan?

- Nie. Chyba nie. - Paterson instynktownie zeszytniał.

Unikał kontaktu ze wszystkimi

Rosjanami i ludźmi z bloku wschodniego. Nie chciał, by ktoś mógł wygrzebać kiedyś jakąś niewłaściwą znajomość tego typu i wskazać go palcem.

- Czy to takie istotne, że go nie ma?

Holender wzruszył ogromnymi ramionami. - Nie. Zwróciłem na to uwagę, ponieważ gdziekolwiek pojawia się generał Golicyn, tam zwykle spotkać można pułkownika Swierdłowa. Przypominają dwie gwiazdy z gwiazdozbioru Bliźniąt - chociaż może to nie najbardziej odpowiednie porównanie. O, tam jest Jack Loder.

- Chciałbym poznać waszego attaché - wtrącił Paterson. - Chodź z nami, kochanie. - Wziął Rachel pod rękę. Nie miał ochoty rozmawiać z Jackiem Loderem ani też narzucać jego towarzystwa swojej żonie. Jego zdaniem facetowi tego pokroju nie powinno się nigdy pozwolić awansować ponad stanowisko kancelisty w ambasadzie pierwszej kategorii, do jakich zaliczała się waszyngtońska placówka.

Loder przebywał w Waszyngtonie od roku. Przybył tu w lutym ubiegłego roku, pośród wielkich mrozów, by zająć stanowisko oficera łącznikowego w wydziale planowania. Poprzednio pracował w Delhi, gdzie oficjalnie był doradcą attaché handlowego; jeszcze

przedtem spędził pół roku w ambasadzie w Bonn biorąc udział w programie wymiany kulturalnej. Wszędzie inni pracownicy placówek unikali go.

Nikt nie lubi szpiegów; Loder odkrył tę prawdę na początku swojej kariery. Podobnie jak policjanci, szpiedzy czuli się swobodnie wyłącznie w swoim własnym towarzystwie.

Brak popularności nie martwił go; lubił swą pracę, a trudno było mieć i jedno, i drugie. Nie miał zbyt ujmującej prezencji; był niski i żylasty, miał źle poskładaną twarz i kiepskie zęby kojarzone z nędznym robotniczym pochodzeniem. Miał pecha, ponieważ natura obdarzyła go rudymi włosami, w związku z czym jego niezdarne rysy nakrapiane były piegami, a zapuchnięte różowe powieki osłaniały oczy o barwie piasku. Wyglądał jakby tęgo pił, chociaż tak naprawdę był abstynentem. W Delhi, po tym jak opuściła go żona, zaczął pić w ilościach kwalifikujących go na alkoholika, chociaż nikt go nigdy o to nie podejrzewał ani nie mógł twierdzić, że widział go pijanego. Nie trzeźwiał miesiącami. Nie cierpiał wcale tak bardzo z powodu odejścia żony; oddalili się od siebie po wojnie. Podobnie jak w przypadku innych małżeństw zawartych w pośpiechu, jego fundamenty były kruche i kiedy go zostawiła, specjalnie za nią nie tęsknił.

Brakowało mu jednak dzieci. Miał dwunastoletniego syna i dziesięcioletnią dziewczynkę - właśnie zaczął odczuwać radość z ich towarzystwa, a one dawały mu rzadkie poczucie zrozumienia.

Odległość między nimi działała na jego niekorzyść; oni byli w Anglii i jedyny kontakt stanowiły pisane od czasu do czasu niezbyt wymowne dziecięce listy. Nigdy przedtem nie zdawał sobie sprawy z bólu towarzyszącego samotności. Kiedy incydenty graniczne między Indiami a Chinami przerodziły się w kryzys o międzynarodowym zasięgu, a chińska inwazja wydawała się nieunikniona, nagle wziął się w garść. Przestał pić i zabrał się solidnie do pracy.

Od tego czasu nie tknął niczego, co zawierałoby alkohol, nawet piwa. Wina nie lubił; tam skąd pochodził, uważano je za damski trunek, podobnie jak porto.

W ciągu ostatnich miesięcy w

Delhi wyróżnił się wybitnymi osiągnięciami w pracy wywiadowczej. Ambasador, mimo że był straszliwym snobem, wystawił mu takie rekomendacje, iż otrzymał wysokie stanowisko w Waszyngtonie. Z punktu widzenia życia towarzyskiego uważał to miasto za niezwykle nudne, tak prowincjonalne jak tylko może być miejsce ograniczone do jednej warstwy społecznej, choćby była ona nie wiadomo jak ważna. Dyplomaci trzymali się z dyplomatami; jeśli cokolwiek nudziło go bardziej od towarzyskiego kręgu brytyjskiego Msz, to był to cyrk obracający się wokół Białego Domu i Senatu.

W dodatku uważał Amerykanów za istoty z innej planety. Ukończył uniwersytet w Midlands z wyróżnieniem, lecz pomimo tej intelektualnej zaprawy był człowiekiem o ograniczonych horyzontach, charakteryzującym się naturą podejrzliwą i zaściankową. Nie rozumiał Amerykanów i nie miał zamiaru próbować tego zmieniać.

Wykonywał po prostu swoją pracę ze smykałką i sprawnością, które pomagały mu przezwyciężyć jego osobiste minusy.

Akurat w tym momencie Loderowi udało się wyrwać nudnemu radcy handlowemu z Austrii, który z desperacją usiłował omówić z nim możliwość zorganizowania targów anglo_austriackich w Wiedniu.

Odszedł od niego pospiesznie, a

Austriak pozostał na miejscu z czerwoną twarzą, rozglądając się za nowym rozmówcą. Loder nie znosił przyjęć, ale skrupulatnie chadzał na wszystkie. Lubiał wiedzieć, co w trawie piszczy; w tej chwili coś zaczęło kłuć go w szyję wokół kołnierzyka, niczym tik nerwowy. Znał to uczucie.

Inni ludzie miewali przecucia; w nim skóra reagowała, gdy coś było nie w porządku. Wspaniałe zgromadzenie, ironizował po cichu naśladowując akcent brytyjskich klas wyższych.

Wszyscy tacy dystyngowani: małżonki dyplomatów ubrane elegancko, ambasador francuski pełen czaru, a Madame jak zwykle w znakomitej formie. I tak właśnie powinno być; nie miał pojęcia, ile mogą kosztować jej ciuchy. Zatrzymał kelnera biorąc z tacy szklankę soku pomarańczowego. Właśnie dostrzegł Richarda Patersona i kierowany chęcią dokuczenia mu trochę, ruszył w jego stronę. Żona pułkownika należała do tych kobiet, do których czuł prawdziwą odrazę. Jasnowłosa, głupiutka dziwka w typie: "Tatus jest marszałkiem lotnictwa", o głosie przypominającym wiertło dentystyczne i małych cyckach.

Gdy tylko tu przyjechała, sprawiła sobie dzidzię, o czym nie omieszkiała powiadomić całej ambasady. Zauważył, że wyraz twarzy Patersona uległ zmianie, gdy go zobaczył, i jego własną twarz wykrzywił ironiczny grymas. Loder wiedział wszystko o cotygodniowych wyprawach do Nowego Jorku; do jego obowiązków należało mieć wszystkich na oku.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Tłoczno tu, prawda?

- Tak, bardzo. - Rachel

Paterson przysunęła się bliżej męża. Spotkała tego niezbyt sympatycznego człowieka parę razy. Uważała go za prostaka, a sposób, w jaki się jej przyglądał sprawiał, że czuła się nieswojo. Nie miała pojęcia, co taki człowiek robi w Msz, ale ostatecznie wiele się zmieniło ostatnio. Ludzie przychodzili tam do pracy dosłownie zewsząd. Ten obrzydliwy środkowoangielski akcent stawał się czymś powszechnym. Prowadzenie rozmowy pozostawiła Richardowi.

- Jak się ma Van Ryker? - spytał Loder. - Widziałem, jak z nim rozmawiałeś.

- Jest w dobrej formie - odparł Paterson.

Nastąpiła cisza świadcząca dobitnie o chłodnym stosunku pułkownika.

Wtedy otworzyła usta żona

Patersona; zauważyła niezręczność sytuacji i uznała, że powinna coś powiedzieć. - Zdaje się, że szukał kogoś, czyż nie, kochanie - jakiegoś Rosjanina...

- Tak? - Loder czekał na ciąg dalszy.

- Swierdłowa - wtrącił

Paterson. - Nie widział go tutaj. Powiedziałem mu, że ja też nie.

- Tak? - powtórzył Loder. -

Teraz, gdy o tym wspomniałeś, ja też go nie zauważyłem. - Wsadził pulchny paluch pod kołnierzyk i podrapał się. Szyja swędziała go jak diabli. - Przepraszam was - powiedział oddalając się.

Człowiek, którego szukał, stał z grupką ludzi, mówiąc coś do żony senatora. Loder poklepał go po plecach.

- Komandorze Buckley.

Amerykanin odwrócił się, sprawiając wrażenie zadowolonego ze spotkania, i zaczął przedstawiać go zgromadzonym koło niego gościom. Loder przerwał mu szepcząc coś na ucho. Nie przyszło mu do głowy, że to niezbyt uprzejmie. - Chciałbym zamienić z panem kilka słów. Proszę wziąć z sobą drinka.

Komandor z gracją przeprosił swe towarzystwo; był emerytowanym oficerem marynarki wojennej znanym z uroku osobistego. Kobiety w różnym wieku lubiły go; jego podwładni nazywali go najbardziej chamskim skurwysynem, jaki kiedykolwiek zajmował stanowisko starszego rezydenta CIA w Waszyngtonie i nienawidzili go jak jeden mąż.

Przesunęli się tak, że nikt nie mógł ich słyszeć. Buckley wziął kieliszek szampana od przechodzącego obok kelnera.

- Co cię trapi, Jack?

To jeszcze jeden amerykański zwyczaj, który działał mu na nerwy. Jeden uścisk dłoni i już było się ze wszystkimi po imieniu. Z premedytacją używał stopnia Buckleya.

- Nie ma Swierdłowa. W zeszły wtorek nie było go także u Belgów. Holendrzy dopytują się o niego. Co jest grane? Gdzie on się, do diabła, podziewa?

Komandor nie wyglądał na zbitego z tropu. - Miałem zamiar zadzwonić jutro do ciebie do biura. Swierdłow wyjechał z kraju. Zakładamy, że chodzi o wakacje.

- Aha. - Twarz Lodera poczerwieniała, podkreślało to jego brzydotę, gdy okazywał złość. - Cóż, gdybyście łaskawie przekazywali nam od czasu do czasu takie informacje, moglibyśmy podejmować sami jakieś działania. Dowiedziałem się o tym przypadku dopiero dzisiaj. Swierdłow jest ich najważniejszym człowiekiem.

Przecież wy macie ich wszystkich pod stałą obserwacją - dlaczego nie powiadomiono mnie o tym wcześniej - komandorze Buckley?

Tak się nie postępuje.

- Przykro mi. - Amerykanin powiedział to pojednawczym tonem. Nie miał ochoty na kłótnię z tym drażliwym skurwysynem. W dodatku Loder miał rację. W przypadku gdy Rosjanin o pozycji Swierdłowa wyjeżdżał z Usa, szefowie wywiadów pozostałych państw Nato mieli prawo o tym wiedzieć. Komandor celowo zwlekał z powiadomieniem ich; jego sprzeciw jako zawodowca budziło przekazywanie informacji za darmo, nawet gdy chodziło o sojuszników. - Wygląda to na zwykły urlop, nic ponadto.

Polecał na Wyspy Karaibskie - na Barbados.

- Chyba pan żartuje! - Loder był autentycznie zaskoczony. - Oni nigdy nie spędzają urlopu gdzie indziej niż w domu. Na pewno coś knuje.

- Pewnie zakłada tam bazę rakietową - zażartował Buckley.

- Akurat. Nie uważa pan, że został odwołany, a Karaiby są tylko zasłoną dymną? Tam stoi ten cap Golicyn; nie sądzi pan, że on objął jego stanowisko?

- Mało prawdopodobne. -

Komandor Buckley zerknął w kierunku grupki Rosjan, w której centrum stał generał, po czym z powrotem zwrócił wzrok na Lodera. - Jest za stary. Jeśli Swierdłow się wycofuje, jego zastępca z pewnością jest już na miejscu.

- A my nie wiemy, kto nim, u diabła, jest; Jezu, ale głupia sytuacja.

- Jak wspomniałem, nie ma powodu do niepokoju. Swierdłow pojechał na urlop, może chciał się z kimś spotkać. Nie wiemy tego na razie, ale władze Barbadosu mają go na oku - wcale nie są zachwycone, że on tam przebywa, ale nie mogły nic na to poradzić. Uważam, że wróci tu po wakacjach.

- Miejmy nadzieję - Loder rzucił kwaśno. - Powinien pan wiedzieć lepiej. Będę wdzięczny za bieżące informowanie mnie o wszystkim.

- Oczywiście - komandor szykował się do odejścia. - Na pewno, Jack. Zadzwonię, gdy tylko czegoś się dowiemy, a ty obiecaj mi to samo.

- Gdy tylko otrzymamy jakieś informacje, dam panu znać. - Loder nie czekał, aż komandor go opuści, ale pierwszy ruszył, przepychając się przez tłum w kierunku drzwi. Swierdłow wyjechał ze Stanów i zaszył się na karaibskiej wyspie - to coś zupełnie niezwykłego. Przebywał w Usa od trzech lat; zidentyfikowanie go jako szefa Kgb w ambasadzie sowieckiej zajęło połączonym wywiadam państw zachodnich osiemnaście miesięcy. Był błyskotliwym agentem; podobnie jak inni wyżsi oficerowie nie pojawiał się zbyt często w towarzystwie; krąg koktajli i szukanie przypadkowych kontaktów pozostawiano młodszym pracownikom podającym się za attach~e handlowych. Sowieccy oficerowie na stanowisku Swierdłowa nigdy nie podróżowali do takich miejsc jak Barbados i nie wylegiwali się na słońcu bez powodu. Nie będę w stanie spać tej nocy zastanawiając się, co to do licha może być za powód, pomyślał Loder.

Pod koniec tygodnia Loder udał się na nieformalne spotkanie przedstawicieli wywiadów państw Nato zorganizowane przez komandora Buckleya. Odbywało się ono w biurze Buckleya w Georgetown, mieszczącym się w jego prywatnym domu, w atrakcyjnej starej

willi ekskluzywnej dzielnicy zamożnych rezydencji. Buckley oficjalnie piastował godność głównego doradcy Rady do Spraw Emerytów i Kombatantów Marynarki Wojennej.

W gruncie rzeczy miał do swojej dyspozycji duży kompleks biurowy na Pennsylvania Avenue i wprost nieograniczone fundusze i środki, ale kameralne spotkania wolał odbywać w swoim domu.

Holendrzy, reprezentowani przez

Van Rykera, Francuzi, Belgowie i inni związani kruchym sojuszem przeciwko blokowi wschodniemu siedzieli wokół stołu na wysoki połysk, paląc papierosy i częstując się drinkami oraz resztkami z zeszłotygodniowych przyjęć, jak pogardliwie określił te kanapki i sałatki Loder. Celem spotkania było podzielenie się najnowszymi informacjami na temat działań pułkownika Swierdłowa.

W oczach Amerykanina dał się dostrzec nieprzyjazny błysk, kiedy układając przed sobą dokumenty zerknął na Lodera.

Anglik wyczuwał nieprzychylną atmosferę domyślając się, że Buckley wygrzebał coś na niekorzyść jego brytyjskich sojuszników. Pod nosem nazwał go używając wulgarnego terminu z dziedziny anatomii.

- Otóż, panowie, mam tutaj obszerny raport, jak nasz przyjaciel Swierdłow spędza czas na słończku. Chciałbym w tym miejscu powiedzieć, jak wiele zawdzięczamy rządowi Barbadosu, który udzielił nam daleko idącej pomocy.

Nikt się nie odezwał. Loder zapalił papierosa i czekał.

- Jak dotąd - kontynuował komandor monotonnym głosem - nie uczynił on niczego podejrzanego.

Zachowuje się jak każdy przeciętny facet na urlopie poza sezonem. Dorobił się nawet przyjaciółki. - Przesunął po nich wzrokiem zatrzymując go na Loderze.

- Ona jest Angielką - stwierdził z wyrzutem. - Mieszkają w tym samym hotelu i co wieczór on zaprasza ją na kolację i drinki.

- Ma pan jej nazwisko? - zapytał Loder.

- Oczywiście. - Komandor zerknął w swoje papiery. - Judith Farrow. Wdowa.

Zatrudniona u Sama Nielsona w charakterze jego prywatnej asystentki.

- O Jezu - powiedział Loder do siebie. Paskudna sprawa. Wcale mi się to nie podoba.

- Myśli pan, że po to tam pojechał; skontaktować się z nią?

To odezwał się Holender, Van

Ryker.

- Być może. Nielson zajmuje delikatne stanowisko i ma do czynienia z tajnymi papierami.

Ta kobieta musi mieć dostęp do wielu superważnych dokumentów.

- Wydaje mi się - wtrącił

Loder - że Swierdłow jest zbyt grubą rybą, by udawał się taki kawał drogi dla poderwania czyjejs osobistej asystentki. W tym celu mogli posłać jednego ze swoich przystojniaczków.

- Zgadzam się z tobą - stwierdził łagodnie Buckley. - Chodzi zapewne o zbieg okoliczności, ale jest on dość niefortunny.

- Niekoniecznie - agresywnie przerwał mu Loder. Siedział na gołej gałęzi, a ten skurwiel z Cia zamierzał właśnie potrząsnąć drzewem. - Nie zachowujmy się tak, jakby ona już przekazywała mu jakieś tajemnice.

- Nikt tego nie sugeruje - zaprotestował Buckley. - Ale, rzecz jasna, musimy wyprzedzać bieg wypadków.

- Uważam, że to moje zadanie - stwierdził Loder. - Skoro Swierdłow kontaktuje się z poddaną brytyjską, biorę na siebie pełną odpowiedzialność za nią. To mój obowiązek.

- Miałem taką nadzieję - komandor znów przybrał przyjacielski ton. Utał Angolowi nosa, a o to właśnie mu chodziło. Sis i Cia mogą współpracować, ale istnieje między nimi powszechnie znana rywalizacja. Firma Buckleya była obiektem wymyślnych angielskich

dowcipów z powodu jej wcześniejszych wpadek. Te szyderstwa nie zostały jeszcze zapomniane ani w pełni spłacone.

Loder miał ochotę dać mu w mordę, ale nic nie powiedział.

Przed chwilą zobowiązał się do czegoś, ale chociaż komandor może sądzić, że zdobywa punkty, nie wziął pod uwagę rzeczy najważniejszej. Ulga z powodu tego niedopatrzenia zamknęła mu usta przez resztę spotkania. Nie ulega wątpliwości, że pani Farrow jest osobistą asystentką Nielsona i ma dostęp do supertajnych informacji. Ale jest również kochanką pułkownika Richarda Patersona, starszego attach~e ds. lotnictwa w brytyjskiej ambasadzie w Waszyngtonie. Buckley miałby prawdziwą uciechę, gdyby o tym wiedział. Dla kobiety z takim wartościowym podwójnym kontaktem w Onz i w samej ambasadzie nawet Swierdłow mógł pofatygować się na Barbados. Opuścił spotkanie przygnębiony. Bywały dni, kiedy oceniał sytuację na świecie i widział jedynie sukcesy strony przeciwnej.

W Wielkiej Brytanii człowiekowi takiemu jak Swierdłow odebrano by możliwość awansu. Nie dano by mu pracy odpowiadającej jego talentom; zapewne zesłano by go na jakieś zasrane stanowisko w sercu Afryki albo odsunięto na boczny tor zagrzebując w papierkach.

Pomyślał nagle, że być może frustracja z tego powodu rodzi zdrajców w tym fachu. Ludzie potrzebują bodźca; o ile są w czymś dobrzy, najłatwiej złamać ich nie pozwalając im tego robić.

Miał własną koncepcję, jak postępować ze Swierdłowem i jemu podobnymi, ale te metody skończyły się wraz z końcem wojny. Nikt teraz nie ginął przypadkowo pod kołami samochodu ani nie wypadł oknem. Gdy tylko Stalin ogłosił zimną wojnę i uczynił z Zachodu zakładnika, powrócono do zabawy w dżentelmenów.

Loder był chory z tego powodu.

Wracając do domu jechał powoli; na dworze zrobiło się paskudnie i wszystko zamarzło. Śnieg zniknął. Wszystko pokrywał lód i kiedy nadejdzie odwilż, ulice spłyną wodą. Praca absorbowała go bez reszty - ludzie, którzy go nie lubili, twierdzili, że wręcz obsesyjnie, ale kiedy wracał wieczorem do swego pustego mieszkania, boleśnie odczuwał samotność.

Właśnie w takich chwilach tęsknił za dziećmi. Od dwóch tygodni nie miał od żadnego z nich listu. Z goryczą pomyślał o swojej żonie; powinna dopilnować, by regularnie do niego pisywały. Kiedy był w Delhi i opadał go podobny nastrój, zwykł się upijać.

Poszedł do kuchni i zaparzył herbatę. Innym minusem życia w Ameryce była herbata torebkowa;

Loder lubił Lap Sang Su Chow, co zdziwiłoby jego dawnych współpracowników. Zaniósł tacę do sypialni i stał z filiżanką w jednej ręce, przyglądając się sobie w lustrze. Nie był człowiekiem próżnym. Wiedział, że nikt z personelu ambasady nie dysponuje taką inteligencją jak on, z wyjątkiem Fergusa Stephensona i samego ambasadora.

Ale kobiet nie interesowała inteligencja. Wołały mięśnie.

- Ależ z ciebie nędzny pracownik państwowy!

Zrobił grymas do lustra.

- Masz niewielkie szanse wyjazdu na Karaiby i przygruchania sobie miłej panienki... - Odwrócił się chcąc dopić herbatę i iść spać. Był ciekaw, co w tej chwili porabia Fiodor Swierdłow. Gorzka to była myśl, ale to właśnie ona towarzyszyła mu tuż przed zaśnięciem.

Rozdział trzeci - Czy pani i pan Swierdłow zjedzą tu dziś kolację, czy też wychodzicie państwo?

Zarządca hotelu był mężczyzną pod pięćdziesiątkę o przyjemnych manierach i przystrzyżonej czarnej brodzie; łatwo nawiązywał znajomość z gośćmi, a niektóre z młodszych kobiet darzyły go widoczną sympatią.

Ponieważ jednak żył z wysoką barbadoską Murzynką o dużych piersiach, bezbarwne kanadyjskie matrony ani dziwna Angielka poszukująca przelotnego wakacyjnego romansu nie interesowały go ani trochę.

Obsługa hotelu zakładała się o to, czy pani Farrow i Rosjanin spędzają razem noc. Manager twierdził, że nie; wiedział o wszystkim, co dzieje się w jego hotelu, wiedział dokładnie, kto zakrada się nocą do innego bungalowu, a kto wpada tam na godzinkę po południu. Swierdłow i pani Farrow nie byli na tej liście. Ich znajomość była tematem licznych komentarzy, ale to nic złego. Dzięki temu goście nie nudzą się. Ci dwoje nie zadawali się z nikim innym, unikając hałaśliwych zgromadzeń przy barze. Kolacje jдали we dwoje, po czym przenosili się do stolika nad brzegiem morza, by wypić kawę, albo szli na spacer po plaży. Nocny stróż, który na polecenie managera szpiegował, doniósł mu, że oboje we wczesnych godzinach rannych przychodzą popływać w basenie przy świetle księżyca, ale każde z nich wraca potem do swojego bungalowu i tam pozostaje. Nawet gdyby komisarz policji nie zadzwonił do niego w tej sprawie, zarządca byłby zaintrygowany tą sytuacją.

Pod koniec każdego dnia składał raport dotyczący poczynań Swierdłowa, nie zadając komisarzowi żadnych pytań.

Zarządzał hotelem dzięki pozwoleniu na pracę. Gdyby odmówił pomocy w obserwacji Swierdłowa, to pozwolenie mogłoby nie zostać odnowione.

Uśmiechnął się do Judith starając się być wyjątkowo przyjacielski. Wyglądała teraz zupełnie inaczej niż zmęczona, nieszczęśliwa dziewczyna, która przyjechała tu zaledwie przed tygodniem. Słońce, morze i mężczyzna - to stara recepta, ale w tym przypadku na pewno się sprawdziła. Powtórzył pytanie. - Czy zjedzą u nas państwo dzisiaj kolację?

- Chyba wybieramy się do "Rafy Koralowej" - odpowiedziała

Judith. - Pan Swierdłow mówi, że w tamtejszym kabarecie występują połykacze ognia.

- To prawda. W piątek przyjadą urządzić tu pokaz. Mam nadzieję, że zostaniecie państwo tego wieczoru na kolacji - mamy świetny zespół perkusistów grających na solowych bębnach.

- Na pewno - odparła.

W tym momencie pojawił się

Rosjanin.

- Powinniśmy już jechać - powiedział do niej - zanim zrobi się zbyt gorąco. - Zignorował zarządcę, który miał zamiar go powitać, i ujął Judith pod ramię.

- Tam czeka samochód - powiedział. Judith rozglądała się za austinem travellerem, którego wynajął na ich poprzednią wyprawę do Bridgetown.

- Gdzie? Nie widzę.

- Tutaj - nie podoba ci się ten piękny dach? - Stał obok niej zaśmiewając się do rozpuku, zadowolony z niespodzianki.

Zamienił zamkniętą limuzynę na jeden z tych śmiesznych zwinnych kabrioletów marki minimoke o płóciennym pasiastym dachu.

Widzieli, jak pędziły po wyboistej drodze, podskakując niczym zabawki, omal nie wyrzucając z siedzeń pasażerów.

- Och, Fiodor - wynająłeś go!

Naprawdę jesteś szalony, ale tak się cieszę, że pozbyłeś się tamtego wozu.

Usiadł obok niej i zapalił silnik. - Mówiłaś, że chciałaś się nim przejechać, więc zadzwoniłem po niego. Trzymaj się uchwytu, bo wylecisz.

Judith spojrzała na niego i potrząsnęła głową. - Przestań mi mówić, co mam robić. Nie jestem kretynką. Ktoś mógłby pomyśleć, słysząc to, że jestem dzieckiem.

Jak wiesz, potrafisz troszczyć się o siebie.

- Ach, te wyemancypowane kobiety - zadrwił. - One wszystkie chcą teraz być równe i same nosić swoje walizki.

Dlatego właśnie są tak mało atrakcyjne; ty nie jesteś taka.

Proszę, trzymaj się uchwytu.

- Wydaje mi się, że słyszałam, iż w Rosji istnieje równouprawnienie płci...

- To kapitalistyczna propaganda - powiedział Swierdłow zwalniając, ponieważ przed skrzyżowaniem panował duży ruch. - Same kłamstwa. Niektóre z naszych kobiet są równe.

Reszta jest normalna i szczęśliwa. Bardzo ładnie dziś wyglądasz.

- Jesteś niemożliwy. - Złapała się uchwytu, kiedy samochód skoczył do przodu. - I zawsze masz rację. Czy nie powinnam sprawdzić na planie miasta, gdzie jest muzeum?

- Już to zrobiłem i wiem, jak tam dojechać.

- Powinnam była to wiedzieć. -

Judith wpadła na niego na zakręcie. Spojrzał na nią z ukosa i uśmiechnął się krzywo.

- To było bardzo miłe. Podoba mi się ten samochód.

Poprzedniego dnia próbował ją pocałować. Pojechali na drugi kraniec wyspy, na wschodnie wybrzeże, gdzie podobno były bardzo piękne widoki. Judith uznała obraz groźnych fal atlantyckich za ponury i przygnębiający, i powiedziała mu o tym. Na pustej drodze owiewał ich potężny wiatr od morza, Swierdłow zrobił krok naprzód i pochylił się ku niej.

Powiedziała: "Nie" i poszła w kierunku samochodu. Zamknął drzwi z jej strony, wsiadł do środka i zapalił papierosa, którego następnie jej podał. Nie był zirytowany, wydawał się raczej rozbawiony. W drodze powrotnej żadne z nich nie wspomniało słowem o tym incydencie.

Znalazł muzeum i zaparkował w cieniu palm. Słońce stało wysoko, a niebo nad nim było rozpalonym błękitem bez jednej chmurki.

- Naprawdę podoba mi się tutaj - powiedziała nagle Judith. - Tak miło spędzam czas. - Włożyła mu rękę pod ramię, a on przycisnął ją do swego boku.

- To dobrze. Bardzo się cieszę. Chodźmy liznąć trochę kultury. Potem ja pójde popatrzeć na port. Uwielbiam statki.

W muzeum było zimno i ciemno; gmach, w którym się ono mieściło był długi i pełen krętych korytarzy; mury były tu grube, jak przystało na koszary.

Swierdłow stał na środku pierwszej sali z rękoma na plecach i rozglądał się bez specjalnego zainteresowania. W szklanej gablocie na środku stały porcelanowe talerze z pałacu gubernatora. Judith poszła obejrzeć mniejsze eksponaty.

- Spójrz na to - zawołała do niego. - To fascynujące. - On wydawał się być głęboko pogrążony w myślach, chociaż było wątpliwe, że obiektem tego zamyślenia jest małe muzeum barbadoskie.

- Hmm? Tak, już idę.

Zastał ją pochyloną nad małą gablotą upstrzoną przez muchy.

Nad nią wisiał poźółkły plakat reklamujący sprzedaż niewolników płci obojga oraz zwierząt domowych.

Stał tak blisko niej, że ich ciała się dotykały. - Spójrz na to - powtórzyła. - "Niewolnik z plantacji Haywardsa w St. Peter, oskarżony o kradzież owcy, został powieszony na tamaryndowcu; utrzymywał, że jest niewinny grożąc, iż drzewo go pomści. Od tamtego czasu ów tamaryndowiec wydaje nasiona w kształcie ludzkiej głowy. Okaz po lewej jest normalnym nasieniem; ten po prawej pochodzi z tamaryndowca na plantacji..." Coś niesamowitego!

Spójrz tylko na to nasionko - wygląda zupełnie jak głowa Murzyna.

- I ty w to wierzysz?

- Cóż, sam widzisz to nasienie. Przyznasz, że dziwnie wygląda.

- W czym pomogło to temu niewolnikowi? Został powieszony.

- Zastanawiam się, jak czuli się jego właściciele, gdy zobaczyli te nasiona na drzewie.

- Myślisz, że zaniepokoiłi się? Uważasz, że mieli sumienie?

- Każdy ma sumienie. Wiesz, że tak jest. Ostatecznie cała twoja ideologia opiera się na chęci naprawienia podstawowej krzywdy - faktu, że niektórzy ludzie posiadają zbyt wiele, a reszta nie ma nic!

- Tak więc uważasz, że Marks miał sumienie, że posiadacze mienia zostaną wywłaszczeni; to właśnie chcesz powiedzieć?

- Tak - przyznała. - Poniekąd tak. Dobrze wiesz, kiedy zrobiłeś coś złego. Twoje sumienie ci to mówi.

- Wiem, kiedy popełniłem błąd - poprawił ją Swierdłow. A to nie to samo. Interesują mnie jednak twoje teorie. Może powoli nawracasz się na marksizm. - Przejechał palcem po jej nagim ramieniu.

- Przestań się ze mnie naigrawać. A już takie zachowanie, panie Swierdłow, to duży błąd.

- Proszę przyjąć moje przeprosiny, pani Farrow. To wina mego sumienia.

Podpowiedziało mi, że postępuję właściwie.

Pozwoliła mu ująć się pod ramię i przeszli razem przez pozostałe sale. Była tam kolekcja pięknych starych sreber i porcelany, ofiarowana muzeum przez bogatych mieszkańców wyspy, oraz brzydkie, ciężkie dziewiętnastowieczne meble, wśród których królowało ogromne łóżko z kolumnkami. Potem znaleźli się z powrotem na słońcu.

- Chcę popatrzeć jeszcze raz na to nasienie - powiedziała Judith. - Zaraz wracam. - Pozwolił jej pójść tam samej, pozostając na wybrukowanym podwórku, mrużąc oczy w blasku słonecznym.

Zastanawiał się, czy ktoś podążył za nimi do muzeum i czy któryś z kilku szwendających się po gmachu zwiedzających szpieguje go z polecenia przeciwnej strony. Inwigilacja była sprawnie prowadzona; nawet przy jego doświadczeniu nie wiedział, kogo można podejrzewać w hotelu. Zapalił papierosa.

Kobiety to narwane istoty; dlaczego tak bardzo zafascynowała ją legenda o niewolniku i nasieniu tamaryndowca, że musiała po raz drugi spojrzeć na ten eksponat?

Czy uważa ją za romantyczną?

Wolałby, aby przeniosła nieco tej romantyczności na ich związek. Myślał o seksie jako swego rodzaju terapii. W ciągu dziesięciu dni, jakie spędzili razem, nie doszło między nimi do zbliżenia, a pozostało już niewiele czasu. Ale nawet bez seksu terapię należy uznać za udaną. Znow widział wszystko wyraźnie. Zaczął ponownie funkcjonować na pełnych obrotach. Leniwe życie bogatego próżniaka, jakie teraz prowadził, miało w sobie coś schizofrenicznego; odczuwał to, gdy dokuczał tej dziewczynie poruszając problemy, które podzieliły świat na dwie strefy; gdy leżąc obok niej na słońcu oddawał się erotycznym fantazjom. Na początku nie chciał wiedzieć nic poza jej imieniem i tym, czym zajmuje się w Stanach. Pewnego wieczoru powiedziała mu, że jest wdową i że nie ma dzieci. Nie zadawał jej więcej pytań. A teraz odkrywał, że te luki w wiedzy o niej nie dają mu spokoju. Chciał dowiedzieć się więcej o jej przeszłości; o jej zmarłym mężu, poznać powody, dla których jest tak zdecydowana nie dać się uwieść. Uśmiechnął się, kiedy wyszła z muzeum i pospieszyła w jego stronę.

- Chciałam się upewnić, jak nazywa się to miejsce: Plantacja Haywardsa, St. Peter.

- I masz zamiar poszukać tego tamaryndowca - naprawdę wierzysz, że on istnieje?

- Nie wiem, ale mimo to mam zamiar go poszukać - po to, żeby coś ci udowodnić!

- Jestem Rosjaninem. To my wymyśliliśmy bajki.

- Wiem, na przykład tę o istnieniu Boga. - Wracali do samochodu. - Wszystko to mówiłeś już przedtem.

- Mieliśmy wiele dialektycznych nieporozumień - zauważył. - A przecież nie zmieniły one nic między nami. - Przez ułamek sekundy pomyślał o swej żonie; być może jego herezja wywołała jej ducha pomimo dzielącej ich odległości dziesięciu tysięcy mil. - Udowodniliśmy, że możliwa jest koegzystencja.

- Może to dlatego, iż znajdujemy się na neutralnym gruncie - wtrąciła. Swierdłow włożył kluczyk do stacyjki i przekręcił go.

- Zbyt neutralnym, jak na mój gust - powiedział. - Ale ja wciąż jestem optymistą. Pokładam wiele nadziei w dzisiejszych połykaczach ognia.

- A coż oni mogą zmienić?

Włączył bieg i mały samochodzik skoczył do przodu. - Roztopią twoje serce. A teraz jedziemy do portu.

Tego wieczoru wypił trochę za wiele whisky i po raz pierwszy był lekko wstawiony. Kolacja była znakomita; Judith kupiła sukienkę w drogim butik w Bridgetown, a jej kloszowy krój i różowy kolor doskonale do niej pasowały; ludzie oglądali się za nimi, gdy zajmowali swój stół.

Sceneria była tak egzotyczna, że wydała im się zabawna.

Oświetlony reflektorami parkiet do tańca otaczały palmy, na każdym stoliku migotały świece w szklanych kloszach, kelnerzy w białych obcisłych marynarskich kurtkach, przepasani szkarłatnymi szarfami, uwijali się jak w ukropie, a zespół perkusistów wybijał afrykański rytm grając przeboje zachodniej muzyki pop. Wiatr wzmógł się i morze uderzało o piaszczystą plażę za ich plecami. Księżyc świecił mocniej niż sztuczne oświetlenie.

Nagle przyszło Judith do głowy, w trakcie tańczenia lokalnego tańca limbo, że nigdy nie mogłaby się czuć dobrze w takim miejscu z Richardem Patersonem. Dałby jej bez wątpienia odczuć, że ten lokal jest absurdalny. Zdała sobie sprawę, z pewnym poczuciem winy, że myślenie o nim nie przywołuje natychmiast jego wyraźnego obrazu. Wiedziała też, że ze Swierdłowem będzie mieć kłopoty.

Uparł się, by tańczyć w staroświeckim stylu, co pozwalało mu przytulać ją mocno do siebie.

- Spójrz na nich - szepnął jej do ucha - popatrz tylko na tych ludzi tańczących ze sobą. My w Rosji uznalibyśmy to za perwersję. Nie odsuwaj się ode mnie, to nieuprzejmie. - Usłyszała, jak się śmieje.

Rzucił się na nią, gdy tylko ruszyli w stronę samochodu.

Zepchnął ją ze słabo oświetlonej ścieżki między bungalowami i przyparł do drzewa. Nie dał jej czasu na obronę i protesty.

Całował ją, aż musiał przerwać, by zaczerpnąć powietrza; nadal opierał się o nią całym ciałem.

- Dlaczego masz zamknięte usta? - zapytał ją. - Podobam ci się; czuję to. Boisz się ze mną kochać?

- Tak. - Nie poruszyła się ani nie próbowała odepchnąć jego rąk. - Tak, boję się. Niedawno zakończyłam nieudany, cholernie przykry romans. I nie mam zamiaru wdawać się w następny z tobą. Proszę cię, nie rób tego.

Zabierz mnie do samochodu.

Nic nie odpowiedział; nadal trzymał ją w ramionach i patrzył z góry na jej twarz, mając na swojej wyraz, którego nie potrafiła zrozumieć. Potem pochylił się i pocałował ją w usta, nie próbując tym razem zmusić jej do ich rozchylenia.

- Pojedziemy do domu i opowiesz mi o nim.

- Nie. Nie chcę o tym rozmawiać.

- Zrobisz to. Zawsze potrafię zmusić ludzi do powiedzenia mi tego, co chcę usłyszeć. Chcę cię lepiej poznać. Chodź, samochód jest tam.

W drodze objął ją ramieniem.

- Rozumiecie, że nikt nie chce podjąć za was decyzji. Macie prawo nie zastosować się do naszych rad. Czyż nie tak?

Grigorij Tomarow spojrział na swego towarzysza oczekując od niego potwierdzenia. Obaj mężczyźni jednocześnie pokiwali głowami. Kobieta stojąca przed nimi nic nie powiedziała.

Rozmowa miała z początku nieformalny charakter; umówili się z nią na spotkanie po jej powrocie z kliniki. Przyjęła ich jak zwykle spokojna i opanowana, zaproponowała im do wyboru herbatę albo wódkę i podała talerzyk z ciasteczkami. Tomarow był starym przyjacielem jej ojca; służył razem z nim pod rozkazami marszałka Timoszenki, a kiedy wychodziła za Fiodora Swierdłowa, był jednym ze świadków w ludowym pałacu ślubów. Mógł bez przesady powiedzieć, że zna ją od urodzenia i traktuje jak swoją córkę. Wydawało się wówczas, że Swierdłow stanowi doskonałą partię. Tomarow trzymał na biurku w domu ich ślubne zdjęcie. Przedstawiało Elenę Maksimownę w długiej sukni z bukietem kwiatów przypiętym wysoko na ramieniu i w kapeluszu z woalką u boku Swierdłowa w mundurze. Pan młody nie uśmiechał się, a wykrzywione usta nadawały mu ponury wygląd.

- Musisz mi uwierzyć - powiedział Tomarow. - Kochałem twojego ojca; nie ma w tym przesady ani kłamstwa. Proszę cię, byś zrobiła to, co proponujemy.

- To dla waszego dobra, doktor

Swierdłowo - odezwał się drugi z mężczyzn. Przypominało to czasy bezpośrednio po wojnie. Tomarow przyprowadził go w charakterze świadka.

- Nie obchodzi mnie to, co jest dla mnie dobre. - Jej głęboki głos silnie kontrastował z niepozorną i bardzo kobiecą sylwetką. Miała czarne włosy i oczy i cerę o lekko żółtym odcieniu sugerującym mongolskich przodków. - Nie uważam, by osobiste szczęście było sprawą ważną, której należy poświęcać jakąkolwiek uwagę. Liczy się to, co powiedzieliście mi o moim mężu. I dlatego właśnie się waham. - Zwróciła się do Tomarowa: - Trudno mi z tym się pogodzić. Nie mogę uwierzyć, by był do tego zdolny.

- Ja też z początku nie wierzyłem. Uważałem go za ostatniego człowieka, który uległby demoralizacji. Cieszył się taką doskonałą opinią. Był naszym najlepszym oficerem na Węgrzech. Nigdy się nie zawahał, nigdy nie zadawał pytań. Ale teraz - po trzech latach w Ameryce - zmienił się. Gdyby teraz przyjechał do domu, nie poznałabyś go, Eleno. Nie chciałabyś z nim mieszkać pod jednym dachem.

- To moja wina - powiedziała.

- Nalegał, bym pojechała z nim do Ameryki, a ja nie mogłam porzucić swojej pracy, nie chciałam żyć wśród kapitalistów.

Jemu potrzebny był ktoś, kto by go wspierał.

- Jeśli nie potrafi żyć zgodnie ze swymi ideałami bez żony, która przypominałaby mu o potrzebie lojalności, nigdy nie będzie mu można ufać - powiedział drugi mężczyzna.

Nazywał się Roszkowski; pracował z Tomarowem od trzydziestu lat. Obaj należeli do tych nielicznych, którzy przetrwali i doczekali się obecnych władz. I jak wszyscy weterani zobaczyli, że koło historii się zamyka.

- Jest przeznaczony na odstrzał, Eleno - powiedział Tomarow. - Musisz się od niego odciąć, bo inaczej również znajdziesz się w kręgu podejrzeń. Taka jest prawda.

Wystąp o rozwód, zanim zostanie odwołany.

- Napijcie się jeszcze herbaty? - Obaj potrząsnęły głowami. Tomarow usilnie ją prosił - ze względu na przyjaźń dla jej rodziny, troskę o jej przyszłość i dlatego, że jej odtrącenie męża wzmocniłoby argumenty w przygotowywanej przeciwko niemu sprawie. Elena Swierdłowa była jednym z bardziej wybitnych specjalistów _pediatrów w Moskwie. Znana była jako córka człowieka, który wysoko zaszedł w hierarchii partyjnej za czasów Stalina; przez kilka lat nie przysparzało to jej zaszczytu.

Teraz, gdy liberalne tendencje zostały odrzucone, a umiarkowani działacze odsunięci od władzy, członkowie partii w rodzaju Eleny Maksimowny odzyskiwali swoją pozycję.

Tomarow zawsze ją podziwiał. Była nieodrodną córką swego ojca; oddaną sprawie, pełną poświęcenia, inteligentną.

Specjalizowała się w leczeniu dzieci, a nie chciała zajść w ciążę, ponieważ ograniczyłoby to jej możliwości pracy. Kobiety jej kalibru były natchnieniem rewolucji.

- Towarzysze - powiedziała. -

Potrzebuję trochę czasu do namysłu nad tym, co mi powiedzieliście. Jeśli zostawicie mnie teraz samą, do jutra podejmę decyzję. Dziękuję, że pofatygowaliście się do mnie.

Wymieniła uścisk dłoni z

Roszkowskim i pocałowała

Tomarowa w policzek. Kiedy wyszli, uprzątnęła samowar i szklanki, wstrząsnęła poduszki i opróżniła popielniczkę z niedopałków wypalonych przez nich papierosów. Sama nigdy nie paliła, gdyż знаła zgubny wpływ tytoniu na zdrowie. Chociaż robiła wszystko, by zniechęcić go do tego nałogu, Swierdłow nie rezygnował z papierosów. Gdy widziała go ostatni raz, zapalił w łóżku, zaraz po tym, jak skończyli się kochać. Wspominała to ze złością. Był jej mężem od dziesięciu lat; uważała, że w życiu prywatnym nigdy nie był tak wzorowym obywatelem, jakim według niej powinien być. Z dystansu, dzięki jasności widzenia, jaka towarzyszy retrospekcji, przyznawała Tomarowowi rację. Jako młody człowiek Swierdłow wydawał się równie oddany radzieckiemu socjalizmowi, jak ona; dopiero, gdy żyła z nim przez jakiś czas, ujawnił się jego ukryty cynizm.

Była zaniepokojona tym odkryciem; wytykała mu to i delikatnie go strofowała, używając argumentów logicznych, jak przystało racjonalnym istotom miewającym nieporozumienia. Reagował na to śmiechem i próbował ją rozbierać.

Miał umysł niezwykle dociekliwy; twierdził, że ta cecha wyróżnia go w pracy.

Jednak ją niepokoiło, do jakiego stopnia kwestionuje rzeczy, które należało zaakceptować automatycznie. Zrobił błyskotliwą karierę; był ambitny i pozbawiony skrupułów, ale wśród kierujących nim motywów brakowało wyraźnej, pozbawionej egoizmu wojowniczości, która była regułą porządkującą egzystencję jego żony.

Praktykowała medycynę w jednej z najbardziej emocjonalnie zdradzieckich dziedzin otwartych przed kobietami. Pracowała z dziećmi: chorymi, często nieuleczalnie, niepełnosprawnymi; ofiarowywała im swoje umiejętności po równo, nie dopuszczając, by jej osobiste preferencje lub instynkt macierzyński wpływały na jej postępowanie. Ratowała życie, a niekiedy świadomie je odbierała. Nigdy nie zachowywała się irracjonalnie; starała się spełniać wszelkie rozsądne życzenia swego męża. Jego pragnienie, by urodziła mu dziecko i wyjechała z nim do Ameryki nie należało do tej kategorii, toteż nie zgodziła się. Teraz, jeśli wierzyć temu, co powiedział jej stary przyjaciel Tomarow, dał się "zmiękczyć". Człowiek, który pojechał na Węgry pomóc stłumić powstanie, stał się zwolennikiem kompromisu z Zachodem; czynił z Chin pretekst dla propagowania autentycznej koegzystencji ze światem kapitalistycznym.

Tomarow wyjaśnił jej, że przez dwa lata generał Golicyn obserwował go, jak stara się osiągnąć ten cel, otwarcie podkopując morale jego sekcji w ambasadzie i wywierając ten sam zgubny wpływ w kręgach radzieckich polityków. I jedynie dzięki temu, że podstępne liberalne tendencje w Rosji zostały przezwyciężone, stary generał ośmielił się przesłać do Moskwy raport denuncjujący swego przełożonego.

Swierdłow pisywał do niej regularnie od czasu objęcia stanowiska w Waszyngtonie; odpowiadała mu listami pełnymi wiadomości o swojej pracy, pytań o znajomych w ambasadzie i entuzjastycznych opisów wydarzeń w Moskwie. Nigdy nie zadawała żadnych pytań o Amerykę; nie chciała usłyszeć niczego o jej pozytywnych stronach, a znając Swierdłowa wiedziała, że jest na tyle nieodpowiedzialny, by coś takiego napisać, choćby w celu zdenerwowania jej. Oczywiście, jego praca w Waszyngtonie nie mogła być tematem korespondencji. Z początku brakowało jej go; byli kochającym się małżeństwem, a pod

wieloma względami on był uosobieniem siły, za co go podziwiała. Był również znakomitym kochankiem; dopiero później zdała sobie sprawę, jak głęboki sprzeciw budziły w niej te jego umiejętności i stopień dominacji nad nią, jaki mu one dawały. Czuła się poniżona.

Małżeństwo oznaczało partnerstwo społeczne i seksualne, które powinno ulec rozwiązaniu, gdy obojgu lub jednemu z partnerów nie daje już ono satysfakcji.

Jego supremacja w tej dziedzinie zaskoczyła i obraziła ją. Mąż stał się zagrożeniem jej niezależności; wyczuła to instynktownie i zbuntowała się.

Nic nie zmusi jej do porzucenia pracy w klinice lub ograniczenia jej z powodu dzieci, których nie chce mieć. On nie ma prawa prosić wolnej i równej mu partnerki o poddanie się ograniczeniom będącym rezultatem tego, co robi z nią w łóżku.

Pozwoliła mu więc jechać do

Waszyngtonu i po kilku miesiącach dostosowywania się do nowej sytuacji odkryła, że jest szczęśliwa w pojedynkę. Mimo to propozycja Tomarowa, by wystąpiła o rozwód, zaskoczyła ją. Jej mąż był przeznaczony na odstrzał. Trudno było o wyraźniejsze ostrzeżenie. Fiodor wypadł z łask i stał się podejrzanym. Zostanie odwołany i Elena dokładnie wiedziała, co nastąpi potem. Czekają go śledztwo i proces.

Rozważała tę perspektywę, zachowując spokój i rozsądek, odmawiając uczuciom głosu w dyskusji toczącej się w jej głowie. Fiodor zwrócił się przeciwko partii i narodowi, gdyż inaczej nie stałby się obiektem podejrzeń. W rozumowaniu Eleny nie pozostawał cień wątpliwości. Państwo nigdy się nie myliło. Skoro Fiodorowi nie można było ufać, sam był niegodzien zaufania. A ona czuła się uwolniona od obowiązku wspierania go. Inne postępowanie byłoby równoznaczne z przymknięciem oczu na zdradę.

Opowiadając się po jego stronie sama znalazłaby się w kręgu podejrzeń; mogłaby stracić pracę i zostać zesłana na jakieś odludzie zamieszkałe przez osoby niegodne zaufania; o ile nie zostałaby aresztowana i przesłuchiwana razem z mężem.

Strach nie miał wpływu na jej decyzję; w obronie swoich politycznych przekonań Elena Maksimowna bez słowa skargi zniósłaby więzienie, a nawet śmierć. Swierdłow jednak przeszedł na stronę wroga. Był to wystarczający powód, by odcięła się od niego i zrobiła to publicznie. Na stole w salonie stała oprawiona fotografia, ta sama, którą miał w domu Tomarow; przedstawiała ich oboje w dniu ślubu. Elena wzięła ją do ręki, wyjęła zdjęcie z malowanej drewnianej ramki i podarła. Następnego dnia rano Grigorij Tomarow stawiał się w biurze generała _majora Iwanowskiego w siedzibie Kgb na placu Dzierżyńskiego.

Zameldował, że sprawa przeciwko

Fiodorowi Swierdłowowi toczy się zgodnie z planem i można przystąpić do kolejnego posunięcia. Nie będzie żadnych komplikacji ze strony rodziny Maksimowów; jego żona wystąpiła o natychmiastowy rozwód.

- Znam Richarda Patersona - stwierdził Swierdłow. Zapalił papierosa i włożył jej w usta. - Dlaczego wybrałaś właśnie jego?

Nie potrafię tego zrozumieć.

- Zakochałam się w nim -

Judith odchyliła się do tyłu zaciągając się papierosem. Była zmęczona, a jednocześnie całkiem spokojna. Chociaż nie, oszukiwała samą siebie. Rosjanin właściwie ocenił, jak bliska była odrzucenia papierosa i wybuchnięcia łzami. Gdyby się rozpląkała, byłby to dobry znak. Łzy przynosiły ulgę; to sentymentalne powiedzenie nie było prawdziwe w wielu przypadkach. Ale jej dobrze by to zrobiło. Swierdłow wziął ją za rękę. - Opowiedz mi o tym. Co on ci takiego zrobił, że ja jestem teraz bez szans?

- Poznałam go jakieś osiem, dziewięć miesięcy temu. Był jedynym mężczyzną, z którym mnie coś łączyło od śmierci Pata. - Pokrótce opowiedziała kiedyś Swierdłowowi o swoim małżeństwie i wypadku samochodowym męża. On nie wydawał się zainteresowany, toteż nie kontynuowała tematu. - Chciałam poświęcić się pracy i pogodzić się jakoś z jego śmiercią. Wszystkich trzymałam na dystans; byłam całkiem szczęśliwa. Potem znajomi zaprosili mnie i Nancy Nielson, córkę mego szefa, na weekend do Waszyngtonu i tam poznałam Patersona. Odszukał mnie później w Nowym Jorku i zaprosił na obiad.

- Jak długo musiał zabiegać o to, byś poszła z nim do łóżka?

Czy przysyłał ci kwiaty, mówił, że cię kocha?

- Tak - odpowiedziała drżącym głosem. - Właśnie tak to wyglądało. Obiady, kolacje, telefony. A potem randka, na której oznajmił mi, że rozwodzi się z żoną i wtedy pozwoiliłam mu pójść ze mną do domu. Wierzyłam mu, Fiodor. Ona nie przyjechała z nim tutaj, wszyscy wiedzieli, że wołała pozostać w Anglii.

- I tak zostaliście kochankami. Czy był dobrym kochankiem, zaspokajał cię?

- Nie mam ochoty odpowiadać. -

Wyrwała mu swoją dłoń. - Mówisz o tym, jakby to było coś ohydneho, jakiś szybki numer na stojąco koło toalety. To wyglądało zupełnie inaczej.

Mówiłam ci już: byłam w nim zakochana.

- Rozumiem. Przepraszam.

Dlaczego więc to się skończyło?

- Przez przypadek. Dzięki cholernemu przypadkowi. Jadłam obiad ze znajomymi, którzy go znali, niezbyt dobrze, i oczywiście nie mieli pojęcia, że coś nas łączy - ona powiedziała, że spotkała żonę Richarda w Waszyngtonie. Przyjechała do niego kilka miesięcy wcześniej, a on nie wspomniał mi o tym ani słowa. Ale tak naprawdę koniec nastąpił, gdy usłyszałam, że spodziewają się dziecka. - Swierdłow milczał. Kiedy się rozplakała, nie poruszył się; siedział nadal w ciemnościach paląc papierosa. Pod nimi morze zalewało plażę, zabierając podczas odwrotu kamienie i piasek. Była piękna jasna noc.

- Czułam się jak dziwka.

Okłamywał mnie pozwalając wierzyć, że ma poważne zamiary i że po rozwodzie możemy we dwoje... Och, w porządku, nigdy tego nie powiedział wprost, ale pozwalał mi tak uważać! Nie rozumiesz tego?

- Doskonale rozumiem - odparł

Swierdłow. - Tak więc, kochał się z tobą, a jednocześnie pogodził się z żoną i nawet z nią sypiał? Nie możesz mu więc wybaczyć, że wystawił cię do wiatru.

- Tu nie tylko o to chodzi - powiedziała Judith ze złością. - Ufałam mu. Nigdy nie wdałabym się w ten romans, gdybym wiedziała, że jego żona dołączy do niego. Gdyby powiedział mi prawdę, zerwałabym z nim natychmiast.

- Dlatego właśnie nie powiedział ci o tym, ponieważ wiedział, jak byś postąpiła. Był w dość wygodnej sytuacji: miał czarującą kochankę w Nowym Jorku i żonę w Waszyngtonie. A czy tak naprawdę nie masz mu za złe, że począł z nią dziecko? Czy nie to boli cię tak bardzo, a nie ta wielka miłość?

- Wszystko sprawia mi ból.

Możesz to interpretować, jak tylko masz ochotę - uczynić z tego coś plugawego i taniego, jeśli chcesz, ponieważ tak właśnie ja to teraz postrzegam.

Zwłaszcza swoją rolę w całej sprawie. Tak mi żal tej kobiety, przekonanej, że on szczerze jest jej oddany, spędzającej samotnie czas z jego dzieckiem w brzuchu, podczas gdy on przyjeżdżał dwa razy w tygodniu zabawiać się ze mną. Świetnie znam się na ludziach, prawda?

- Fatalnie. Paterson to ambitny facet, niezwykle poprawny, zainteresowany sobą.

Sądę, że można go uznać za przystojnego, jeśli lubisz tego rodzaju twarze. A najwidoczniej lubiłaś. Ja uznałbym go za nudziarza. - Przeciągnął się na krześle; pod nimi nocny stróż brnął przez piach oświetlając latarką bungalowy. - Niesamowitego nudziarza - ciągnął dalej. - Ja nadawałbym się lepiej do roli twego kochanka. Przynajmniej udaje mi się cię rozśmieszyć; czy często śmiałaś się w jego towarzystwie?

- Nie. Chyba nie. To wyglądało inaczej, było śmiertelnie poważne, zbyt intensywne.

Obawiam się, że nie należę do kobiet, które potrafią sobie z tego żartować. Tak więc, nie nadawałbyś się lepiej do tej roli. Chcę teraz iść do siebie.

- Dopij najpierw swego drinka.

- Trzymał jedną rękę na jej ramieniu i przyciskał ją mocno.

- Będziesz lepiej spała. W przeciwnym razie pójdiesz do łóżka i znowu się rozplączesz.

Nawet ty nie będziesz ładnie wyglądać z czerwonym nosem - widzisz, już się uśmiechasz.

Może więc to nie jest tak poważne; ta wielka miłość do pułkownika Patersona.

- Jak dobrze go znasz? On nigdy o tobie nie wspominał.

- Nic dziwnego. - Swierdłow wykrzywił twarz w ciemnościach.

- Znam go na tyle, by zamienić z nim kilka słów podczas przyjęcia. Ale on nie stara się o przyjaźń z moimi rodakami. Coś takiego może zaszkodzić jego karierze, podobnie jak rozwód.

Nie widziałaś, że to jest dla niego najważniejsze?

- Nie. Najwidoczniej nie potrafiłam tego dostrzec.

- To dlatego, że jesteś sentymentalna. Wierzysz w niewinność niewolników i cudowne nasiona tamaryndowca. Naprawdę fatalnie znasz się na ludziach.

- Coś jeszcze? - Swierdłow masował jej nadgarstek; była zbyt zmęczona i zdenerwowana, by go powstrzymać. - Coś jeszcze ci się we mnie nie podoba?

- Nie mówię, że to wada.

Uważam to za plus u kobiety.

Zostawiłem w Rosji żonę. Ona jest doskonałym znawcą wszystkiego i wszystkich. Wie dokładnie, co jest właściwe, a co nie. Potrafi wykreślić wyraźną granicę: o tak. - Nakreślił w ciemności linię ognikiem papierosa. - Po tej stronie jest Związek Radziecki i partia: oni się nie myślą. Po drugiej stronie jest świat kapitalistyczny: samo zło.

- Nigdy nie wspominałeś, że jesteś żonaty. - Judith trudno było powstrzymać drżenie głosu.

Udało się jej wyrwać rękę spod kciuka masującego jej nadgarstek.

- Dlatego właśnie mówię ci o tym teraz. Nie będziesz więc mogła później powiedzieć:

"Jesteś żonaty, a nigdy mi o tym nie wspominałeś".

- Nie będzie żadnego "później" - Judith zaczęła się podnosić.

Swierdłow nie starał się jej zatrzymać. - Teraz pewnie nie.

Za trzy dni muszę wracać.

Chciałbym dzisiaj powiedzieć ci trochę o sobie, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Proszę, usiądź z powrotem.

- Za trzy dni; myślałam, że został nam jeszcze tydzień.

- Przyjechałem przed tobą. -

Sięgnął ręką po butelkę whisky i nalał jej odrobinę do szklanki.

- Za mnie, nie za ciebie.

Judith usiadła. - Wiesz, że nocny stróż widział nas tutaj.

Pewnie doniesie o tym.

- Z pewnością. - Swierdłow znowu się uśmiechał. - Jestem pewien, że byliśmy obserwowani przez cały czas. Kiedy wrócisz, mogą zadać ci parę pytań.

- Kto? - Zwróciła się ku niemu zaskoczona. Jego ręka znowu się ku niej wyciągała.

- Wasz wywiad. Cia. Co im powiesz?

- By zajęli się swoimi sprawami. Przestań brać mnie za rękę. Nie ufam ci, Fiodor.

Mówiłeś, że chcesz porozmawiać.

- MOżesz mi zaufać. Pozwól mi trzymać cię za rękę. Boję się ciemności.

- Ty niczego się nie boisz - stwierdziła poddając się.

- To nieprawda - powiedział poważnie, ironiczny ton gdzieś zniknął. Był człowiekiem, którego nastroje ulegały gwałtownym zmianom. - Każdy się czegoś boi. Ty przyjechałaś tu uciekając przed nieudanym romansiem. Ja, ponieważ nie mam przed czym uciekać. Rozumiesz to?

- Nie - potrząsnęła głową. -

Co to znaczy?

- Moja kariera zawodowa przebiega świetnie. Mam żonę, która jest wybitnym specjalistą w swej dziedzinie; jest młoda i ładna. Należę do wielkiego narodu i jestem częścią wielkiego ruchu komunistycznego, który pewnego dnia obejmie cały świat.

- Boże broń - powiedziała.

- Nie może tego zrobić, ponieważ nie istnieje. Nie przerywaj mi. Bawię się w kapitalistę i podliczam części składowe swego majątku trwałego.

Zdrowie mi dopisuje i kiedy mam ochotę, mogę poderwać jakąś dziewczynę. Ale nie mam na to ochoty, nie pragnę być znowu z żoną, a rewolucja socjalistyczna nie wzbudza we mnie żadnych uczuć. Co robić w takiej sytuacji?

Przez chwilę nie wiedziała, jak mu odpowiedzieć. Zza chmur wyszedł księżyc i widzieli się wyraźnie w białym świetle.

Fiodor wyglądał niesympatycznie, był spięty, a usta miał wykrzywione. Bez żadnej przyczyny Judith poczuła, że jej zimno. Zdała sobie sprawę, że w taką tropikalną noc powodem tego musi być fizyczny strach.

- Co starasz się mi powiedzieć? - zapytała szeptem, jakby nocny stróż wciąż kręcił się w pobliżu.

- Nie wiem. Pytam się ciebie: co mam teraz począć?

- Potrzebowałeś wypoczynku. -

Była to taka powierzchowna diagnoza. - Może przepracowywałeś się ostatnio.

Nie czujesz, że inaczej teraz na to patrzysz?

- Tak. - Znowu palił; zapomniał ją poczęstować.

Polubiła jego mocne papierosy. -

Tak. Czuję się bardziej odprężony. Mam wrażenie, że mógłbym tu pozostać w nieskończoność, za najważniejsze zajęcie mając dotrzymanie ci towarzystwa. Nie chcę wracać do Waszyngtonu, gdzie czekać mnie będzie list od żony, w którym będzie się rozwodzić nad świetnym posunięciem Czechów i Słowaków, którzy postanowili postawić swoich byłych przywódców przed sądem za zdradę, i twierdzić, że popełniliśmy błąd nie rozstrzelując Dubczeka od razu...

- Ona naprawdę tak uważa? -

Judith była przerażona.

- Oczywiście, ona myśli tymi kategoriami. Ja też myślałem podobnie, chociaż z innych powodów. A teraz te powody już do mnie nie przemawiają.

Zniknęła nawet gdzieś moja ambicja.

- Nie mógłbyś wrócić z powrotem do zwykłej służby wojskowej?

Spojrzał na nią z ukosa. - To ostatnia rzecz, na jaką mogę sobie pozwolić.

- Nie mogę ci pomóc. Przykro mi, ale nie znam odpowiedzi na twoje pytanie. Chyba będziesz musiał się przystosować. Ten stan nie potrwa pewnie zbyt długo. Jak mówiłam, byłeś przepracowany i potrzebny ci był urlop. Zostań tu dopóty, dopóki ja nie będę musiała wracać. Nie mógłbyś tego zrobić?

- Mógłbym. - Poczowała, że opuszcza go wewnętrzne napięcie.

Ręka trzymająca jej dłoń przez cały czas ścisnęła ją mocno, a teraz palce przesunęły się, a jego kciuk zaczął swą zmysłową wędrówkę. - Pewnie, że mógłbym zostać! Moglibyśmy wyjechać tego samego dnia... Pomyślałem, że możemy jutro jeszcze raz pojechać do portu. Chciałbym wybrać się na jedną z innych Wysp Karaibskich.

- Taka podróż statkiem trwa wiele dni. Najbliżej nas jest Grenada. Samolotem można tam dolecieć w godzinę.

- A do Brazylii w dwie. Chcesz trochę popływać przed snem?

- Nie dzisiaj - Judith wstała i oboje weszli do środka przystając koło drzwi. Swierdłow otworzył je przed nią, a Judith wyszła na dwór.

- To był długi wieczór. I przyniósł ci zawód - powiedziała.

- Dobrze nam obojgu zrobił. -

Swierdłow wyciągnął rękę. Kiedy uściśnęła ją, położył jej drugą na ramieniu. - Jedno mnie dziwi.

Dlaczego nie zaproponowałaś, bym przeszedł na waszą stronę? Czy Zachód by mnie przyjął?

- Pewnie tak - spojrzała na niego. - Ale wiem, że w twoim przypadku nie byłoby to dobre rozwiązanie.

- Też tak uważam. - Jego ręka powędrowała z ramienia na jej kark i wsunęła się pod włosy.

- Sądzę, że zachowujesz neutralność. Nie pragniesz nikogo nawracać.

- Nie. I sama też nie chcę być nawracana. Wierzę w wolność wyboru. Nie martw się moim stanem. To przejdzie; to tylko chwilowy nastrój. Ściszył głos: - Wiesz co?

Zapomniałaś zupełnie o swoim pułkowniku, czyż nie?

- Dobranoc - powiedziała zмирzając w stronę wejścia do swego bungalowu; dzieliło ją od niego zaledwie półtora metra.

- Jutro pojedziemy poszukać twojego tamaryndowca.

- A co powiesz, jeśli go znajdziemy?

- A jak ty zareagujesz, jeśli nie?

Rozdział czwarty

Pani Stephenson, żona pierwszego sekretarza ambasady, doszła do wniosku, że woli panią Paterson od jej męża. Zwykle większą sympatią darzyła mężów, a nie żony; wielokrotnie powtarzała Fergusowi, że małżonki dyplomatów śmiertelnie ją nudzą. "Są takie pospolite".

To również powtarzała bardzo często, kładąc nacisk na przymiotnik. "Okropnie nudne stworzenia, nie mające pojęcia o sztuce konwersacji". Jej postawa denerwowała Fergusa, który był fanatycznie wręcz lojalny wobec wszystkich w służbie dyplomatycznej i traktował z szacunkiem nawet najskromniejszego urzędnika.

Nigdy nie wykorzystywał swojej wysokiej pozycji ani pochodzenia, by kogoś poniżyć.

Współpracownicy mówili o nim z mieszaniną podziwu i szacunku, co niezmiernie ją irytowało. Oni nie musieli razem z nim mieszkać. Widzieli jedynie imponującą fasadę, a ona żyła z mieszkańcem tego nieskazitelnie białego grobowca i mogła zaświadczyć, że jest on stuprocentowym trupem. Tego wieczoru ubierali się, przygotowując się na przyjęcie gości, a ona wykrzykiwała komentarze z łazienki.

- Jest miła - powtórzyła. -

Dowiedziałam się, że jej starszy brat zabierał mnie na obiad, kiedy ty byłeś na Cejlonie. Był bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Miał takie śmieszne wąsy.

Fergus podszedł do otwartych drzwi łazienki. - Cieszę się, że przypadła ci do gustu. To mu pomoże w karierze.

Jego żona odwróciła się od lustra ze szminką w prawej ręce.

- Guzik prawda - powiedziała - o ile nie rzuci tej panienki, którą odwiedza w Nowym Jorku!

Och, Fergus, przestań udawać, że o tym nie wiedziałeś; ten okropny pies gończy Loder sprawdził, z kim on się zadaje.

- Kto ci o tym powiedział? -

Zniknął z jej pola widzenia; łatwiej mu tak było z nią rozmawiać.

- Nieważne. Ktoś to zrobił.

Jego żona oczekuje dziecka i bardzo się z tego cieszy.

Fatalnie się ubiera: to mój jedyny zarzut.

- Dobry Boże. Ona naprawdę musi być kimś niezwykłym.

Zaczesał włosy do tyłu właściwie nie patrząc w lustro.

Kto powiedział jego żonie o śledztwie w sprawie Patersona?

Czesał włosy, aż rozboleła go czaszka. Któż to był tym razem?...

Nie powinien był nigdy zadawać tego pytania. Byli małżeństwem od dwudziestu lat; mieli troje dzieci; dziewiętnastoletnią córkę i dwóch chłopców w wieku szkolnym w Anglii. Dawno temu, gdy urodziła ostatnie dziecko, postanowił nigdy nie zadawać jej takich pytań. Nie był całkowicie pewien, kto jest ojcem ich najmłodszego syna. Niekiedy zauważał podobieństwo do siebie, innym znów razem chłopiec wydawał mu się zupełnie obcy.

Jego żona potrafiła zachować dyskrecję w towarzystwie. Miał powody, by być jej za to wdzięcznym; we wczesnych latach jego kariera nie przetrwałaby żadnego poważnego skandalu.

Ostatnio podejście do tych spraw stało się o wiele bardziej liberalne. Msz został zmuszony do przyjęcia bardziej łagodnego kodeksu postępowania wobec rozwodów i powtórnych małżeństw; gdyby się tak nie stało, w służbie pozostałoby niewielu wyższych dyplomatów.

Starał się, jak mógł, by

Margaret była zadowolona. Kiedy prosił ją o rękę, wierzył, że stanowi ona alternatywę wobec jego pociągu do własnej płci, której kulminacją był pewien namiętny związek w Cambridge.

Jego kochanek reprezentował wszystko to, co podziwiał: był błyskotliwy, pociągający fizycznie, towarzyski i nienagannie wychowany. Fergus zakochał się w nim i pozwolił mu się uwieść. Wkrótce zdał sobie sprawę, że nie był w tym odosobniony; wielu jego kolegów przeżyło to samo. Margaret pojawiła się w jego życiu, kiedy zaczął pracować w Msz. Była żeńskim odpowiednikiem przyjaciela z Cambridge: atrakcyjna fizycznie, pewna siebie, o niespożytej energii.

Polowała, pływała, jeździła na nartach niczym zawodowiec, była najbardziej porywającym kompanem w każdej sytuacji. Lubiła błyszczeć i oszałamiać; Fergus mrużył oczy od tego blasku i pragnął poddać się jej dominacji. Równie mocno pociągał go przedtem tamten przerażający związek. Wydawało mu się, że jest w niej zakochany i zdoła zapomnieć o poprzedniej znajomości. Wielu kochanków jego przyjaciela ożeniło się i, o ile mu było wiadomo, prowadziło normalne życie heteroseksualnych mężczyzn.

Ich związek chwiało się, załamywał i na nowo rozkwitał, ponieważ oboje ze wszystkich sił chcieli umknąć przed prawdą.

Udało mu się zapłodnić ją dostatecznie wiele razy, by powiła dwoje, a nawet troje dzieci, ale jego żona nie należała do osób, które można oszukiwać w nieskończoność. I pewnej nocy, pełen wstydu i pragnienia zdobycia jej zrozumienia, Fergus popełnił niewybaczalny błąd i opowiedział jej o Cambridge. Od tej chwili przestał dla niej istnieć.

Oczywiście nadal pokazywali się razem publicznie; ich małżeństwo będzie trwać do śmierci ze względu na otoczenie. Ale gdy byli we dwoje, ich związek przypominał szaradę, której ona oddawała się z okrucieństwem i pogardą, a on ze wstydem i uczuciem poniżenia. Nie odkrył, gdy zdradziła go po raz pierwszy. Wolałby nie wiedzieć, ale ona wyczuła to i z perwersyjną przyjemnością powiadomiła go o swoim kochanku.

Ich syn miał wtedy trzy miesiące. Zauważyła, że w jego umyśle pojawiło się dręczące pytanie i wybuchnęła śmiechem.

"Jak długo to trwa? Czy Julian jest twoim dzieckiem, czy jego - cóż, będziesz musiał poczekać, by się przekonać. Ja nie mam zielonego pojęcia".

Odłożył szczotkę i wygładził fryzurę ręką. Na czubku głowy włosy miał przerzedzone; czuł pod nimi skórę czaszki.

Kimkolwiek jest ten facet tym razem, a przecież miała ich setki, przekazał jej poufną informację.

To poważne naruszenie zasad bezpieczeństwa.

- Margaret. Ktokolwiek powiedział ci o dochodzeniu Lodera, nie miał w żadnym wypadku prawa tego robić. Wiesz o tym dobrze, prawda?

- Oczywiście, że wiem. -

Wyszła z łazienki; była kobietą wysoką, ubraną elegancko, o jasnych włosach farbowanych na metaliczną biel od czasu, gdy zaczęła siwieć. Spojrzenie jej dużych, starannie umalowanych niebieskich oczu o długich rzęsach było niezwykle przenikliwe. Mając czterdzieści pięć lat była wciąż niesłychanie piękna. Za dziesięć lat będzie dostojną matroną, świetnie pasującą do roli jej ekscelencji pani ambasadorowej.

- To było bardzo brzydko z jego strony. Podaj mi, kochanie, torebkę.

- Chcę wiedzieć, kto to jest.

- Powiedzenie tego wymagało nie lada odwagi i ona aż uniosła brwi, chcąc podkreślić swe zdziwienie.

- Po co? Możesz mu przysporzyć kłopotów.

- Postaram się tylko, by nigdy więcej nie ujawniał poufnych informacji. Tylko to mnie interesuje.

- Ależ to bez znaczenia - wzruszyła ramionami przeglądając zawartość torebki. - To tylko przelotny romans. Mężczyźni ciągle miewają przygody, kochanie. Ostatecznie Paterson tylko przespał się z kobietą.

Myślałam, że teraz raczej pedalstwo stanowi poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa. - Nawet nie mrugnął; zbyt często czyniła podobne uwagi, by na nie reagował.

- Nie interesuje mnie, czym zajmuje się Paterson w życiu prywatnym. Chodzi mi o to, by nasz personel ściśle przestrzegał wymogów bezpieczeństwa. Zwłaszcza w tej chwili. Coś dzieje się wśród Rosjan. Może więc zrozumiesz wreszcie, że nie interesuję się tym z pobudek osobistych.

- Co dzieje się wśród Rosjan?

Nic nie słyszałam.

- Dzięki Bogu. Jeśli mi nie powiesz, nie będę miał innego wyboru, tylko zwrócić się z tym do Lodera.

- Jeśli pójdziesz do niego i zaczniesz rozrabiać, dowie się o mnie kilku rzeczy, które wolałbyś zachować dla siebie.

Sądzę, że pomyślałeś o tym?

- Właśnie o tym myślę. -

Widział jej sylwetkę na tle otwartych drzwi. Jakaż ona jest arogancka, nienasycona, bezlitosna - zupełnie jakby w jej wnętrzu czaił się jakiś złośliwy potwór. Zawsze bał się kobiet; ich wymagania i namiętności były otoczone zatrważającą tajemnicą. Kiedyś wydawało mu się, że nienawidzi ciała swej żony bardziej niż jej samej. W tej chwili budziło w nim wstręt.

Margaret rzadko zadawała sobie trud, by znęcać się nad nim; miała prywatne życie, dawała upust swoim zachciankom, kiedy miała ochotę i nikt o tym nie wiedział. Nawet on nie musiał nic wiedzieć, chyba że dopytywał się, jak tego wieczoru. Wiele z jej nienawiści do niego ulotniło się. Poza tym chciała bardzo, by pod koniec kariery otrzymał jakąś główną ambasadę.

- Jest dokładnie dziewiętnasta trzydzieści - zauważyła. - Nasi goście wkrótce tu będą. Schodzę na dół. Możesz zwrócić się do tego pospolitego psa policyjnego, o ile masz ochotę, ale przemyśl to najpierw.

Stephenson został na górze pozwalając jej zejść na dół, by powitała gości; znanego amerykańskiego ekonomistę z żoną, pierwszego sekretarza ambasady Niemiec Zachodnich i kilku dyplomatów z własnej ambasady. Jeśli powie Loderowi o tym przecieku, nie uda się ukryć związku Margaret z tym facetem.

Ruszył do drzwi. Kto to był?

Zwykle zadawała się z młodszymi facetami, choć nie z młodzikami.

Dzięki Bogu, że nie interesowali ją chłopczkowie. To ktoś zajmujący takie stanowisko, że mógł wiedzieć, co porabia jego przełożony z tajnych służb.

A więc ktoś z sekcji Lodera.

Im dłużej o tym myślał, ty bardziej dochodził do wniosku, że źle się stanie, jeśli nic w tej sprawie nie zrobi. Wraz z ambasadorem brał udział w specjalnej naradzie zwołanej przez Lodera.

Od barbadoskiej policji nadchodziły wiadomości o Swierdłowie. Rosjanin zawarł tylko jedną znajomość na wyspie; z kobietą, którą poderwał w hotelu. Loder przeczytał im szczegóły. Informacje zebrane na jej temat zostały podwójnie sprawdzone, a jej tożsamość ustalona; to pani Judith Farrow, obywatelka brytyjska zamieszkała w Nowym Jorku, zatrudniona w charakterze osobistej asystentki Sama Nielsona w Onz.

To dopiero była wpadka.

Podświadomie użył slangowego określenia Lodera. Ten facet był naprawdę niepoprawny; niekiedy epatował rozmówców greką, co wyprawdzało z równowagi Amerykanów, innym znów razem uciekał się do terminów używanych podczas wojny przez służby kwatermistrzowskie. Sam Nielson jest człowiekiem o międzynarodowych koneksjach.

Romans jego sekretarki ze

Swierdłowem był poważną sprawą.

Z tego powodu Buckley i Cia wietrzyli szansę dobrania się Brytyjczykom do skóry. Loder zamierzał, jak wyjaśnił ambasadorowi i Stephensonowi, przekonać Amerykanów, by zaakceptowali tę historię bez żadnego dochodzenia z ich strony. Nie wiedzieli i na tym etapie nie mogą się dowiedzieć, że pani Farrow jest też kochanką brytyjskiego attach~e do spraw lotnictwa. W przeciwnym wypadku pracownicy ambasady znaleźliby się w kręgu podejrzeń. Już choćby z tego powodu niedyskrecja popełniona wobec jego żony, a dotycząca romansu Patersona, mogłaby mieć katastrofalne skutki, gdyby zdarzyła się ponownie.

Stephenson odwrócił się od drzwi i wszedł do swego gabinetu.

Zapisał szybko w swoim notesie: zobaczyć się z Loderem. Zamknął notes w biurku i zszedł na dół do swojej żony.

Lot do Nowego Jorku trwał cztery godziny. Judith wracała porannym sobotnim samolotem; Swierdłow uparł się, że odwiezie ją na lotnisko. Sam wybrał późniejszy lot; Judith podejrzewała, że zrobił to specjalnie, aby uniknąć wspólnej podróży z nią, ale nie skomentowała tego faktu. Może ktoś wyjdzie po niego na lotnisko im. Kennedy'ego i niezręcznie mu będzie z nią się żegnać. Ostatnich kilka dni należało do najlepszych podczas tego urlopu. Swierdłow nie próbował powtórnie kochać się z nią, chociaż bezlitośnie atakował ją aluzjami i żartami, aż nazwała to "gorącą wojną".

Nie oferował jej współczucia ani ramienia, na którym mogłaby się wyplakać; wręcz przeciwnie, wyszydzał każdy aspekt jej romansu z Richardem, naigrawając się z tego, co nazywał jej wielką utraconą miłością. Judith często ogarniała wściekłość, ale niekiedy nie

mogła się powstrzymać od śmiechu, co jeszcze bardziej ją złościło, ponieważ wiedziała, że o to właśnie mu chodziło. Wieczorem dnia poprzedzającego ich wyjazd jedli kolację w ekskluzywnym i piekielnie drogim hotelu usadowionym na wzgórzu, skąd roztaczała się przepiękna panorama na okolicę, a zwłaszcza morze. Popijali drinki na patio pod palmami i przez kilka minut obserwowali młodego barbadoskiego kelnera, który próbował zapalić świece zawieszane w szklanych kloszach na drzewach i krzewach. Judith trąciła Swierdłowa: - Biedak, to ostatnia zapałka! Proszę cię, podejź do niego i pokaż mu, jak to się robi.

Obserwowała, jak Rosjanin ruszył w jego stronę; poruszał się dziwnymi susami, co przypominało chód zwierząt z rodziny kotów. Pod wieloma względami przypominał kota. Już po paru minutach patio otaczały migotliwe światełka; a kelner, który przyglądał się, jak Swierdłow radzi sobie ze świeczkami, uśmiechnął się rozradowany, podziękował i odszedł.

- Wspaniale - pochwaliła

JUDITH. - Czyż on nie był tobą oczarowany?

- Oczywiście - Swierdłow usiadł. - Wiedział, że ma do czynienia z geniuszem, gdy tylko użyłem zapalniczki zamiast zapałek, które zdmuchiwał wiatr.

Jak mawiał George Orwell, wszyscy ludzie są równi, ale niektórzy są równiejsi.

- Jemu to nie przeszkadzało.

Może o to właśnie chodzi; należy wykorzystywać maksymalnie to, co się ma i nie martwić się, że ktoś ma większe zdolności lub potrafi coś zrobić lepiej...

Zupełnie straciliśmy z oczu tę filozofię życiową - trzeba iść na całość, fatalne wyrażenie, cokolwiek ono znaczy - przeć naprzód, zarabiać więcej pieniędzy, starać się o awans, wyprzedzać innych! A tak na marginesie, ten cytat z Orwella brzmi dość dziwnie w twoich ustach.

- Czy takie same poglądy głosisz w Nowym Jorku? - zapytał Swierdłow.

- Mówię to, co myślę, bez względu na to, gdzie jestem.

Dlaczego miałabym postępować inaczej?

- Bo ludzie mogą uznać cię za komunistkę. Zwłaszcza teraz, gdy poznałaś mnie. Byłbym ostrożniejszy na twoim miejscu, Judith. Możesz mieć kłopoty.

- Nie bądź śmieszny. To, co powiedziałam, nie ma nic wspólnego z komunizmem. Jest bliższe chrześcijaństwu, gdybyś był w stanie to ocenić.

- Filozofia oparta na zabobonie nie jest filozofią. Ma takie samo znaczenie jak twój tamaryndowiec, który nie istnieje.

- Nigdy nie pozwolisz mi o tym zapomnieć, prawda? Ale ja wierzę, że kiedyś istniał, tylko został ścięty.

Uśmiechnął się krzywo; to był jego triumf, a on nie zachował się rycersko i nie przestawał o tym przypominać. Pojechali razem na plantację Haywardsa i rozmawiali z właścicielem, który wysłuchał uprzejmie, acz z niedowierzaniem, historii o niewolniku i cudownym drzewie, a nawet towarzyszył im w poszukiwaniach okazji dostatecznie starego, by mogło pamiętać czasy niewolnictwa. Nic nie znaleźli. Swierdłow trzymał ją za rękę i ścisnął za każdym razem, gdy podnosili z ziemi strąk z normalnymi nasionami.

- To tylko legenda - powtórzył uśmiechając się do niej. - Tak samo jak historia o politycznym agitatorze, który zmartwychwstał. - Roześmiał się głośno. - Jak taka inteligentna kobieta jak ty może uwierzyć w podobną bzdurę! Mam ci powiedzieć prawdę; nie było żadnego tamaryndowca ani niewinnego niewolnika, nie ma poza tym światem siły oddającej sprawiedliwość słabym. Nie ma nic poza człowiekiem, a jego wyobrażenie sprawiedliwości wciąż się zmienia. Jednego roku masz prawo robić coś, drugiego to samo okazuje się przestępstwem. Nie ma żadnych norm, liczy się tylko oportunizm.

- To najbardziej cyniczne wyznanie wiary, jakie słyszałam - Judith wpatrywała się w niego.

Nie lubiła jego ataków na religię; to jedyny temat, który ich antagonizował. Ale tym razem chodziło o coś innego. On przypuścił atak na swoją własną ideologię polityczną.

- Mówisz, że mogę mieć kłopoty w Ameryce wyrażając swoje poglądy. A co spotkałoby ciebie, gdybyś takie rzeczy mówił u siebie w kraju?

- To zależy. Dwa lata, półtora roku temu nie wywołałoby to żadnych komentarzy. Ale teraz - teraz uznano by to za zdradę. To właśnie miałem na myśli. Wiatr zmienia kierunek, kurek na dachu odwraca się. Tym właśnie jest ideologia, kurkiem na dachu, którego położenie zależy od wiatrów oportunistów lub kaprysu.

Była w Rosji caryca, która uznała za zdradę ubieranie się na różowo. Słyszałaś o tym? To był jej ulubiony kolor. - Roześmiał się. - W twoim zachodnim świecie są ludzie, którzy reagują podobnie na kogoś, kto nosi czerwony krawat.

Zdrada stanu... to zupełnie bez sensu. W pewnym sensie to zwycięstwo materializmu. Coś takiego uczy cię pogardzać wszystkim, co materialne.

- I nie pozostawia ci nic, co miałoby jakąś wartość?

- Przetrawianie - to jedyny cel wart zachodu. Trzeba żyć, bo później nie ma nic. - Sięgnął ręką, ujął jej dłoń i potrząsnął głową. - Nie ma nagrody dla dobra ani kary dla zła. Jest tylko ciemność; nicość. Człowiek musi żyć dla siebie. Utrzymać się przy życiu, to najważniejsza rzecz.

- Nie wierzę w to. Jeśli tak to upraszczasz, oznacza to absolutny egoizm, a nie sądzę, by czynił on kogokolwiek szczęśliwym. A przede wszystkim, nie wierzę ci. Dlaczego pomogłeś temu kretynowi - kelnerowi?

Dlaczego miałbyś cokolwiek dla niego robić?

- Zrobiłem to, by sprawić ci przyjemność.

- Zgoda, ale po co miałbyś robić coś dla mnie?

- Ponieważ mam nadzieję otrzymać coś w zamian. A ty dobrze wiesz, o czym mówię.

- Rozumiem; dzięki.

- Uwierzyłaś mi. Jesteś niezwykle łatwowierna. Nic dziwnego, że twój pułkownik wystrychnął cię na dudka.

Powiedział ci, że cię kocha, a ty mu uwierzyłaś. Ja twierdzę, że robię coś, by sprawić ci przyjemność, ponieważ chcę z tobą pójść do łóżka i też mi wierzysz. Obaj jesteśmy kłamcami. Jak ty zdołasz przeżyć, jeśli nie potrafisz odróżnić jednego kłamstwa od drugiego; naprawdę martwię się o ciebie.

- Przestań się ze mną nabijać. I prosiłam cię, byś nie wspominał bez przerwy o Richardzie. Nie powinnam ci była o nim mówić. Popełniłam głupstwo.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak miło jest spotkać inteligentną kobietę, która popełnia głupstwa - powiedział Swierdłow poważnym tonem. - A teraz powiedz mi coś. Czy nadal jest ci tak smutno z powodu rozstania z twoim kochankiem, jak wtedy, gdy się poznaliśmy?

Czy wciąż masz złamane serce - w

Moskwie znajduje się klinika, w której dokonują cudów na sercu - czy naprawdę tak cię ranię mówiąc o nim?

- Nie - przyznała. - Już nie.

Tutaj to wszystko wydaje się mniej rzeczywiste. Ale wcale nie cieszę się z perspektywy powrotu do domu.

- Będzie ci łatwiej niż się spodziewasz. Będziesz myśleć o mnie zamiast o nim. Może będziemy mogli spotkać się w Nowym Jorku. O ile zrobimy to dyskretnie.

- To może nie być dobry pomysł, jeśli chodzi o ciebie.

Jestem pewna, że nie spodobałoby się to twojemu ambasadorowi.

- Powiedziałem, o ile zachowamy dyskrecję - przypomniał jej Swierdłow. - Załatwienie wszystkiego zostaw mnie. A teraz, jeśli jesteś głodna, zjemy kolację.

Tak minął ich ostatni wieczór, a kiedy wracali do hotelu, Judith zauważyła, że Fiodor milczy. Zwykle to on mówił przez większość czasu. Odprowadził ją do drzwi i czekał. Twarz miał w cieniu i nie widziała jej wyrazu.

- Spotkasz się ze mną w Nowym Jorku?

- Nie wiem - odparła zgodnie z prawdą. - Tutaj to wygląda inaczej. Tam będzie tyle komplikacji. Poczekaj, aż oboje wrócimy do pracy. Może sam uznasz, że lepiej nie. - Włożyła klucz w zamek, ale nie chciał się przekręcić i on musiał to zrobić za nią.

- Byłeś dla mnie niezwykle miły - powiedziała nagle. - I bardzo mi pomogłeś pogodzić się z tamtą historią... zobaczyć ją we właściwym świetle. Mam nadzieję, że też wracasz do Waszyngtonu z większą ochotą.

- Nie, czuję się tak samo. W moim przypadku nie chodzi po prostu o nieudaną miłość. Chodzi o sposób życia, a ja nie znam innego. Powiedziałem ci dzisiaj, że liczy się tylko przetrwanie.

Odwiozę cię jutro.

Pozwoliła mu się pocałować; oboje byli teraz trochę przygnębieni; ona czuła rozterkę i smutek, że żegna się z nim pod drzwiami, ale za żadną cenę nie chciała zaprosić go do środka.

Miała dość tych rzeczy z

Richardem; dosyć ulotnych erotycznych doznań, poczucia dojmującej klęski, gdy ubierał się i pogwizdywał wesoło szykując się do wyjścia.

Uwolniła się od Rosjanina z pewnym wysiłkiem. Skaleczył jej usta; czuła, jak jego ramiona drżą. - Dobranoc - powiedziała pospiesznie i weszła do bungalowu.

Kiedy odwoził ją na lotnisko, był już znowu sobą; żartował i mówił przez cały czas podczas dwudziestominutowego przejazdu.

Wszystko wydawało się bardziej jaskrawe tego ranka, nawet poinsecje koloru krwi miały żywsze barwy, a dostojne bugenwille okryte były bardziej królewską purpurą.

Jeśli nigdy nie zobaczą już tej wyspy, pomyślała, będę pamiętać to miejsce do końca życia. W hallu lotniska pożegnała się ze Swierdłowem; zapowiedziano jej lot i nie było sensu zwlekać. Miała poczucie nierzeczywistości, jakby ten mężczyzna i ta wyspa były czymś nie z tej ziemi. - Masz - powiedział. - Wziąłem to dla ciebie. Sam też mam jedno; pamiątkę po naszych wakacjach.

Wręczył jej kopertę. Otworzyła ją w drodze do samolotu. W środku było nasionko tamaryndowca.

- Niech mi pani opowie o swoim urlopie, pani Farrow. Miło spędziła pani czas na Barbadosie?

- Nie mam zamiaru odpowiadać na żadne pytania. - Judith wciąż stała; mężczyzna o rudych włosach siedział rozwalony w jej fotelu. Czekał na nią z samochodem na lotnisku; drugi mężczyzna, który także wszedł do mieszkania, ale którego nie było teraz widać, zaczepił ją, gdy przeszła przez kontrolę celną.

Przedstawił się jako pracownik ambasady i Judith, przypuszczając, że ma coś wspólnego z Nielsonem i pracą związaną z posiedzeniem Rady Bezpieczeństwa, podążyła za nim.

W wielkim błękitnym chevrolecie czekał drugi mężczyzna, który wszedł za nią do mieszkania. Nic nie mogła na to poradzić.

Nie zamknęli drzwi na klucz ani nie próbowali jej straszyć.

Starszy z nich, o brzydkiej piegowatej twarzy i regionalnym akcencie kazał młodszemu iść do kuchni i zrobić herbatę, po czym usiadł, zapalił papierosa i zapytał ją, czy poświęciłaby godzinkę i odpowiedziała na kilka pytań. "Mogą cię wypytywać, kiedy wrócisz".

Swierdłow ostrzegł ją, że coś takiego może ją spotkać. Była zła, ale i przestraszona. Jak śmiało zachowywać się, jakby grali w jakimś trzeciorzędnym filmie szpiegowskim. Loder dojrzał wyraz jej twarzy i przewidział jej reakcję.

- O co tu chodzi? - Stała przed nim mając nadzieję, że w ten sposób uzyskuje nad nim przewagę. - Wsadzacie mnie do samochodu i wchodźcie do mieszkania bez zaproszenia, i jeszcze ośmielacie się zadawać pytania. Kim pan jest, panie Loder? - Przedstawił się jej w samochodzie, podając rękę.

- Mówiłem już pani. Jestem oficerem łącznikowym w sekcji planowania. Proszę opowiedzieć mi o Barbadosie. Nigdy nie byłem na żadnej z tamtych wysp. Ma pani ładną opaleniznę; pogoda musiała być znakomita.

- Wspaniała, ale nie fatygował się pan tu z Waszyngtonu, by mnie o to zapytać.

- Nie - zgodził się Loder. -

Ale naprawdę chciałbym dowiedzieć się czegoś o pani urlopie. Spotkała pani kogoś ciekawego?

Stanie nad nim nie dawało jej żadnej przewagi; wręcz przeciwnie, czuła się jak oskarżona w czasie procesu. W tym momencie drugi mężczyzna wsadził głowę przez drzwi. - Nie ma herbaty - zwrócił się do Lodera. - Może być kawa?

- W porządku. Pani też się napije, prawda, pani Farrow?

Gdyby nie to, że tak bardzo się go bała, kazałaby mu iść do wszystkich diabłów. Powinna była to zrobić i była wściekła na siebie, że nie odbiera mu inicjatywy. Nie miał prawa siedzieć tu ani wysyłać swego kierowcy do kuchni. Nie miał najmniejszego prawa patrzeć tak na nią ani częstować ją jej własną kawą.

Był niewysokim facetem, nie przypominał detektywa ani muskularnego oficera śledczego; wyglądał jak urzędnik w średnim wieku. Miał krawat ze znaczkiem Raf_u. Nie powinna się go bać, a jednak się bała.

- Nie odpowiedziała mi pani.

Czy poznała pani kogoś ciekawego za granicą? Zaprzyjaźniła się z kimś?

- Doskonale pan wie, że tak - sama była zaskoczona, że odpowiedziała mu głosem pełnym pewnością siebie, której w rzeczywistości nie czuła. - Dlatego przecież pan tu jest, nieprawdaż? On ostrzegł mnie, że zjawicie się tu.

- Cóż, powinienem coś o tym wiedzieć. Będę wdzięczny, gdy opowie mi pani dokładnie, co się stało. Jak on się właściwie nazywa - powiedziała pani "on". czyż nie, pani Farrow?

- Nazywa się Fiodor Swierdłow.

Jest attach~e wojskowym sowieckiej ambasady. I to wszystko, co mam panu do powiedzenia, chyba że chce pan dokładne sprawozdanie, ile razy poszliśmy popływać, gdzie jadaliśmy kolacje, co jedliśmy.

Obawiam się, że nie pamiętam wszystkich szczegółów.

- O to pani nie prosimy.

Ciekawe, co nasz Joseph robi z kawą - sam nie znoszę kawy, ale to lepsze niż nic. Czy poza panią Swierdłow zawarł jakieś znajomości na wyspie?

- Nie - Judith poddała się i również usiadła. Znalazła w pudełku papierosy Nancy i zapaliła jednego. Smakowały mdło po papierosach Fiodora. Dał jej jedną paczkę na drogę.

- Większość czasu spędzaliśmy razem. O ile wiem, nie rozmawiał z nikim innym.

- Czy w ogóle chadzał gdzieś sam - robił wycieczki po wyspie; czy jeździł gdzieś z panią samochodem, a potem zostawiał panią samą i wyruszał gdzieś w pojedynkę? Coś w tym rodzaju?

- Nie. Całe dni spędzaliśmy razem. Nigdzie nie wypuszczał się beze mnie.

- Wygląda na to, że dobrze wam było ze sobą.

- Jeśli ma pan zamiar tak do mnie mówić... - Poruszyła się na krześle, jakby miała zamiar wstać; Loder uniósł dłoń zwróconą wewnętrzną stroną w jej kierunku, niczym dyrektor szkolny upominający niesfornego ucznia.

- Niech pani nie bierze tego tak do siebie. Ja tylko wykonuję swoje obowiązki. O, jest i Joseph. Gdzieś ty, do diabła, się podziewał? Gotowałeś trzydaniowy obiad?

- Przepraszam - powiedział kierowca. - Nie mogłem znaleźć potrzebnych utensyliów.

- Nie wiesz, gdzie szukać - stwierdził Loder. - Co do kawy, pani Farrow: mleko i cukier?

- Dziękuję, nie chcę kawy. -

Podniosła głowę i zauważyła, że facet zwany Josephem przygląda się jej badawczo. Tych dwóch łączył dziwny stosunek. Obaj całkowicie zrezygnowali z charakterystycznej dla Msz pozy urzędnika i szofera.

Wydawało się, że na jej użytek oddają się jakiejś prywatnej grze. A może tylko chcieli się rozerwać.

- Niech pani będzie rozsądna.

Nie może się pani spodziewać, że poderwie pani wyższego urzędnika sowieckiego, jakim jest pułkownik Swierdłow, i nie napyta sobie biedy. Zwłaszcza tutaj. Wie pani, jak Jankesi reagują, gdy ktoś spoufała się z tamtymi. Musiała pani wiedzieć, że złożymy pani wizytę.

- Nie rozumiem, dlaczego. -

Judith trudniej było skoncentrować się na tym, co mówi, z powodu obecności w pokoju drugiego mężczyzny.

Naprawdę nie rozumiała, dlaczego ją niepokoją, ale tak właśnie było. - Nie zrobiłam nic złego.

Poznałam mężczyznę, który zatrzymał się w tym samym hotelu, razem spędzaliśmy czas.

Lubiłam jego towarzystwo i najwidoczniej on lubił moje.

Przykro mi, ale nie widzę, dlaczego to mogłoby kogoś obchodzić.

- Jest to jakiś punkt widzenia - przyznał Loder. - Ale niezbyt rozsądny. Pracuje pani dla człowieka zajmującego bardzo ważne stanowisko, prawda, pani Farrow? Sam Nielson ma do czynienia z wieloma poufnymi dokumentami. Jest pani bardzo atrakcyjną kobietą. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale czy to nie dziwne, że ten facet wybrał właśnie panią? Czy nie jest możliwe, że kierował nim dodatkowy motyw, poza chęcią zaprzyjaźnienia się z kimś na wakacjach.

- Nie. Zupełnie nie ma pan racji. Wiem, do czego pan zmierza, ale to nieprawda.

Loder zwrócił się do Josepha:

- Idź zobaczyć, czy powylączałeś wszystkie gadgety. Nie chcemy mieć pożaru.

Kiedy drugi mężczyzna wyszedł,

Loder nagle wstał. Wyraz jego twarzy był dość nieprzyjemny.

- Staliście się sobie bardzo bliscy, prawda? Z pewnością przekroczyliście granicę poufałości. Spędzaliście razem każdą minutę. Ale on nie miał innego motywu. Po prostu spodobała mu się pani, tak? Nie wiedział, dla kogo pani pracuje, nigdy nie wspominała mu pani o swojej pracy... będzie próbował skontaktować się z panią powtórnie, czyż nie? Tu w Nowym Jorku?

- Tak - potwierdziła - ale nie po to, by mnie zwerbować, bo do tego pan zmierza, prawda?

- Tego bym się spodziewał.

Taki jest obowiązujący schemat działania. Po to właśnie tam pojechał, by się do pani dobrać.

- Myli się pan. - Dostrzegła błąd w jego rozumowaniu i zdobyła się na odwagę, by rzucić się na niego. - Nie pojechał tam, by mnie spotkać. On już tam był, kiedy przyjechałam, a ja załatwiłam tę wycieczkę w ostatniej chwili, czterdzieści osiem godzin przed wyjazdem.

Dlatego niemożliwe jest, by pojechał na Barbados z mojego powodu. Sama nie wiedziałam, że się tam wybiorę.

- W porządku, już dobrze - zgodził się z nią Loder. - Ale ci chłopcy nie przepuszczają żadnej okazji. Poznał panią, dowiedział się, kim pani jest i uczeplił się pani z całej siły.

Spała z nim pani?

- Jak pan śmie mnie o to pytać?

- Zapytam panią, o co tylko będę miał ochotę - Loder podniósł głos. - W dodatku tu nie chodzi tylko o Sama Nielsona, prawda? Pracuje pani dla jednego faceta na wysokim stanowisku, a zabawia się z drugim. Wiemy wszystko o pułkowniku Patersonie. Czy o nim też opowiedziała pani swojemu rosyjskiemu narzeczonemu? Na rany Chrystusa, pani jest dla nich prawdziwym skarbem.

Podszedł bliżej do niej, aż stanął bezpośrednio nad nią, po czym oddalił się i wrócił na fotel.

- Skontaktuje się z panią ponownie, mogę się założyć. A kiedy to zrobi, pani Farrow, nie będzie się pani opieprzać, tylko przyjdzie pani bezpośrednio do mnie i powie mi o tym. Rozumie pani? Natychmiast. Wystawili wielki hak, by panią złapać, a to znaczy, że ma pani dostęp do czegoś, co ich interesuje. Nie twierdzą, że pani by to zrobiła.

Nic podobnego nie sugeruję. Ale oni nie stosują fair play. To zadziwiające, do czego można zmusić kobietę, gdy ma się ją w garści. Na przykład za pomocą szantażu.

- Niech się pan wynosi -

Judith wstała. - Proszę opuścić to mieszkanie. Pojadę do Waszyngtonu poskarżyć się ambasadorowi. Nie ujdzie to panu płazem.

- Następnie zabierze się do pani Cia. Jeśli nie zdołam ich przekonać, że pani w pełni z nami współpracuje, naślą na panią swoich chłopców. Straci pani pracę u Nielsona, to pewne.

A jeśli nie lubi pani mnie, to zapewniam panią, że nie spodoba się pani sposób, w jaki potraktują panią Jankesi. Mają dość przypadków, gdy nasi ludzie pieprzą się z Rosjanami. I nie mam im tego za złe.

Celowo używał mocnego języka; taka była jego strategia.

Chodziło o to, by ją obrazić i przestraszyć, pokazać jej, że może powiedzieć i zrobić, co tylko zechce. Następnie należy trochę odczekać. Wyglądała na zdenerwowaną, może się rozplakać, gdy przycisnie ją bardziej. Była bardzo ładna.

Pamiętał, że zazdrościł trochę

Swierdłowowi. On naprawdę mile spędzał czas. Werbował pozyteczną agentkę w przyjemny sposób. Loder zauważył, że groźba wkroczenia do akcji Cia zaniepokoiła ją.

- Powinna pani współpracować z nami bez tych niepotrzebnych nacisków - powiedział. - Wie pani, jak ważne jest bezpieczeństwo; jest tu pani od dwóch lat, nie jest pani nowicjuską, zaróżowioną panienką prosto z Anglii. O jedno będę musiał panią prosić: proszę zerwać z pułkownikiem Patersonem. Utrzymaliśmy to w tajemnicy przed Amerykanami, gdyż w przeciwnym razie uganiałoby się za panią jak sfora psów. Proszę z nim skończyć.

- Już to zrobiłam. - Judith wyjęła kolejnego papierosa i trzęsącymi rękoma próbowała go zapalić. - To już przeszłość, więc nie musi mi pan grozić.

Jeśli chce pan wiedzieć, dlatego właśnie pojechałam na Barbados.

Wielka szkoda, że nie zostałam tu, na miejscu!

- Och, nie wiem - rzekł Loder pojednawczo. - Sprawy często przybierają korzystny obrót.

Przypuścimy, że mam rację i

Swierdłow wierzy, że robi z pani agentkę. Moglibyśmy za pani pośrednictwem przekazać mu mnóstwo sfabrykowanych informacji. To mogłoby okazać się bardzo pozytywne.

- Mówiłam panu - Judith powiedziała zmęczonym głosem - że myli się pan. Tak bardzo, że to aż śmieszne. Nigdy nie spróbuje tego zrobić, znam go.

- Doprawdy? - Loder spojrział na nią sznurując usta. - Wątpię w to, pani Farrow. Bardzo w to wątpię. A teraz proszę zapomnieć o mojej wizycie, rozumie pani?

Proszę wrócić do pracy i odwiedzać znajomych, postępować tak jak zwykle i nie zamartwiać, jeśli okaże się, że pani telefon jest na podsłuchu. To będzie robota Jankesów. Jeśli Swierdłow się z panią nie skontaktuje, osobiście przeproszę panią. Ale nie sądzę, bym musiał to robić.

Gdy tylko odezwie się, proszę zadzwonić do mnie pod ten numer.

Zrobi to pani, prawda? - Oparł wizytówkę z waszyngtońskim numerem telefonu o pudełko papierosów na stoliku obok niej.

- Zrobi to pani? Proszę nie robić żadnych głupstw i nie igrać z ogniem; na przykład spotykać się ze Swierdłowem i nie powiadamiać nas.

- Nie - zgodziła się Judith. -

Obiecuję. Ale chcę panu coś jeszcze powiedzieć. Jeśli skontaktuje się ze mną, zawiadomię pana. Natychmiast.

Ale nie dam się użyć do donoszenia na niego. I może pan powiedzieć to też Cia. Nic, co pan powie, nie zmusi mnie do zrobienia czegoś takiego.

- Zgoda - Loder skierował się do drzwi i otworzył je.

- Do widzenia, pani Farrow.

Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać. I ani słowa pani przyjaciółce, pani Nielson.

Ani panu Nielsonowi. Niech to pozostanie w rodzinie. Jeszcze raz do widzenia.

Wyszedł z pokoju, Joseph czekał już w przedpokoju.

Opuścili mieszkanie razem, zatrzasnął drzwi, tak by Judith to usłyszała.

- I co, Joe - słyszałeś wszystko?

Był to jego bezpośredni podwładny, błyskotliwy facet o przenikliwej inteligencji, który kochał swoją pracę.

- Tak. Słyszałem. Wytoczyła niezłe argumenty, co?

- Tak. - Loder wysiadł z windy i przeszedł przez hall w kierunku wyjścia. - Mam wrażenie, że spóźniliśmy się.

Sądzę, że ten skurwysyn dobrał się już do niej. Nie uwierzyłbym ani jednemu jej słowu.

Zaraz po powrocie Swierdłow rzucił się w wir pracy. Zajmował biuro na pierwszym piętrze ambasady; wielkie okna wychodziły na drzewa i trawniki ogromnego ogrodu. Gabinet ambasadora znajdował się o dwa pokoje dalej. Golicyn i trzech młodszych oficerów pracowało w przyległych do siebie pokojach na tym samym piętrze, ale tylko Swierdłow miał okna z widokiem na ogród. Ucieszył się, że czekało na niego tyle pracy; nigdy nie uznawał niedzieli za święto i po niespokojnym śnie w sobotę, kiedy wrócił z Barbadosu, już następnego ranka znalazł się w biurze. Czuł się zmęczony; nieprawdą byłoby, że spał równie źle jak przed urlopem, ale jego sen był płytki, budził się i przez okresy ponadgodzinne nie mógł ponownie zasnąć. Bolała go głowa i nie miał apetytu. Zamknął drzwi swego gabinetu i poszukał ucieczki w teczkach i listach ułożonych starannie na biurku.

Miał doskonałego sekretarza.

Kalinin pracował dla niego od chwili, gdy objął posadę w Waszyngtonie. Swierdłow wybrał jego, a nie jakąś panienkę. Był zbyt sprytny, by wybrać do tej roli jakąś atrakcyjną dziewczynę, ponieważ z doświadczenia wiedział, że trudno jest zachować dystans, gdy pracuje się blisko siebie dzień po dniu, a nie miał ochoty patrzeć godzinami na jakąś pracowitą jędzę o twarzy niczym rufa pancernika. Kalinin bardzo mu odpowiadał. Miał dwadzieścia siedem lat, był inteligentny, obowiązkowy i miał poczucie humoru, które Swierdłow potrafił docenić. Kalinin nie miał jednak służby w tę niedzielę. Kiedy Swierdłow

zadzwoił do sekretariatu chcąc go wezwać, do pokoju weszła młoda kobieta z notesem w ręku.

- Kim jesteście?

- Anna Skriabin, towarzyszu

Swierdłow. - Szybko odwróciła wzrok, jakby pułkownik ją peszył. Pamiętała polecenie generała Golicyna i próbowała naprawić swój błąd uśmiechając się do niego.

- Gdzie jest Kalinin? Dlaczego pani siedzi na jego miejscu?

- Zachorował - powiedziała. -

Ja mam tymczasowo go zastępować.

Mam nadzieję, że będziecie ze mnie zadowoleni, towarzyszu Swierdłow. Będę się starać.

Dobrze to odegrała. Swierdłow potrafił docenić jej nieśmiały uśmiech i speszony wyraz twarzy.

Czuł, jak jego ból głowy rozwija się przechodząc we wściekłe walenie.

- Co jest Kalininowi? Gdzie on jest?

- Nie wiem, towarzyszu

Swierdłow. - Miała niebieskie oczy podkreślone ciemnym cieniem. Otworzyła je szeroko. - Kazano mi tylko zgłosić się do was.

- W porządku. Widzę, że jedenastego odbyło się spotkanie ambasadora z Czechosłowackim chargé d'affaires. Nie mogę znaleźć sprawozdania z niego w moich papierach. Może wiecie, gdzie ono się podziało?

- Powinno tu być - powiedziała dziewczyna. Podeszła do biurka.

Jej nieśmiałość nie była tak całkiem udawana. Swierdłow obserwował ją, jak przegląda stos papierów. Wyjęła zeń kilka kartek spiętych razem i podała mu je. - Oto to sprawozdanie.

Przepraszam, że nie było na właściwym miejscu.

- Niedobrze jest popełniać błędy w pierwszym dniu pracy.

Ale ponieważ będziecie tu tylko tymczasowo, zapomnę o tym. Tylko proszę nie popełnić następnego.

Zadzwoię po was, kiedy będę chciał coś podyktować. I przynieście mi herbatę.

Kiedy wyszła, przeczytał sprawozdanie. Wszystkie sprawy odbywające się na poziomie ambasadorów przechodziły przez jego ręce. Czesi poprosili o spotkanie, ponieważ "Time" zwrócił się do nich z delikatną prośbą. Chodziło o to, jak obecny rząd w Pradze zapatrywałby się na wywiad z byłym pierwszym sekretarzem Dubczekiem. Ponieważ Dubczek mieszka w kraju, redaktor pisma nie chciał zrobić niczego, co byłoby źle widziane przez partię. Zwrócono się z tą sprawą do ambasady prosząc ją, by ta zapytała Pragę. Jednak rząd Czechosłowacji wolał nie dawać powodu do niezadowolenia swoim moskiewskim protektorom i sam podejmować decyzji, toteż polecił zasięgnąć opinii radzieckiego ambasadora.

Swierdłow przeczytał zapis tego spotkania. Ambasador uznał, że nie można pozwolić na ten wywiad. Dubczekowi pozwolono pozostawać w areszcie domowym pod warunkiem, że całkowicie zniknie z życia publicznego i nie będzie z nikim rozmawiał.

Z drugiej strony - ambasador był człowiekiem ostrożnym, o poglądach umiarkowanych - nie należy odmówić tego wywiadu w taki sposób, by Ameryka nabrała podejrzeń, że Dubczek źle się czuje i poddany jest restrykcjom. Spora część rozmowy dotyczyła właśnie tego problemu, zajmując kilka stron.

Czechosłowacki dyplomata miał zamiar nie przyznać reporterowi i fotografowi "Time'a" wiz.

Trudno byłoby im przeszkodzić w rozmowach z innymi dysydentami, gdy będą się swobodnie poruszać po kraju, a nie można dostarczać argumentów kapitalistycznej propagandzie, dając im eskortę podczas podróży. Radziecki ambasador zaproponował inne rozwiązanie. Nie należy zabraniać wywiadu z Dubczekiem, ale można nie wyrazić zgody na

skład ekipy, która ma tego dokonać. I zrobić to powtórnie, gdy zaproponują zastępców. W ten sposób przedsięwzięcie można by odkładać, aż pismo straci zainteresowanie projektem.

Swierdłow opatrzył swymi inicjałami dokumenty na znak aprobaty. W pewnej chwili weszła dziewczyna z herbatą; nie podniósł wzroku ani nie odezwał się do niej. Przedzierał się przez obfitą korespondencję dotyczącą amerykańskiej propozycji, by izraelski premier wysłał przedstawiciela spoza Onz na spotkanie z akredytowanym tam egipskim dyplomatą. Sprawa ta miała dla Rosji kluczowe znaczenie.

Swierdłow skoncentrował się.

Dokumenty były kopiami oryginałów, które przeszły przez Departament Stanu, ambasadę izraelską i brytyjską i obfitowały w komentarze brytyjskiego sekretarza spraw zagranicznych. Czytanie i rozważanie tego dokumentu zajęło Swierdłowowi resztę poranka.

Widział już kilka podobnych egzemplarzy wykradzonych pism, zawsze ujętych w ten sam płócienny skoroszyt opatrzoney nagłówkiem "Super Poufne, Kategoria I". Niezmiennie zawierały one niezwykle ważne z politycznego punktu widzenia informacje i pochodziły z tego samego źródła. Przekazywał je "Błękitny". Często zastanawiał się, czy w szeregach radzieckich wysokich urzędników też ukrywa się agent zdradzający Zachodowi równie "wybuchowe" tajemnice, jakie ich człowiek przekazywał im. Był oczywiście Pienkowskij; spowodował wiele szkód.

Swierdłow spotkał go kilka razy w Moskwie. Był widzem na jego procesie siedząc wśród wyselekcjonowanej publiczności.

Był to zasługujący na pogardę spektakl. Sędziowie skazali człowieka, który został zmuszony do obciążenia samego siebie.

Swierdłow doceniał znaczenie propagandowe tego przedstawienia, ale drażniła go jego hipokryzja. Sam wyciągnąłby po prostu Pienkowskiego z celi i zastrzelił bez tego makabrycznego cyrku w sądzie.

Nikt w ambasadzie nie znał tożsamości "Błękitnego", co świadczyło o jego znaczeniu.

Sekret ten przechowywano w
Moskwie, w głowie generała
Aleksandra Paniuszki, szefa
Kgb.

Swierdłow zadzwonił po dziewczynę. Uśmiechnęła się i nic nie mówiąc usiadła przy biurku, trzymając razem kolana osłonięte sukienką przyzwoitej długości; czekała na to, co jej podyktuje.

Swierdłow opatrzył korespondencję kryptonimem identyfikującym źródło informacji. Podyktował jej długi tekst, który miał być zaszyfrowany i wysłany do Moskwy. Chodziło o potwierdzenie informacji przekazanych przez "Błękitnego" oraz sugestię, że w związku z eskalacją napięcia w Kambodży warto by może poprzeć dążenia do tymczasowego pokoju między Izraelem a państwami arabskimi.

Dlaczego Kalinin tak nagle zachorował? Wciąż zadawał sobie to pytanie dyktując dziewczynie szyfrogram. Dlaczego Golicyń wyznaczył na jego miejsce taką nietypową sekretarkę?... Czy Anna Skriabin była "gołąbką"?

"Gołąbki" używane były do kilku celów, często do podrywania mężczyzn spoza ambasady. Miały rozmaite zawody; niektóre były manikiurzystkami pracującymi w luksusowych hotelach; inne, tak jak ta, doskonałymi sekretarkami, które można polecić komuś znajdującemu się pod obserwacją, na przykład komuś w ambasadach państw satelickich, a nawet w ich własnej kancelarii. Swierdłow wziął papierosa i zapalił go. Co ona robi na miejscu Kalinina?

- Gdzie jest towarzysz

Kalinin? - ponownie zapytał dziewczynę.

- Nie wiem - odpowiedziała mu tak samo. - Czy mam zadzwonić i dowiedzieć się, czy jest u siebie?

Swierdłow polecił jej to zrobić. Telefon odebrał jeden z kolegów Kalinina. Dziewczyna odwróciła się do niego zakrywając słuchawkę dłonią.

- To towarzysz Treczin. Mówi, że Igora Kalinina odesłano do domu na rekonwalescencję.

Poważnie zachorował podczas waszej nieobecności.

- Przykro mi z tego powodu -

Swierdłow wydmuchnął dym. - Ale to wyjątkowy pech. To wszystko, możecie odłożyć słuchawkę. Nie wiecie przypadkiem, co mu było?

- Nie, towarzyszu pułkowniku.

Powiedział tylko, że był poważnie chory. - Zwilżyła językiem wargi, pełne i pociągnięte modną półprzezroczystą szminką.

Wszystkie "gołąbki" były przeszkolone w rozmaitych perwersjach seksualnych.

Uśmiechnął się do dziewczyny wykrzywiając usta.

- Może zatrzymam was na stałe - powiedział. Przyjrzał się jej nie kryjąc się z tym, że ocenia jej walory. Opuściła rękę, tak by mógł zobaczyć kształt jej piersi; miała na sobie ciemny sweter i spódnicę, była blondynką o włosach zaczesanych do tyłu. W obu jej małych uszach lśniły naturalne perły.

Wyglądały bardzo ładnie i apetycznie, jak ciasteczka z różowym lukrem na wierzchu.

Jeśli miał jakieś wątpliwości, ten wystudiowany ruch odsłaniający piersi usunął je.

Golicyn podesał mu "gołąbkę" mając nadzieję, że zaskoczy go tym po wakacjach i zmusi do zatrzymania jej na stałe.

Swierdłow długo opanowywał sztukę udawania, że pada ofiarą czyjejś przebiegłości. Pewnie, że ją zatrzyma. Skoro pozbyli się Kalinina, który nigdy nie zwróciłby się przeciwko niemu, także i tę dziewczynę zastąpiliby inną donosicielką.

- Chciałaby pani ze mną pracować? - zapytał.

- O, tak.

- Czeka was ciężka praca. I nie wolno wam popełniać błędów.

- Zrobię wszystko, byście byli zadowoleni, towarzyszu Swierdłow.

- Dobrze - powiedział wciąż się do niej uśmiechając. - Jestem pewien, że będziecie się starać.

Rozdział piąty - Siadaj, Richard.

Przepraszam, że tak wcześnie cię wezwałem, ale muszę po południu lecieć do Nowego Jorku.

Fergus Stephenson otworzył duże opatrzone herbem pudełko i pchnął je w stronę Patersona.

Ten wyjął z niego papierosa i zapalił. - Nie szkodzi, sir.

Piękny dzień, prawda?

- Tak - odparł Fergus. -

Rzeczywiście. Miejmy nadzieję, że będziemy mieli ładną wiosnę.

W zeszłym roku była fatalna. Ale przecież ciebie tu nie było.

- Nie - przyznał Paterson.

Palił i czekał, aż pierwszy sekretarz ambasady przejdzie do rzeczy. Sposób postępowania różnił się tutaj od tego obowiązującego w wojsku. Zajął się rozmyślaniami nad pochodzeniem słowa "dyplomatycznie" i jego konotacjami: takt, wrażliwość na sprawy publiczne. Weszło ono do powszechnego użytku wykraczając poza swą definicję. Oznaczało teraz zdolność do zakomunikowania czegoś nieprzyjemnego w sympatycznej formie. Właśnie to miał teraz zrobić Stephenson. To było takie angielskie, ta cała rozmowa o pogodzie, jakby nagły promyk słońca cokolwiek ich obchodził.

Przyglądał się Stephensonowi i ze zdziwieniem dostrzegł strużkę potu na jego czole. Cierpiał, zupełnie jakby to on, a nie Paterson siedział po niewłaściwej stronie potężnego biurka.

- Czy jesteś zadowolony ze swej pracy? Pewnie tęskniłeś za żoną, gdy tu się zjawiłeś.

Nielatwo jest być słomianym wdowcem.

- Jestem bardzo zadowolony. I jak pan mówi, teraz mam ze sobą Rachel, wszystko jest w porządku. Bardzo podoba się jej Waszyngton; wszyscy są dla niej tacy mili, zwłaszcza pańska małżonka. Rachel jest nią zachwycona.

- Margaret bardzo ją lubi - przyznał Fergus. Wszystko szło we właściwym kierunku; zupełnie jakby Paterson wiedział, dokąd on zmierza i podpowiadał mu właściwe odpowiedzi.

- Sam kilka razy byłem w miejscach, gdzie Margaret nie mogła mi towarzyszyć; pamiętam, że czułem się samotny i dość znudzony, zwłaszcza wieczorami.

Pewnie też tak się czułeś na początku pobytu tutaj.

Paterson od razu zrozumiał do czego on zmierza. Dokończył papierosa i starannie zgasił go w popielniczce stojącej na biurku.

- Tak - przyznał. Jeśli teraz sknoci sprawę, Stephenson postawi przy jego nazwisku krechę, co może mieć wpływ na jego następną posadę. Podjął szybką decyzję opierając się na swej ocenie siedzącego przed nim człowieka. Kłamstwo byłoby najgorszą rzeczą. Spojrzał na Stephensona.

- Byłem samotny jak diabli - wyrzucił z siebie. - W dodatku, jeśli mam być szczery, moje stosunki z Rachel nie były wtedy najlepsze. Nie chciała opuszczać Anglii, a mnie zbyt zależało na tej posadzie, bym z niej zrezygnował. Zdaje się, że popełniłem wtedy głupstwo. Czy o tym chce pan ze mną mówić?

- Wcale nie chcę z tobą o tym mówić - odrzekł Fergus. - Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest wtrącanie się w twoje prywatne życie, Richard. Nie uważam, by ktoś miał do tego prawo. Niestety, sprawy wydostały się spod mojej kontroli. Słyszę, że bardzo zaprzyjaźniłeś się z pewną dziewczyną w Nowym Jorku. Czy tak?

- Tak - przyznał Paterson. -

Latałem tam regularnie, by się z nią spotkać, raz w tygodniu.

Mogę zapytać, skąd pan o tym wie?

- Obawiam się, że nie.

- Chyba się domyślam. -

Paterson wyjął własną papierośnicę, poczęstował Stephensona i po pokoju rozszedł się mocny aromat tureckiego tytoniu. - Sprawdzone, czy nie stwarzam zagrożeń dla bezpieczeństwa naszej placówki.

Powinienem się być tego spodziewać.

- Dla mnie to równie przykra sprawa, jak dla ciebie - powiedział Fergus. - To obrzydliwe, ten cały pomysł ze szpiegowaniem i zabawą w podglądaczy w stosunku do naszego własnego personelu. Ale nikt z nas nie jest od tego wolny, jeśli to stanowi dla ciebie jakieś pocieszenie. Mam ci do powiedzenia, co następuje.

Po pierwsze, nie chcemy wywoływać żadnego skandalu, mam na myśli ambasadę; słyszałem, że twoja żona spodziewa się dziecka, a ambasador jest bardzo czuły na punkcie takich rzeczy.

Poza tym jednak, i o to głównie chodzi, ta dziewczyna, z którą się przyjaźniłeś, została uznana za osobę niepewną. Musisz zerwać z nią wszelkie kontakty i to natychmiast.

Zauważył zaskoczenie na twarzy młodszego mężczyzny; była to sympatyczna twarz, wyrazista, o ostrych rysach, w typie, jaki lubiła jego żona. Zmieniała teraz kolor stając się czerwona, a usta rozchyliły się lekko.

- Ona osobą niepewną? Ależ to niemożliwe, sir. Nie mogę w to uwierzyć!

- Obawiam się, że nie ma to nic do rzeczy - zauważył Fergus.

- Ja też nie wierzę w połowę historii, jakie opowiada mi wywiad, ale muszę przyjmować ich uwagi i działać zgodnie z nimi.

Pani Farrow jest podejrzana.

Słusznie czy nie, została uznana za osobę niepewną. Jeśli będziesz się nadal z nią zadawał, zostaniesz odwołany.

Nasza sekcja ochrony dopilnuje tego.

- Mój Boże - powiedział

Paterson. Był wyraźnie wstrząśnięty i Fergus dał mu kilka chwil na przyjście do siebie. Zastanawiał się, czy Paterson kocha tę dziewczynę.

Jego własny instynkt, wyostrzony przez lata obserwacji układów we własnym domu, podpowiadał mu, że związek uczuciowy łączący tych dwoje nie był zbyt mocny.

Mężczyźni w rodzaju Patersona bardziej kochali siebie niż kobiety. Znał ten typ.

- Muszę cię prosić o zgodę.

Nic na piśmie, wystarczy ustne zapewnienie.

- Oczywiście - zgodził się

Paterson. Czuł, jak ogarnia go gniew. Osoba niepewna. Cóż, na Boga, mogło to znaczyć? Co to oznaczało biorąc pod uwagę, że spali ze sobą, ufał jej i opowiadał...?

- Daję panu moje słowo honoru, sir. Nie zobaczę się z nią ani nie będę próbował się z nią kontaktować. W gruncie rzeczy zerwaliśmy ze sobą - dodał. - Jakies trzy tygodnie temu. - Mój Boże - powtórzył. - Nie mogę w to uwierzyć.

Nagle podniósł głowę. - Ona pracuje dla Sama Nielsona w Onz. Czy wasi ludzie od ochrony wiedzą o tym. To bardzo odpowiedzialna praca, z dostępem do poufnych dokumentów.

Nie, zdecydował Fergus, ze strony Patersona nie było to głębokie przywiązanie. Na pewno jej nie kochał. - Jestem pewien, że wiedzą o niej wszystko, co trzeba.

- Trzeba uprzedzić Nielsona - szarżował dalej Richard z gniewem. Jednocześnie usiłował sobie przypomnieć, czy Judith pytała go kiedyś o jego pracę.

Mogła zrujnować mu karierę.

- Zostawiłbym to naszym psom myśliwskim - powiedział Fergus.

Zaczynał darzyć Patersona niechęcią.

- Nigdy jej niczego nie powiedziałem, nie muszę chyba tego panu mówić - dorzucił Richard. - I, prawdę mówiąc, nigdy nie próbowała niczego ze mnie wydobyć.

- Ona nie jest szpiegiem - przerwał mu Fergus. - Proszę nie przesadzać. Uznano ją tylko za niepewną, a to może znaczyć bardzo wiele. Na twoim miejscu zapomniałbym o całej sprawie. A już z pewnością zapomniałbym o pani Farrow.

- Proszę się nie martwić. Taki mam właśnie zamiar.

- Dziękuję, Richard. Mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt nieprzyjemne. To nie są rozmowy, jakie lubię prowadzić.

- Potraktował mnie pan wyjątkowo łagodnie, sir. - Paterson podniósł się wyciągając rękę. Fergus potrząsnął nią. - Bardzo dziękuję za przestrożę. Życzę miłego pobytu w Nowym Jorku.

- To nie będzie przyjemny dzień. Czeka mnie nuda, siedzenie w charakterze obserwatora na okropnej pierwszej sesji równie okropnej Rady Bezpieczeństwa. Zaprosiła mnie nasza ambasada przy Onz i nie mogłem odmówić.

POprzedni wieczór spędził z

Loderem. Zaprosił go do siebie, a Margaret odmówiła zejścia i wypicia z nimi grzecznościowego drinka przed kolacją.

- To okropny prostak - powinien kierować gdzieś ruchem drogowym, a nie pracować w ambasadzie obok uczciwych ludzi.

Skoro zaprosiłeś go do domu, to twoja sprawa. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! - Powiedziała to, zanim wyszła z pokoju, jak zwykle trzaskając drzwiami.

Fergus powstrzymał się od uwagi, że to za jej sprawą Loder znalazł się w kręgu osób zapraszanych przez nich. A takt Lodera, tak niezwykły u człowieka tego pokroju, sprawił, że Fergus stał się jego dłużnikiem. Te pół godziny spędzone w gabinecie z Loderem, gdy próbował znaleźć odpowiednie słowa, by poinformować go, że jego żona uzyskała od kogoś poufne informacje, ale nie chce zdradzić od kogo, było jednym z najgorszych przeżyć w życiu Fergusa. Wszystkie pytania i odpowiedzi wisiały w powietrzu, kryły się w chwilach milczenia, które zapadało między dwoma mężczyznami, ale Loder ich nie wypowiedział. Nastąpił przeciek, ale - rzecz jasna - pani Stephenson nie chciała przysporzyć tej osobie kłopotów.

Nietrudno jednak będzie odkryć winowajcę. Stephenson może zostawić tę kwestię jemu. Ani jemu, ani jego żonie nikt nie będzie zawracać z tego powodu głowy. Zostało to załatwione tak delikatnie, że Fergus przesadził z wdzięcznością, chcąc zrekompensować poprzednią niechęć do tego człowieka i zaprosił go do domu na kolację.

Loder próbował się wymówić wyczuwając, że jest to próba podziękowania mu za wszystko, co pozostało niewypowiedziane. Ale Fergus nalegał i tak zjedli kolację we dwóch, w wieczór przed jego rozmową z Patersonem.

Ku swemu zdziwieniu Fergus uznał ten wieczór za przyjemny.

Dał Loderowi czas na pozbycie się nieśmiałości; robił wszystko, co w jego mocy, by dać mu odczuć, że cieszy się popularnością wśród personelu ambasady, i ten otworzył się, z początku ostrożnie, a potem z coraz większą śmiałością. Był wybitnie inteligentny; szczerze uwielbiał klasyków, co tak zaskoczyło Fergusa, że zachęcał go do długiej rozprawy na temat zalet Tacyta jako historyka społecznego i wojskowego. Był to dziwny wykład, podczas którego pedanteria przeplatała się z wulgarnymi określeniami, nadając jakimś cudem temu wywodowi znamię oryginalności. Fergus zapomniał o upływie czasu; Loder zupełnie nie zdawał sobie z niego sprawy. Obaj odkryli, że łączy ich coś więcej niż zamiłowanie do klasyki; przez jakiś czas Loder prowadził na uniwersytecie kurs poświęcony muzyce średniowiecznej.

Stephenson posiadał sporą kolekcję chorałów wczesnogregoriańskich.

Zakończyli wieczór słuchając kilku płyt. Wychodząc Loder odwrócił się i wyciągnął rękę.

Twarz miał zarumienioną, oczy bardziej różowe niż zwykle, co w brzydki sposób podkreślało kontrast, jaki stanowiły jego rudawe włosy. Nie pił nic poza wodą - gdyby nie to, Fergus mógłby pomyśleć, że znajduje się pod wpływem alkoholu.

- To był bardzo przyjemny wieczór - stwierdził Loder. - Najlepszy od czasu mego przyjazdu do Waszyngtonu.

Przeniósł mnie w czasy bezpośrednio po wojnie. Dziękuję panu bardzo. To była prawdziwa przyjemność.

- Dla mnie również - odparł

Stephenson. Naprawdę tak uważał.

- Musi pan jeszcze kiedyś wpaść.

- Poszedł na górę do swego pokoju; drzwi pokoju jego żony były otwarte i padało stamtąd światło. Usłyszał jej rozgniewany głos o dyktatorskim tonie.

- Fergus! Nie kładź się jeszcze do łóżka. Chodź tutaj!

Wszedł do jej pokoju zatrzymując się w drzwiach.

Siedziała na łóżku, a jej twarz bez makijażu wydawała się naga, choć ładna; oczy z wiecznym wyrazem pogardy zajmowały w niej poczesne miejsce. - I co, jak minął wieczór? - Naśladowała akcent Lodera. - Czy powiedział ci, kto to był tym razem?

- Nie. Nie wspomniał nawet o twoim przyjacielu. I jestem pewien, że zrobi wszystko, by ochronić twoje dobre imię, więc nie musisz się martwić.

- Wcale się nie martwię. To ty powinieneś się martwić, bo to ty wyjdiesz na głupca, nie ja.
- Była jednak zaniepokojona; poznał to po jej sposobie mówienia. Zachowywała się zbyt agresywnie jak na osobę pewną siebie.

- Loder nigdy nie wplączę nas w żaden paskudny skandal. To uczciwy facet. Trochę lepiej go dziś poznałem i polubiłem.

- Oo? - Brwi nad wrogimi błękitnymi oczami wygięły się w łuk. - Doprawdy? Nie mów mi tylko, kochanie, że on jest jednym z tych?

Zamknął drzwi nie odpowiadając jej. To było najlepsze wyjście.

Nigdy nie wygrał z nią utarczki słownej, ponieważ z natury był człowiekiem spokojnym i brakowało mu niezbędnego talentu do zadawania bólu przy pomocy słów. Nigdy zresztą nie próbował go osiąść.

Kiedy jego żona czyniła podobne uwagi, uważał ją po prostu za osobę obrzydliwą i uciekał od niej jak mógł najdalej. Rozmyślił się i postanowił nie kłaść się jeszcze. Wrócił na dół; zapalił światła w swoim gabinecie i usiadł, chcąc posłuchać ostatniego nagrania, które puszczał Loderowi.

Było to Kyrie elejson w wykonaniu chóru katedry św.

Piotra. Myśl, że osiemset lat temu armie krzyżowców z tą pieśnią ruszały przeciwko niewiernym, działała kojąco.

W biurze Judith zadzwonił telefon. Odebrała go pani z centrali telefonicznej. - Pani Farrow, rozmowa prywatna do pani, jakiś pan Swierdłow na linii. Mam go połączyć?

Jej puls przyspieszył; zauważyła, że stoi z jedną ręką na lewej piersi, w teatralnej pozycji aktorek ze starych melodramatów.

Kiedy podczas weekendu dzwonił w jej mieszkaniu telefon, była przygotowana na to, że usłyszy jego głos. Skoro to nie nastąpiło, uznała, iż on nie skontaktuje się z nią. Nie spodziewała się, że może zadzwonić do biura.

- Pani Farrow? Czy mam go połączyć?

- Tak. Dziękuję bardzo.

Jego akcent był bardziej dobitny przez telefon.

- Halo - powiedział. - Jak się masz?

- Bardzo dobrze. A ty?

- Ja też. Moglibyśmy powtarzać to do końca rozmowy. Chcę się z tobą zobaczyć. Zjesz ze mną dzisiaj kolację?

Nie odpowiedziała.

"Skontaktuje się z panią" - powiedział Loder. "Proszę mi tylko obiecać, że zawiadomi mnie pani, gdy to nastąpi".

- Nie - odpowiedziała. - Nie sądzę, by to był dobry pomysł. - Nie przyszedł jej nawet do głowy żaden wykręt.

- Oo. Miałaś gości?

- Tak. Dokładnie jak mówiłeś.

- I boisz się spotkać ze mną?

- Ton jego głosu sprawił, że zobaczyła go tak wyraźnie, jakby był w tym samym pokoju.

- Wcale nie. Dlaczego miałabym się bać?

Ponownie pomyślała o Loderze.

Usłyszała, jak Swierdłow się śmieje. - W takim razie będę na ciebie czekał po pracy. O której kończysz?

- O szóstej, szóstej trzydzięci. Ale czy jesteś pewien, że to rozsądne? Mam na myśli ciebie.

- Bardzo rozsądne. I konieczne. Brakuje mi przekomarzania się z tobą.

Spędziłem nudny weekend.

- Ja też. - Zaczęła się uśmiechać. - Gdzie będziesz czekał?

- W samochodzie, na rogu
Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy.
Dokładnie o szóstej trzydzieści.

- Dobrze. O szóstej trzydzieści.

Nie powiedział: do widzenia; na linii zapanowała cisza.

Odłożył słuchawkę, a ona przez chwilę jeszcze trzymała ją w ręku. Drzwi były otwarte i Nielson na pewno słyszał każde jej słowo. Niewiele jednak mógł z tego zrozumieć. Wróciła do jego gabinetu, by zapisać to, co miał jej do podyktowania.

Paweł Iljicz Golicyn miał siedemdziesiąt lat. Urodził się na Ukrainie w szóstym roku panowania ostatniego cara. Jego pradziadkowie byli chłopami pańszczyźnianymi; jego dziadek został uwolniony na mocy dekretu liberalnego autokraty Aleksandra III, którego w nagrodę rewolucjoniści rozerwali bombą na kawałki. Golicyn urodził się w nędznej norze w wiosce należącej do włości moskiewskiego księcia, którego nikt nigdy nie widział na oczy.

Za pamięci ojca Golicyna olbrzymi pałac otoczony stoma akrami ogrodów nigdy nie był zamieszkały. Księżę był właścicielem ziemi, ojciec księcia był właścicielem ludzi ją uprawiających; była tam szkoła, do której chodził Paweł; w przeciwieństwie do większości dzieci bardzo starał się czegoś nauczyć. Kiedy ją ukończył, zostając terminatorem u stolarza, umiał czytać i pisać.

W rodzinie było ośmioro dzieci, wszystkie jasnobłond, zwaliste, wesołe i niezależne, bose, o żołądkach, które znały mięso jedynie dwa razy w roku. Trzy dziewczynki i pięciu chłopców; jedna siostra i bracia bliźniacy zmarli pewnej zimy, kiedy Paweł miał dwanaście lat. Nie było dla nich lekarstwa ani nawet dodatkowego koca, by ogrzać umierającą dziewczynkę. Jego matka klęczała przed prymitywnie namalowaną ikoną św.

Mikołaja_cudotwórcy, modląc się monotonnym głosem o ratunek dla swoich dzieci.

Jej syn obserwował ją uważnie; często, gdy cała rodzina klęczała razem z nią, Paweł milczał - przyglądał się i zastanawiał, ciekaw czy kawałek drewna ze stylizowaną podobizną nieżyjącego świętego naprawdę uratuje im życie. Kiedy dzieci umarły w odstępie dwóch dni, Paweł Golicyn został ateistą.

Nic nie powiedział; lepiej było trzymać język za zębami, gdy chodziło o myśli dotyczące rzeczy zakazanych, jak to, że całkowite uzależnienie ludzi od dekretów cara oznacza nieznośną tyranie lub przypuszczenie, że życie po śmierci, obiecywane przez prawosławne chrześcijaństwo, jest mitem.

Wyuczył się stolarskiego rzemiosła, a w wolnych chwilach pożyczał książki od nauczyciela.

Czytał wszystko, czyniąc zdecydowane wysiłki, by poprawić swoje wykształcenie. Miał czternaście lat, kiedy pewnego letniego popołudnia po nauczyciela i jego żonę przyszła policja. Znalaziono u niego i publicznie spalono skład rewolucyjnych książek i broszur.

Nikt nie znalazł literatury, którą nauczyciel powierzył Golicynowi. Zapakował on wszystko do płóciennego worka i zakopał w rowie za domem, gdzie książki przeleżały przez rok.

Nowy nauczyciel był starym człowiekiem, który z trudem potrafił czytać z własnych podręczników. Był niechlujny i kłótlivy, i wydawało się mało prawdopodobne, by mógł pobudzać okoliczną młodzież do niezależnego myślenia lub działalności rewolucyjnej. Zajął się tym Paweł Golicyn w imieniu poprzedniego nauczyciela, który został skazany na dwanaście lat ciężkich robót w kopalniach Syberii. Jego żona zmarła od razów, jakie spadły na ich oboje po aresztowaniu. Ale w tych pierwszych latach Golicyn postępował bardzo ostrożnie.

Nigdy nie przejawiał tej zapalczącej żarliwości, która wielu mu współczesnych oddała w bezlitosne łapy carskiej Ochrazy. Golicyn nie ryzykował; nie dostrzegał żadnych zalet męczeństwa, gdy tyle było do zrobienia i tak niewielu wykształconych ludzi, którzy mogli to zrobić. Był rewolucjonistą ulepionym z tej samej gliny, co jego idol, Lenin, którego jednym z największych sukcesów było spędzenie zaledwie czterech lat w więzieniu podczas tego burzliwego okresu. Gorączka rewolucyjna nieco przygasła w momencie wybuchu wojny między Rosją a Niemcami. Naturalny patriotyzm obywateli stanowił oparcie dla wojny i pomagał przez pierwszy rok znieść ciężkie straty, bałagan i marnotrawstwo na niespotykaną skalę. Jednak w 1917 roku morale żołnierzy rosyjskich było bardzo niskie; przyczyniły się do tego pogłoski, że rządy znajdują się w rękach urodzonej w Niemczech carycy; ich straty były koszmarnie wysokie, a w wielu wypadkach brakowało amunicji.

Armia zdeponowała cara i wracała z frontu do kraju.

Jednym z dowódców Wołyńskiego

Regimentu stacjonującego wówczas w Petersburgu był Paweł Golicyn; w oddziale rozstrzelano oficerów, wywieszono czerwone sztandary i przyłączono się do zrewoltowanego tłumu na ulicach.

Czterdzieści pięć lat później był generałem, jednym z ostatnich starych bolszewików, którym udało się przeżyć; człowiekiem, który był na tyle ostrożny, że przetrwał terror stalinowski niezachwiany w swej wierze, że wojnę ideologiczną można wygrać jedynie przez totalne zwycięstwo, a nie przez pokojowe kompromisy. Jego mentalność niewiele się zmieniła od czasu, gdy jako siedemnastoletni chłopak przyczepił czerwoną flagę do swego karabinu i stanął na czele tłumu na ulicach Petersburga pragnąc zmienić bieg historii świata. Będąc starym człowiekiem myślał i odczuwał podobnie jak przez te wszystkie lata, które upłynęły od tamtego czasu. Jego absolutne posłuszeństwo partii przypominało uległość jego pradziadka wobec księcia, który był jego właścicielem.

Generał nienawidził Fiodora

Swierdłowa; uważał go za jednego z niebezpieczniejszych ludzi pracujących w wywiadzie, za kogoś, kogo poglądy uległy zepsuciu wskutek kontaktu z kapitalistycznym wrogiem, za zwolennika kompromisu i koegzystencji. Golicyn wstąpił do Czeki w 1919 r. i zabrał się za dławienie kontrrewolucji z krwawym zacięciem i bez krzty litości. Uważał swoją pracę za powołanie; przyjął i stosował metody Berii nie kwestionując ich słuszności. Myśl, że wspiera rządy terroru równie nieludzkiego jak tyrania, którą one zastąpiły, nigdy nie przyszłyby mu do głowy.

A przecież zachował jedną cechę, dzięki której nie stracił pracy po upadku Berii. Był posłusznym wykonawcą poleceń, a nie człowiekiem, którego ambicje czynią z niego podejrzanego. Nie miał nic przeciwko służbie pod rozkazami Swierdłowa cieszącego się znakomitą opinią i wybitnymi zasługami za udział w tłumieniu powstania węgierskiego. Nadzieja na osobiste korzyści nie pchnęłaby Golicyna do działań skierowanych przeciwko przełożonemu, natomiast polityczne odchylenie sprawiło, że stać go było na największą przebiegłość i nielojalność, z którymi poprzednio bał się jednak zdradzić przed szefami w Moskwie. Cechowała go typowa dla chłopów podejrzliwość wobec intelektualistów; nie lubił Swierdłowa jako człowieka i przedstawiciela pokolenia, dla którego nie żywił żadnej sympatii; zbyt młodego, by znać którąkolwiek z wojen, o przekonaniach stępionych przez liberalizm - stary człowiek obserwował go i utyskiwał na niego w duchu, czekając cierpliwie na okazję, gdy będzie mógł otwarcie dać upust swej nienawiści. Swierdłow zdradzał partię, ale robił to z subtelnością typową dla ludzi bez politycznego kręgosłupa.

Teraz, w związku ze zmianą w polityce radzieckiej, Golicyn mógł bezpiecznie go zadenuncjować. Tego ranka generał był w drodze do gabinetu Swierdłowa; szedł wolno korytarzem; każdy znał dudnienie jego ciężkich kroków.

To była jego ostatnia posada.

Już dawno przekroczył wiek emerytalny, ale pozwolono mu zostać w Stanach do czasu wygaśnięcia kontraktu. Był wdowcem, a jego dorosłe dzieci prowadziły samodzielne życie; praca nadawała sens jego życiu, bez niej pozostaje mu fotel i czekanie na śmierć. Anna Skriabin złożyła mu raport po trzech dniach pracy u Swierdłowa. Dokładnie przestudiował kopie odpowiedzi pułkownika na informacje przekazane im przez "Błękitnego" i opatrzył je swymi uwagami na marginesie. Te kopie wraz z oryginalnym raportem Swierdłowa trafią na Plac Dzierżyńskiego.

Pułkownik znowu proponował miękkie postępowanie, chytrze zasłaniając się sytuacją w Kambodży. Jedynie zdrajca mógł doradzać, by Związek Radziecki zrezygnował z nieustępliwego nacisku na Izrael. Pomysł zachęcania Egiptu do przyjęcia emisariusza Tel Awiwu był kolejnym dowodem, że Swierdłow przyjął punkt widzenia kapitalistów. Generał zawarł tę myśl w swoich komentarzach na marginesie. Decyzja Swierdłowa, by wyjechać na urlop, dała Golicynowi okazję do zrobienie czegoś, co było ważną częścią planu usunięcia i następnie postawienia go w stan oskarżenia. Podczas nieobecności generał mógł w końcu dobrać się do jego sekretarza Kalinina, którego lojalność wobec swego szefa czyniła podejrzanym; łatwo przyszło Golicynowi załatwić wyjazd młodego człowieka do kraju, gdzie został aresztowany i poddany przesłuchaniom.

Cokolwiek uda się z niego wydobyć, zostanie wykorzystane przeciwko pułkownikowi w jego procesie. Generał nie był tchórzem, ale obawiał się nieco reakcji Swierdłowa na wieść o utracie swego sekretarza i zastąpieniu go kimś innym. Ufał jednak, że atrakcyjność i urok nowej sekretarki odwróci uwagę Swierdłowa od prawdziwego znaczenia "choroby" Kalinina.

Na wszelki wypadek starannie się zabezpieczył każąc zbadać sekretarza lekarzowi ambasady, który posłusznie uznał, że znajduje się on na skraju załamania nerwowego i powinien zostać wysłany do domu na długi odpoczynek. Kalinin protestował energicznie przeciwko badaniu i diagnozie. W końcu trzeba było zaaplikować mu siłą środki usypiające i wsadzić do łóżka, aż samochód zawiózł go pod opieką pielęgniarki na międzynarodowe lotnisko im.

Kennedy'ego. W poniedziałek rano

Swierdłow otrzymał orzeczenie lekarskie wraz z notatką Golicyna, który, odczekawszy aż szef je przeczyta, postanowił teraz porozmawiać z nim osobiście.

Anna Skriabin była jedną z najlepszych jego dziewczyn; wybrał ją nie tylko dlatego, że miała wprawę w szpiegowaniu swoich pracodawców, ale ponieważ wiedział, iż jest w typie Swierdłowa. Słabość pułkownika do kobiet była powszechnie znana; dziewczyny pracujące w ambasadzie rywalizowały ze sobą o jego względy. Jego zainteresowanie nimi miało zawsze charakter służbowy i trwało krótko, ale ostatecznie Anna Skriabin nie musi utrzymać się długo na swoim stanowisku; chodzi o to, by Swierdłow siedział cicho, dopóki eksperci z Łubianki nie dobiorą się do Kalinina.

Jeszcze podczas nieobecności pułkownika Golicyn dowiedział się o jego związku z Angielką w hotelu na Barbadosie.

Zorganizowanie nadzoru nad nim nie stanowiło wielkiego problemu; mieli na wyspie stałego agenta, głównie dlatego, że polityczne zaburzenia czyniły z obszaru Karaibów ważną strefę walki ideologicznej, a Barbados mogło pewnego dnia pójść w ślady Trinidadu i Gujany i stać się terenem działania czarnej partyzantki nacjonalistycznej.

Zwerbowano więc niewiele znaczącego człowieczka, który mógł stać się jądrem prawdziwej siatki, gdy zajdzie taka potrzeba. Opłacił on w hotelu kelnera, który często obsługiwał Swierdłowa, a ten z kolei dał łapówkę pokojówce. W jego pokoju nic nie znaleziono, nie przyjmował żadnych gości z zewnątrz, ale każdy szczegół dotyczący jego romansu z Judith Farrow znalazł się w dossier przygotowanym przez Golicyna dla przełożonych w Moskwie.

Generał wszedł do sekretariatu. Przy biurku siedziała Anna Skriabin segregując gruby plik dokumentów. Spojrzała znad biurka i szybko wstała.

- Powiedzcie towarzyszowi Swierdłowowi, że przyszedłem.

Zapukała do drzwi gabinetu i otworzyła je. Pułkownik spojrzał na nią zza biurka i uśmiechnął się.

Zamieniła z nim kilka słów, po czym przytrzymała drzwi i wpuściła do środka generała. Wymienili uścisk dłoni,

Golicyn przyjął zaproponowanego papierosa i usiadł; siedzieli naprzeciwko siebie oddzieleni biurkiem. Swierdłow wyglądał bardzo dobrze; przybrał nieco na wadze, a na twarzy miał uśmiech.

Golicynowi nie podobały się jego wykrzywione usta. Trudno było czasami stwierdzić, czy wyrażają życzliwość, czy ironię.

- Dobrze wyglądacie, towarzyszu pułkowniku - powiedział. - Udał się wam urlop?

- O tak, i to pod wieloma względami, ale o tym opowiem wam później. Teraz powiedzcie mi - zamrugnął powiekami z powodu dymu - powiedzcie mi o Kalininie.

Golicyn był na to przygotowany. - Przedłożyłem wam kompletny raport.

- Czytałem go, ale chciałbym poznać szczegóły.

- Objawiał symptomy stresu.

Kilka osób zameldowało, że źle sypia w nocy i pije. Czy wiedzieliście o tym, towarzyszu pułkowniku? Nie? Cóż, przeszukano jego pokój i znaleziono za łóżkiem i w szufladach puste butelki.

Zaniepokoiłem się; ponieważ was nie było, a wiedziałem, że Kalinin ma dostęp do wielu bardzo poufnych informacji, kazałem mu nie opuszczać gmachu ambasady do waszego powrotu.

Odmówił wykonania tego polecenia. Postanowiłem, by został zbadany przez lekarza.

Resztę znacie z mojego sprawozdania. Przykra sprawa.

- Delikatnie mówiąc. Trudno mi się bez niego obyć. Poza tym czuję się odpowiedzialny za jego chorobę. Może kazałem mu pracować zbyt ciężko.

- Tak - Golicyn skinął swą siwą głową. - Taka była opinia lekarza. Jeśli nie jesteście zadowoleni ze Skriabin, mogę wymienić ją na mężczyznę.

- Doskonale sobie radzi - stwierdził Swierdłow. - Jest bardzo obowiązkowa. Może zatrzymam ją na stałe, a może nie. Bardziej można polegać na mężczyźnie na tym stanowisku.

Kobiety zbyt się angażują. -

Spod półprzymkniętych powiek obserwował Golicyna. Ale ten był jak skała. Podesłał swego szpiega, specjalnie spreparowaną kapsułkę arszeniku w cukrowej polewie. Nie warto udawać, że połknął ją zbyt szybko.

- Przejrzałem raporty sporządzone przez was w ciągu tych dwóch tygodni. Był wśród nich ten ciekawy materiał od "Błękitnego". Dopisałem tam moje sugestie.

- Widziałem - stwierdził

Golicyn.

- Nie zgadzacie się ze mną? -

Pytanie zostało zadane cicho.

Dwa lata temu stary generał nie zdobyłby się na powiedzenie prawdy. Swierdłow był wówczas panem życia i śmierci jego i wszystkich pracowników placówki, włącznie z ambasadorem. Tak było w przeszłości. Wprawdzie pułkownik o tym nie wie, ale teraz pistolet jest wymierzony w jego kark. Tak więc udzielił odpowiedzi głosem pewnym siebie.

- Nie uważam, byśmy powinni sprzyjać jakimkolwiek inicjatywom pokojowym na Bliskim Wschodzie. Sądzę, że powinniśmy prowadzić wojnę z kapitalizmem w każdym zakątku świata, w którym utrzymują się wpływy imperializmu.

- Nie uważacie, że jeśli

Amerykanie dokonają interwencji w Kambodży, do konfliktu mogą wtrącić się Chiny... Nie sądzę, by stać nas było na dalsze angażowanie się w konflikt arabsko_izraelski. Musimy robić wszystko, by Chiny nie rozszerzyły swych wpływów na Dalekim Wschodzie. Tak ja to widzę To, czy Żydzi wymordują Arabów, czy Arabowie wykończą Żydów, nie ma dla nas tak wielkiego znaczenia jak utrzymanie potęgi Związku Radzieckiego w obliczu naporu maoizmu. Nic nie zmienia moich przekonań. Jestem zdziwiony, że widzicie to inaczej.

- Ja nie wierzę, byśmy nie potrafili rozwiązać konfliktu z socjalistycznymi Chinami - odparł Golicyn. Był poddawany testowi i miał dość pewności siebie, by odpowiedzieć zgodnie ze swymi przekonaniem. - Nasze cele są identyczne; powstałe nieporozumienia są wynikiem błędów popełnionych przez byłe kierownictwo. Zbyt łagodne traktowanie naszych prawdziwych wrogów. Świat kapitalistyczny należy zniszczyć, towarzyszu Swierdłowie. Nasz styl życia nie może koegzystować z ich stylem życia. Sam pomysł koegzystencji oznacza zdradę rewolucyjnego socjalizmu. Musimy pokonać ich system, jeśli nasz ma przetrwać.

Dla tego wspólnego celu powinniśmy bliżej współpracować z Chinami.

- Nie wierzę, że mamy ten sam wspólny cel - stwierdził Swierdłowie. On też robił wszystko, by przedstawić z całą mocą swój punkt widzenia; jeśli siedzący naprzeciwko niego stary przyk ma jakieś poczucie globalnej sytuacji, może zobaczyć to, co widzi Swierdłowie.

Może, chociaż to bardzo wątpliwe. Człowiek tego pokroju nigdy nie wychodzi poza dogmaty swego bolszewickiego wychowania.

Dlatego właśnie trzeba było tylu ich wykończyć po zwycięstwie rewolucji.

- Uważam, że Chiny będą zawsze tym, czym były - nacjonalistycznym mocarstwem o tradycjach imperialnych, które nie zostały w znaczący sposób zmienione przez marksizm. Jeśli spojrzeć na tę kwestię w aspekcie historycznym, Chiny nie tyle dokonały postępu, co cofnęły się. Odrzuciły swą niedawną przeszłość, przestając być federacją osobnych prowincji rządzonych przez gangsterów w rodzaju Czang Kaj_szeka i stając się tym, czym były przed ośmioma wiekami: ogromnym krajem o największej liczbie ludności na ziemi, rządzone przez Mao Tse_tunga, cesarza Chin. Nie ulega wątpliwości, że zniszczą świat kapitalizmu i będą rządzić tym, co z niego pozostanie.

Jeśli cokolwiek pozostanie...

Ale jednocześnie zwrócą się przeciwko nam, jako jedynym pretendantom do władzy absolutnej. Kocham swój kraj, generale; nie uważam, by można było ujarzmić chińskiego tygrysa; nie wierzę, by można było podejść dostatecznie blisko i spróbować tego bez obawy, że zje nas żywcem.

Golicyn potrząsnął głową.

Słuchał uważnie, choć sens tego wywodu nie dotarł do niego.

Zauważył jedynie, że Swierdłowie atakował Chiny ani razu nie wspominając o niesprawiedliwościach zachodniego kapitalizmu.

- Wy widzicie to tak, ja inaczej.

- A więc zgadzamy się, że się nie zgadzamy - przyznał Swierdłowie.

- Co nie znaczy, byśmy nie mogli kontynuować teraz pracy.

Przynajmniej wiemy, jak koegzystować ze sobą.

Nacisnął brzęczyk. W drzwiach pojawiła się Anna Skriabin.

- Przynieście herbatę dla generała. I podajcie mi butelkę whisky i szklanę z tamtej szafki.

Golicyn przypatrywał się w milczeniu, jak przyniosła mu herbatę, parującą w szklance ze srebrnym koszykiem. Popijał ją małymi łydkami, podczas gdy dziewczyna nalala whisky Swierdłowowi. Wziął od niej butelkę i dolał sobie, aż alkohol sięgał dwa cale od brzegu

naczynia. Łyknął trochę, jakby to była woda. Dziewczyna wyszła bezszelestnie, poruszając się z gracją. Swierdłow pomyślał, że sunie, jakby posuwała się na łożyskach kulkowych. Po trzech dniach zaczynał jej nienawidzić.

- Ciekawe, kto zwerbował

"Błękitnego" - powiedział nagle.

- Słyszałem opinię, że wy tego dokonaliście, towarzyszu Swierdłow. - Zawsze tak sądził.

Podwładni Swierdłowa również uważali, że jego niezwykły awans był wynikiem zdobycia jakiegoś ważnego zachodniego zdrajcy.

- Nie znam nawet tożsamości

"Błękitnego" - stwierdził

Swierdłow. - Nikt tego nie wie poza Paniuszkinem. To świadczy o jego znaczeniu. Nikt inny, kto pracuje dla nas, nie jest tak troskliwie chroniony.

- To rozsądna ostrożność - powiedział Golicyn. Obserwował, jak poziom whisky w szklance pułkownika obniża się. To kolejna oznaka degeneracji; nie krytykowałby go za picie wódki.

- Dzięki temu mamy pewność, że nikt z naszej strony go nie zdradzi. Mielśmy w przeszłości dezertów, którzy wiedzieli o Fuchsie i Nunn May i okazało się to zgubne.

- "Błękitny" jest naszym najlepszym źródłem informacji w wielu sprawach - przyznał Swierdłow. - I wszystko, co nam przekazuje, jest w najlepszym gatunku. On wie, co jest istotne. W ciągu ostatniego pół roku widziałem kilkanaście materiałów "Błękitnego" i wszystkie były doskonale sporządzone. Ani jednego zbędnego słowa.

- A jakiej może być narodowości? - dopytywał się Golicyn. Chciałby mieć pewność, że Swierdłow mówi prawdę: czy rzeczywiście nie zna tożsamości tajemniczego "Błękitnego"?

- Nie wiem. Nikt tego nie wie.

Ale, zmieniając temat, chociaż niezupełnie, podczas wycieczki na Barbados dopisało mi szczęście. Poznałem bardzo ciekawą osobę.

Golicyn czekał. Coś mu mówiło, że spotka go spore rozczarowanie.

- Poznałem na wyspach pewną kobietę, która ma w pracy dostęp do wielu poufnych spraw i ma kontakty z ambasadą brytyjską w Waszyngtonie. Zaprzyjaźniliśmy się - uśmiechnął się krzywo i dokończył whisky. - Podtrzymam tę znajomość tutaj. Sądzę, że będę mógł ją zwerbować.

- To bardzo korzystne - powiedział ponuro Golicyn.

Trzeba będzie wykreślić panią

Farrow z jego raportu na temat

Swierdłowa. Znajomość z nią zostanie mu poczytana za zasługę, a nie minus. Po godzinie Swierdłow pozwolił mu odejść. Pułkownik zadzwonił do biura Judith w gmachu Onz.

Czuł, że Anna Skriabin podsłuchuje w sekretariacie.

Złapał samolot odlatujący o szesnastej do Nowego Jorku.

Judith wyszła z gmachu o osiemnastej trzydzieści pięć; skręciła w lewo i poszła w kierunku skrzyżowania, gdzie miał czekać Swierdłow. Przy krawężniku stał zaparkowany ciemnozielony mercedes. Kiedy podeszła bliżej, okienko uchyliło się i wyrzwał Fiodor.

- Cześć - powiedział.

Drzwiczki otworzyły się i wsiadła do środka. Wyciągnął rękę i wymienili uścisk dłoni.

Przytrzymał jej rękę i pocałował jej wewnętrzną stronę, uśmiechając się triumfująco.

Zignorowała go i cofnęła dłoń.

Gra między nimi toczyła się dalej, zupełnie jakby przerwali ją zaledwie na godzinę.

- Długo czekasz?

- Dwadzieścia minut. Świetnie się bawiłem pokazując mój radziecki paszport policji drogowej. Chcieli mnie aresztować za nieprawidłowe parkowanie, ale nie mogli tego zrobić. Bardzo ładnie dziś wyglądasz. Masz ochotę na drinka?

- Tak. Przez cały dzień ciężko pracowałam. Proszę zabrać rękę, panie Swierdłow, pieszczoty w miejscu publicznym są zabronione.

- Wszystko jest dozwolone w tym zdegenerowanym kraju. - Zapalił silnik i samochód włączył się do ruchu.

- Nie próbujesz mi chyba wmówić, że skoro pozwalają na kopulację na scenie, mają coś przeciwko temu, gdy uczciwy radziecki obywatel pocałuje w samochodzie piękną dziewczynę?

- Nie - przyznała. - Ale pohamowało to twoje zapędy, prawda?

- Zapamiętam to - obiecał

Swierdłow. - I zemszczę się w odpowiednim momencie.

Pojechali do baru w centrum, na Sześćdziesiątej Siódmej Ulicy; było to przytulne miejsce o przyćmionych światłach, małych stolikach i pseudohawajskich dekoracjach, pełne plastikowych palm i granej na piszczałkach muzyki "hula". On uparł się, by zamówić dla niej jakąś okropną alkoholową mieszankę w skorupie kokosu i śmiał się złośliwie z jej prób dobrania się do środka.

Judith wyglądała bardzo ładnie, bardzo elegancko. Była inną osobą niż ta bosa, ubrana zwyczajnie dziewczyna z Barbadosu. Wyglądała szykownie, choć nie była obwieszona biżuterią ani nie miała na sobie symbolu statusu w postaci futra.

Wyglądała odrobinę starszej, ale wcale mu to nie przeszkadzało.

- Czemu tak się przyglądasz? - zapytała go. On też wyglądał inaczej; myśleli o tym samym.

Nigdy przedtem nie widziała go w garniturze: był ciemny, do tego biała koszula i gładki krawat.

Mimo pozorów swobodnego zachowania widać było, że coś go gryzie.

- Tobie - odparł. - Wyglądasz inaczej niż na wyspie, jak kompetentna, bardzo sprawna sekretarka. Jeszcze jednego kokosa?

- Nie, dzięki, jeden w zupełności mi wystarczył. Czy mam rozumieć, że krytykujesz mnie?

- Ależ nie! Jeśli powiedziałbym, że wolę cię w bikini, czy to byłaby uwaga krytyczna? Wyglądasz bardzo ładnie. Powiedziałem ci to w wozie. Nie podobam ci się w roboczym garniturze?

- Nie jestem pewna. Daj mi trochę czasu - muszę się przyzwyczaić. Jedno mnie zaskakuje. Nie nosisz czerwonego krawata.

Roześmiał się. - To moje przebranie. Jestem rosyjskim szpiegiem, nie wiedziałaś o tym?

- Cóż, jeśli do tej pory tego nie zauważyłam, to już nigdy nie zauważę. Miałaś rację, że będę miała gości. Czekali na lotnisku, możesz w to uwierzyć?

- Przykro mi - ujął ją za rękę. Nie próbowała mu jej wyrwać. - Opowiedz mi, jak to wyglądało. Ale najpierw musimy się jeszcze czegoś napić. Whisky dla mnie i dla ciebie też. Dostyc kokosów. Zamówiłem to tylko po to, by ci dokuczyć.

- Wiem - spojrzała na niego. -

Dlatego zawzięłam się i wypięłam wszystko!

- Już na lotnisku! - mruknął

Swierdłow, jakby do siebie. -

Bardzo się pospieszyli. Jak to się odbyło?

- Wzięli mnie na rozmowę; było ich dwóch, zawieźli mnie do mieszkania i weszli wraz ze mną.

Byłam wściekła. - Na wspomnienie

Lodera ponownie ogarnęła ją złość. Fiodor nadal trzymał ją za rękę, przyglądając się jej bez słowa. - Powiedzieli mi, że widywano nas razem. Dlaczego się uśmiechasz, Fiodor? Zapewniam cię, że nie było mi wcale do śmiechu.

- Pewnie - powiedział cicho. -

Nie chciałem się z tego śmiać, ale jestem pewien, że "widywało" nas najmniej kilku angielskich i amerykańskich obserwatorów. Mów dalej.

- Mężczyzna, który ze mną rozmawiał, bardziej przypominało to przesłuchanie, powiedział, że na pewno skontaktujesz się ze mną ponownie i polecił mi powiadomić go natychmiast o tym fakcie.

- Aha. Zrobiłaś to?

Poinformowałaś go o naszym dzisiejszym spotkaniu?

- Nie. - Otworzyła torebkę szukając papierosa; dawało jej to okazję uciec przed nim na chwilę, spuścić wzrok unikając dziwnego, przenikliwego spojrzenia jego jasnych oczu. - Nie. Nic nie zrobiłam.

- Czy mówił coś jeszcze? - spytał Swierdłow. Zauważył, że Judith się waha.

- Właściwie nie; takie komunały o nie zadawaniu się z Rosjanami, o tym, że moja praca ma charakter poufny i tym podobne rzeczy, które możesz sobie wyobrazić.

- Tak, doskonale. - Powiedział to lekkim tonem, jakby nieco rozbawiony.

- A teraz dodam to, o czym postanowiłaś mi nie mówić - dorzucił. - Powiedział ci, że jestem niebezpiecznym sowieckim agentem i że interesuję się tobą wyłącznie dlatego, że chcę cię zwerbować jako szpiega. Wiesz: to czarujące zobaczyć, jak kobieta się rumieni. Nie próbuj nigdy mnie okłamywać. - Potrząsnęła głową. - Wszystko po tobie widać. Uważasz, że tak właśnie jest? Wierzysz mu?

- Nie byłoby mnie tutaj, gdyby tak było. - Spojrzała mu prosto w twarz i nagle zapragnęła usłyszeć jakieś zapewnienie, coś ważniejszego niż jej własny instynkt, by obalić zarzuty Lodera i wynikające z nich insynuacje.

- To nieprawda, powiedz.

- Nie! - Swierdłow popatrzył jej prosto w oczy. - Kiepski byłby z ciebie oficer śledczy, patrzysz w moją twarz, by dostrzec kłamstwo. Są ludzie potrafiący kłamać oczami. Ale ja mówię prawdę. Nie mam zamiaru uwieść cię, a potem namówić albo zmusić przy pomocy szantażu do opowiadania mi, co pan Nielson mówi do pana U Thanta, mimo że powiedziałem swoim ludziom, iż właśnie to mam zamiar zrobić.

Spojrzała na niego przerażona.

- Powiedziałaś swoim ludziom...

- Tak. Oświadczyłem im, że mam nadzieję zwerbować cię do pracy dla nas. W ten sposób mogę się z tobą spotykać, kiedy zechcę, nie wzbudzając podejrzeń.

- Nie wiem, co robić. To wszystko zaczyna wymykać się nam z rąk.

- Po pierwsze, musisz poinformować swego człowieka z wywiadu, że spotkaliśmy się.

Jeśli tego nie zrobisz, możesz mieć spore kłopoty. Mówię poważnie. Daj mi rękę. Pozwól, że udzielę ci pierwszej lekcji z zakresu podobnych gier. Mów prawdę tak długo, jak to możliwe. Dzięki temu, gdy coś się zmieni i będziesz musiała skłamać, istnieje szansa, że ci uwierzą.

- Sam powiedziałaś, że kiepski ze mnie kłamca - przypomniała mu.

- Nie szkodzi. Ja cię nauczę.

Jestem w tej dziedzinie ekspertem!

- Dziwne rzeczy o sobie opowiadasz. Jak mam ci uwierzyć choć w jedno słowo, skoro przyznajesz, nie, przepraszam, przechwalasz się, że potrafisz kłamać jak z nut?

- Jak z nut - co to znaczy?

- To takie wyrażenie, właściwie nic nie znaczy. Poza tym, ja nie mam zamiaru nikogo okłamywać. Jeśli się z tobą widuję, to moja sprawa, nie popełniam żadnej niełojalności, nigdy bym się na coś takiego nie zdobyła. W porządku, powiem im, że się spotkaliśmy i że ja miałam rację, a oni się mylili.

- Nie uwierzą ci. Będą cię śledzić, chodzić za tobą. Zrób tak jak ci mówię. Odegraj to dla nich, a będziemy mogli spędzać razem wieczory. Może jakiś weekend? - Spojrzał na nią z z ukosa, z figlarnym błyskiem w oczach. - Żadnych weekendów - oświadczyła Judith.

Zrobił zmartwioną minę. -

Napijemy się jeszcze po jednej whisky, a potem pójdziemy do jakiejś mrocznej knajpki na kolację. Zatańczysz ze mną? - Żadnych tańców. - Oparła się wygodnie i uśmiechnęła do niego; czuła się odprężona i było jej gorąco. - Zachowujesz się niewłaściwie; to byłoby niebezpieczne.

- Wcale nie zachowuję się niewłaściwie - zaprotestował. - Ty mi na to nie pozwalasz!

Wyglądasz na osobę trochę bardziej zadowoloną z życia.

- Muszę coś zjeść. Co też było w tym okropnym kokosie, że tak mi uderzyło do głowy? - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno. Jakaś para siedząca w pobliżu odwróciła głowy. Judith pomyślała nagle, że niewielu ludzi uważa, iż życie jest na tyle zabawne, by śmiać się w ten sposób w miejscu publicznym.

- O co chodzi? Co cię tak śmieszy?

- Wódka. - Klepnął się w kolano z radości. - To była wódka! Rosyjska tajna broń!

Kiedy wyszli z baru, było już ciemno i wiał zimny wiatr. W samochodzie objął ją ramieniem.

- Cieszę się, że cię widzę. -

Nie widziała jego twarzy, ale wyczuła, że nastrój mu się zmienił. Tym razem nie żartował.

- Ja też się z tego cieszę - powiedziała. Ku jej zaskoczeniu nie próbował jej pocałować ani przytulić, naigrawając się z oporu, jaki by mu stawiała.

Uruchomił silnik i ruszył w kierunku Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Restauracja była eleganckim, dyskretnie oświetlonym przedłużeniem baru; Swierdłow zamówił stół z tyłu, gdzie głośna muzyka dyskotekowa nie powinna im przeszkadzać w rozmowie. W toalecie Judith poprawiła włosy i szminkę. Kiedy stamtąd wyszła, Swierdłow wziął ją pod rękę i poprowadził do stolika. Był mężczyzną zaborczym; bez przerwy jej dotykał, jakby była jego własnością. Zauważyła to już wcześniej. Przychodziło mu to całkiem naturalnie; taki już był - gdyby próbowała uwolnić się i zachować niezależność, po prostu by ją wyśmiał. Richard nigdy nie brał jej pod rękę w restauracji, nigdy nie pomagał jej przebiec przez jezdnię w wietrzny dzień, obejmując ją ramieniem. Nie lubił po prostu manifestowania zażyłości, poza seksem. Nigdy nie spotykali się w miejscach takich jak "21" czy "La Popotte", dokąd zabrał ją Swierdłow, ponieważ Richard obawiał się, że ktoś może ich zobaczyć razem. Przeważnie zaszywali się w małych szykownych restauracyjkach w śródmieściu lub ryzykowali i wpadali do nocnego klubu w poniedziałkowy wieczór, kiedy to kluby świeciły pustką.

Spoglądając wstecz na spędzone z nim pół roku stwierdziła, że przez większość czasu przebywali w jej mieszkaniu kochając się.

Zapaliła papierosa i zaczęła obserwować pary na parkiecie;

Swierdłow przeglądał kartę win.

Gdyby teraz znajdował się obok niej Richard, a nie Fiodor, nie byłaby w stanie siedzieć tak swobodnie i pozwolić, by cisza zastąpiła rozmowę. Zawsze wymagał od niej całkowitej uwagi, sugerując w subtelny sposób, że nie powinna dopuścić, by się nudził. Obserwowałaby z niepokojem graniczącym z niewolniczym oddaniem, jak przegląda kartę win, ponieważ ostatecznie ona była jedynie jego kochanką i zapewne bardziej kochała jego niż on ją. Z Rosjaninem nie groziła jej podobna sytuacja. Nie miał nad nią władzy, ponieważ była na tyle mądra, że przewidziała ryzyko, jakie by to za sobą pociągało.

Nigdy nie podda się Fiodorowi, pozwalając, by ich związek zaczął staczać się w dół. W tej chwili nie miała pojęcia, dokąd ta znajomość ich zaprowadzi, ani jak można by ją określić.

Było to coś więcej niż przyjaźń. Nie należał do mężczyzn, z którymi kobieta mogła się przyjaźnić.

- Przestań myśleć o tym nudnym Angliku.

Spojrzała na niego. Obserwował ją, ale bez zwykłego uśmiechu.

- Skąd wiedziałeś?

- Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, miałaś dziwny wyraz twarzy, niezbyt pogodny. Teraz wyglądasz tak samo. Stąd wiem.

Chodź zatańczyć.

Nie był dobrym tancerzem; nie hołdował koncepcji nowoczesnego samolubnego ekshibicjonizmu; nie wykonywał sugestywnych ruchów udami imitujących akt płciowy.

Objął Judith i przytulił mocno do siebie i prawie wcale się nie poruszał.

W pewnej chwili, gdy byli już na miniaturowym parkiecie od dziesięciu minut, odezwał się do pary tańczącej tuż za nimi. Nie zrozumiała, co powiedział, ponieważ mówił szeptem i nie po angielsku.

- Znajomy z ambasady - wyjaśnił. - Jest z przyjaciółką, Amerykanką. Zaprosiłem ich do naszego stolika na drinka, za jakieś pół godziny, kiedy zmęczymy się tańczeniem.

- Za pół godziny? Fiodor, przestań dmuchać mi w ucho.

- Czerwony kolor dobrze by do ciebie pasował. Ciągłe mówisz: przestań. Pani Mołotow. Nie.

Nie. Nie. Dlaczego nie zostaniesz komunistką i nie pojedziesz ze mną do Rosji?

- Nie, dziękuję. - Odsunęła głowę do tyłu. - Czerwony do mnie nie pasuje; politycznie określiłabym siebie jako prawdziwie błękitną.

- Prawdziwie błękitną? - powtórzył Swierdłow. - Co to znaczy? Czy to jakiś dowcip polityczny?

- Nie, to całkiem poważne określenie. Prawdziwy błękit to kolor ultrakonserwatysty. Kiedyś służył do określania bohaterów powieści wiktoriańskich: wszystkich postaci lojalnych wobec królowej i imperium.

- To zabawne. Błękitny.

Prawdziwy błękit. Muszę to zapamiętać.

Kiedy siadali przy swoim stoliku, Judith udało się odszukać wzrokiem tego drugiego sowieckiego dyplomatę z przyjaciółką. Mieli gorsze miejsca, blisko parkietu.

Wydawało się jej, że tamten spogląda na Swierdłowa, jakby czekał na jakiś sygnał. Podniósł się tak nagle, jakby go otrzymał, chociaż Judith nic nie zauważyła. Za nim podążyła jego dziewczyna. Mężczyzna był niski, ciemny, młodszy od Swierdłowa; nosił okulary. Jego towarzyszka również była młoda, jasnowłosa, z mocnym makijażem oczu i ustami pomalowanymi na ostry róż.

Swierdłow przedstawił ich; usłyszała nazwisko Niemenow, choć nie udało się jej dosłyszeć nazwiska jego przyjaciółki; muzyka dyskotekowa z całą mocą atakowała akurat bębenki ich uszu. Dosiedli się do nich, ale widać było, że młodszy mężczyzna nie czuje się swobodnie i siedzi przycupnięty na brzegu krzesła.

Z nienaturalną koncentracją obserwował Swierdłowa, poświęcając Judith zaledwie jedno spojrzenie i krótki uśmiech.

- Jego angielski nie jest najlepszy - wyjaśnił Swierdłow.

- Proszę mi wybaczyć -

Rosjanin zwrócił się do niej podnosząc się lekko z krzesła. - Mówię słabo.

Judith była ciekawa, jak sobie radzi z blondynką, która do tej pory nie powiedziała nic poza powitalnym "cześć"; rozglądała się po sali nie zwracając uwagi na żadne z nich.

- Wybaczysz nam, jeśli będziemy rozmawiać po rosyjsku?

- Swierdłow spytał Judith.

- Naturalnie.

Przysunął się do niej, mówiąc szeptem: - To potrwa tylko kilka minut; oni długo nie zostaną.

Kelner przyniósł im drinki;

Judith poszła w ślady Amerykanki i zrelaksowała się, pozwalając dwóm mężczyznom zagłębić się w rozmowie. Zgodnie z tym co powiedział Fiodor, nie siedzieli zbyt długo. Mówił głównie on, a młodszy mężczyzna słuchał; trudno to było nazwać wymianą zdań. Z zainteresowaniem zauważyła, jak bardzo Swierdłow zmienił się na te dziesięć minut spędzone z drugim Rosjaninem.

Pochylił się do przodu mówiąc cicho, ale na jego twarzy nie było uśmiechu i nie gestykulował; nie poczęstował tamtego papierosem. W różowym świetle jego twarz wyglądała surowo, a wykrzywione usta ponuro. Był zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego знаła. Musiał dać temu Niemenowowi drugi sygnał, równie dyskretny i zdecydowany jak ten, który go przywołał. Młodszy Rosjanin połknął swego drinka jednym haustem i już był na nogach, odsuwając krzesło swej dziewczyny, która wzięła ze sobą szklankę.

- Przepraszam cię - powiedział

Swierdłow. - To musiało być dla ciebie nudne. Myślałem, że ta dziewczyna z tobą porozmawia, ale widocznie nie jest zbyt rozmowna.

- Skoro on nie zna angielskiego, nie ma to wielkiego znaczenia.

- Ona nie jest mu potrzebna do rozmowy. Jest dobra w czymś innym. Jest też niegroźna. Wiemy o niej wszystko; lubi prezenty, nie pieniądze.

Podobają się jej futrzane kurtki, drogie torebki, złote papierośnice. Może te rzeczy pokazywać swoim znajomym, by im udowodnić, jakie ma powodzenie u mężczyzn.

- A skąd porządny sowiecki komunista bierze pieniądze na futra i złote papierośnice?

Brzmi to zupełnie jak kapitalizm.

- Ja mu płacę - wyjaśnił

Swierdłow. Był znowu sobą; dobrze było ponownie zobaczyć jego ironiczne spojrzenie i drwiący uśmiech. Nie podobała się jej druga strona jego charakteru, którą zaprezentował przy Rosjaninie. - Pokrywam jego wydatki, bo to dobry i lojalny wobec mnie człowiek. Robi to, co mu każę. Teraz też zleciłem mu pewne zadanie i wiem, że je wykona. - Odchylił się do tyłu, jego ręka przesunęła się wzdłuż oparcia jej krzesła i bez wiedzy Judith wziął w rękę pasemko jej włosów. - Niosą nasze jedzenie.

Powinno być dobre; on polecił mi to miejsce właśnie z powodu jedzenia.

- Co kazałeś mi zrobić?

Swierdłow zajęty już był jedzeniem. Nie odpowiedział od razu, a Judith odłożyła swój widelec i powiedziała: - Wiem, co sobie pomyślałeś. Zapytałam z ciekawości, a nie dlatego, że ktoś mnie o to prosił. Nie musisz mi odpowiadać.

- Zawsze mogę skłamać.

Przecież nie znasz rosyjskiego, więc i tak byś tego nie wiedziała. On w środę leci do Rosji. Poprosiłem go, by coś dla mnie sprawdził. Chodzi o mego sekretarza, który zachorował, gdy ja byłem na Barbadosie.

Wysłano go do domu. Zastąpił go ktoś, kto nie jest tak dobry.

- To wy macie facetów, a nie dziewczyny?

- Ja wolę mężczyzn. Pracują bardziej wydajnie, ale teraz mam dziewczynę. Jest bardzo ładna.

- Szczęściarz z ciebie. -

Odsunęła swój talerz.

- Ależ ona jest śliczna - ma złote włosy i niebieskie oczy, wygląda jak laleczka. Jesteś zazdrosna?

- Nie; pewnie ma pięćdziesiątkę, nosi okulary i ma wielki zad.

- Jesteś zazdrosna. Ale muszę ci powiedzieć, że nie podoba mi się tak jak ty. Nie lubię blondynek.

Uśmiechnął się do niej i poklepał ją po kolanie. Umówił się z Aleksym Niemenowem w tej restauracji i dlatego przyprowadził ją tutaj. Wygląda to zupełnie naturalnie, gdy ktoś zaprosi znajomego z pracy na drinka. Kłamał mówiąc, że Niemenow nie zna angielskiego, ale mówił prawdę, że zlecił mu dowiedzenie się czegoś o Kalininie. Niemenow należał do grupy młodszych pracowników ambasady, których poglądy na przyszłość polityki radzieckiej zgadzały się z jego własnymi.

Można go uznać za sprzymierzeńca, chociaż może to zbyt mocne słowo na określenie czegoś tak kruchego jak instynktowna zgodność poglądów.

Niemenow spędził przedtem dwa lata w Nowym Jorku i półtora roku w Londynie; znał zachodni styl życia i patrzył nań bez gwałtownego uprzedzenia typowego dla starszych ludzi, zrodzonego przez nienawiść i podejrzliwość rozpowszechnione w dyplomacji okresu zimnej wojny. Bywał wśród nieprzyjaciół, lecz pozostał całkowicie przekonany i lojalnym członkiem partii, jak również wielkim rosyjskim patriotą. Przyzwyczał się do sypiania z Amerykanką i polubił to, nie mając poczucia zdrady narodowej, ponieważ wolał jej miłosne techniki od pełnego zahamowań zachowania swej żony.

Przekonał się, że możliwa jest koegzystencja i - podobnie jak Swierdłow - szczerze wierzył, że zwycięstwo socjalizmu w stylu radzieckim jest tylko kwestią czasu, pod warunkiem, że procesu tego nie przyspieszy się przez wojnę globalną. Oficjalnie nie należał do zespołu Swierdłowa, ale w przeszłości podejmował się dla niego różnych delikatnych, choć niezbyt istotnych zadań, gdy pułkownik nie chciał korzystać z usług swoich ludzi.

To umówione spotkanie i kilka poleceń przekazanych ponad stołem były najbezpieczniejszą drogą do zbadania choroby Kalinina i sprawdzenia prawdziwości historii Golicyna i lekarza.

Utrata sekretarza dokuczała mu jak ból zęba. Wiedział, że Golicyn go nienawidzi, że obserwuje go i czeka, organizuje nawet własny wywiad - wszystko w nadziei, iż pewnego dnia zdoła natrafić na jakiś poważny błąd swego szefa. Ale zastąpienie Kalinina "gołąbką" świadczyło o niesłychanym tupecie. Generał nigdy przedtem nie śmiał okazywać otwarcie braku aprobaty dla Swierdłowa, mimo iż ten doskonale zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak ze wszystkiego, co dotyczyło Kgb i funkcjonowania ambasady.

Jedynie pozycja Golicyna, przypominająca sytuację narodowego pomnika ku czci rewolucyjnych tajnych służb i dawnej walki przeciwko atakom międzynarodowego kapitalizmu na Kraj Rad, oraz dobra opinia, jaką się cieszył i nieuchronne zwolnienie ze służby w Waszyngtonie, powstrzymywały Swierdłowa przed wysłaniem wniosku o jego odwołanie. Był młodym człowiekiem, twardym i przekonany o swej zdolności kierowania tym żywym reliktem przeszłości oraz przetrwania jego staroświeckiej nienawiści.

Ale teraz nagle przeszłość powróciła, zastępując teraźniejszość i grożąc, że stanie się także przyszłością.

Przywódcy kraju zmienili się, umiarkowani politycy chwilowo utracili kontrolę; Rosja przeżywała okres wewnętrznego fermentu, który określił ostateczny kierunek jej polityki, zarówno wewnętrznej jak i globalnej. Stanowisko Swierdłowa pozostawało niezmienione; nikt nie mógł podważyć jego władzy ani pozycji w oparciu o legalne zarzuty.

Nie miał zamiaru służyć ani udawać, że toleruje ideologiczną formułę, którą z taką pasją kierowała się jego żona. Elena była z gatunku prawdziwych męczenników; to właśnie ta niemal mistyczna wytrwałość i zawziętość pociągały go w niej, kiedy się poznali. Dostrzegał w nich wyzwanie wierząc, że żadna kobieta nie może naprawdę długo się przy nim upierać, nie łagodząc ich humorem lub kobiecą słabością. Ze swej strony był gotów okazywać siłę, wykorzystać władzę nadaną mu przez państwo do stłumienia kontrrewolucji przy pomocy czołgów i plutonów egzekucyjnych.

Zajmował się tym na Węgrzech i dzięki tamtejszym sukcesom wspinał się błyskawicznie po drabinie awansów i wpływów politycznych. Rozlew krwi nie przeszkadzał mu; ostatecznie był Rosjaninem, a tradycja topienia powstań we krwi była stara, o wiele starsza od zasad, jakich nauczono go w szkole wywiadu w Leningradzie. Nie można było dopuścić, by państwa satelickie odrzucały kontrolę Zsrr i dążyły do niepodległości.

Swierdłow robił jedynie to, czym zajmowali się z polecenia carów jego przodkowie w Polsce: tłumił rebelię podbitego narodu. Można powiedzieć, że tak dalece cofnął się do swego historycznego archetypu, jak ślepo posłuszny Golicyn. Przez rok po powstaniu węgierskim był bardzo szczęśliwy z Eleną.

Symptodem zmian, jakie zaszły w jego psychice, było poczucie, że gdyby jego żona znalazła się nagle na miejscu Judith, nie byłby w stanie prowadzić z nią rozmowy.

Niemenow miał szczęście - wróci do domu ze swą dziewczyną.

Swierdłow spojrzął na Judith i uśmiechnął się. Nie można było jej odmówić odwagi, lekkomyślnej odwagi, która sprowadzi na nią kłopoty. Nie potrafił wyobrazić sobie, by ktoś w jego ojczyźnie odmówił wykonania polecenia oficera wywiadu dotyczącego donoszenia na zachodniego dyplomate, który znalazł się w kręgu podejrzeń. Ale sytuacja w obu krajach była odmienna.

Kłopoty dla Judith nie będą polegały na uwięzieniu i wyroku od dziesięciu do piętnastu lat ciężkich robót. Nie było to zbyt miłe porównanie, toteż odrzucił je. Patrzył na jej ładny podbródek i szczupłą szyję, którą miał ochotę popieścić palcami. Widział ją prawie nagą na Barbadoskiej plaży i wiedział, że jej ciało byłoby gładkie i miłe w dotyku. Tak bardzo chciałby zabrać ją gdzieś do domu.

Czuł tak wielką niechęć do samotnego powrotu do ambasady przy Onz, że przeciągał kolację, zamawiając deser, na który wcale nie miał ochoty, i zachęcając ją do wypicia kawy i likieru.

Jeszcze raz zatańczyli i zapomniał o napięciu dzięki drobnym pieszczotom, na które sobie pozwalał w tańcu szepcząc jej do ucha, że jak wszyscy dobrzy Rosjanie, wycofuje się tylko po to, by uczynić następny krok naprzód. Pod koniec wieczoru czuł się szczęśliwy, jakby nic się nie zmieniło przed wyjazdem na Barbados i wszystko pozostało takie samo od czasu powrotu.

- Dobranoc. - Odprowadził ją do wejścia do jej mieszkania.

Nie pozwoliła mu się pocałować w samochodzie, a on nie nalegał, bo nie chciał jej rozżłościć. - Kiedy cię znowu zobaczę?

- Fiodor, posłuchaj mnie przez chwilę - zatrzymała się przed drzwiami z jedną ręką na jego ramieniu. Nad ich głowami płonęło żółte światło, w którym oboje wyglądali upiornie i nierealnie.

- Nie ma sensu, byś to kontynuował. Nie chcę romansu z tobą. To strata twego czasu. I pomyśl o wszystkich komplikacjach: twoi ludzie śledzą ciebie, moi mnie. Czuję się, jakbym cię podpuszczała, a to nie fair. Powinniśmy się pożegnać.

W obrzydliwym świetle wyraz jego twarzy się zmienił.

- Nie chcesz się już ze mną spotkać? Co takiego zrobiłem?

- Próbowałam ci powiedzieć...

- Bezradnie wzruszyła ramionami.

- Nic nie zrobiłeś. Ale ja nie jestem... gotowa nadal spotykać się z tobą pozwalając ci myśleć, że ustąpię i zgodzę się, abyś ze mną się przespał. Tak się nie stanie. Nigdy.

- Z powodu tego Anglika?

- Tak. Mam dosyć. Byłam mężatką i straciłam męża. Żyłam z mężczyzną przez pół roku i okazało się, że bawił się moim kosztem. A teraz ty. Nie, Fiodor. Ponownie się z tobą nie umówię.

Zrobił coś, o co nigdy by go nie podejrzewała. Cofnął się, odwrócił i zbiegł szybko po schodach. Trzęsącą się ręką wkładała klucz do zamka. Nawet się nie obejrzał, tylko wsiadł do samochodu i odjechał.

Kiedy weszła do środka, drzwi do pokoju Nancy były otwarte, a jej łóżko nie było ruszane.

Jeśli miała na to ochotę, często spędzała noc z jakimś mężczyzną.

Szczęśliwa, nie bawiąc się w sentymenty Nancy. Ona nie odesłałaby Fiodora po to, by wrócić do pustego mieszkania i usypiać się płaczem. Nadal płakała, kiedy zadzwonił telefon koło łóżka. Była tak zaskoczona, że bezwiednie podniosła słuchawkę i powiedziała zapłakanym głosem "halo".

- Wcale nie chcę się z tobą przespać - powiedział. - Możesz przestać płakać. Będę czekał jutro przed twoim biurem w porze obiadu.

Judith mówiła "nie", kiedy zdała sobie sprawę, że on już odłożył słuchawkę. Wstała i podgrzała sobie trochę mleka, zrobiła do siebie minę w lustrze wchodząc z powrotem do łóżka i zasnęła, zdecydowana nie wychodzić w porze obiadowej z biura.

Rozdział szósty - Uważam, że to okropne - powiedziała Margaret Stephenson.

- Ty i ten obrzydliwy karzeł razem na obiedzie. Co cię napadło?

Zaszedł do niej przed opuszczeniem biura w ambasadzie, chcąc oznajmić, że nie wróci na obiad do domu. Żona, jak na osobę, która darzy go tak niesłychaną pogardą, nadmiernie interesowała się jego zajęciami.

Był zmuszony przyznać się, że spotyka się z Loderem w restauracji w śródmieściu.

- Mogłem zaprosić go tutaj, ale wydawało mi się, że nie pochwalisz tego pomysłu.

- Nie pochwalam! Czeka mnie jeden z tych nudnych obiadków dla żon dyplomatów - też nie chcę, byś się tu zjawiał, nie mówiąc już o tej kreaturze. Co ciebie z nim łączy?

- Nic szczególnego. Wydaje mi się, że jest człowiekiem dość samotnym. Nikt tutaj nie zwraca na niego uwagi. A to wyjątkowy umysł, co należy w tych czasach do rzadkości.

- O, mój Boże, znowu miłość od pierwszego wejrzenia. - Odwróciła się do niego plecami.

- To tylko policjant ubrany po cywilnemu. Muszę pamiętać, by przy następnym spotkaniu spojrzeć na jego stopy; jestem pewna, że są ogromne.

Fergus nic nie powiedział; rozumiał niechęć żony do Lodera.

Obraził ją na samym początku, ponieważ była snobką, a on nie chciał się przed nią płaszczyć.

Teraz znalazł się w sytuacji, dzięki której mógł patrzeć na nią z góry w związku z jej życiem intymnym i, co jeszcze gorsze z jej punktu widzenia, najwidoczniej pozbawił ją usług kochanka. Fergus odgadł to, gdyż częściej bywała ostatnio zirytowana i piekliła się bardziej niż normalnie. Zawsze to było oznaką, że nie ma akurat nikogo.

Otworzył drzwi i zatrzymał się na chwilę przed wejściem. Było mu jej trochę żal. Spędziła dwadzieścia lat życia próbując ukarać go za to, że zawiódł ją jako mężczyzna, a udało się jej jedynie zniszczyć samą siebie.

Zdawał sobie sprawę, że w ostatecznym rozrachunku to wszystko jego wina.

- Baw się dobrze. Kto będzie na obiedzie? - Żona faceta od szyfrów, szefa kadr, attach~e wojskowego, attach~e do spraw marynarki wojennej i lotnictwa. Wszystkie są okropne z wyjątkiem Rachel Paterson. Dzięki Bogu, coś takiego urządzam tylko raz w roku. - Świetnie sobie z nimi radzisz - powiedział, by sprawić jej przyjemność.

- Nic dziwnego, miałam dość praktyki w ciągu minionych dwudziestu lat. Trzymam się prostych rzeczy, takich jak Święto Sportu, żłobek... co mają zamiar robić podczas urlopu.

Jezu, aż trudno sobie wyobrazić, jakie one są nudne. - Usłyszała, jak drzwi zamknęły się za nią i przestała udawać, że otwiera listy.

Jeden z nich pochodził od znajomej, która miała nadzieję, że zostanie zaproszona do nich na kilka dni podczas podróży do Stanów w lecie; drugi zawierał krótki liścik od jej starszego syna powiadamiający ją, że skończyły mu się pieniądze.

Niech diabli porwą Fergususa - za to, że udaje przed nią dyplomatę. "Świetnie sobie z nimi radzisz". Zupełnie jakby była żoną jakiegoś cholernego trzeciego sekretarza, która po raz pierwszy gra rolę gospodyni na przyjęciu. Jasne, że świetnie sobie radzi z żonami jego podwładnych. To było jej zajęcie; wiedziała, jak być jednocześnie miłą, opiekuńczą i nieprzystępną. Trudno było powiedzieć, że jest lubiana lub nie lubiana; budziła lęk, a o to właśnie jej chodziło. Pomyślała o Loderze i krew napłynęła jej do twarzy, pokrywając jej szyję czerwonymi plamami. Musiał odkryć, że sypiała z jego własnym asystentem, Joem Macleodem. Od trzech tygodni nie przychodził na spotkania, oferując jej uprzejme, acz niepodważalne usprawiedliwienia.

Miał służbę albo umówił się już wcześniej z kimś innym. Dwa razy nie pojawił się bez uprzedzenia i ponad godzinę spędziła czekając na niego w motelowym pokoju, który wynajmowali o dziesięć mil od miasta, nad Potomakiem. O wiele młodszy, był energicznym kochankiem nie przejawiającym uczuć ani głębszych refleksji. Bardzo jej to odpowiadało; w sprawach łóżkowych nie miała klasowych uprzedzeń. Macleod nie był większym dżentelmenem od Lodera, ale miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był przystojny i bardzo sprawny fizycznie. Był pierwszym bardzo młodym facetem, z którym sypiała i teraz, kiedy się wycofał, poczuła w pełni, jak poniżający ją samą był to wybór.

To zły znak, to uganianie się za młodością. Było to dla kobiety oznaką starzenia się, kiedy zaczynała mieć chętkę na facetów z pokolenia jej synów.

Macleod był jednak dyskretny; mogła mieć pewność, że nie będzie żadnych plotek, żadnych wulgarnych aluzji pośród jego kolegów. Zawsze wybierała mężczyzn, którzy mieli więcej do stracenia otwierając buzię niż do zyskania samczymi przechwałkami, facetów ambitnych i nie mających ochoty uczynić z niej wroga, gdy już zostali odtrąceni.

Teraz kolej na jej ruch. I wszystko z powodu tego, że jej mąż pogadał z tym parszywym karłem, zanadto przejmując się sprawami bezpieczeństwa.

Rozrywała koperty jedną po drugiej, czytała listy bez żadnej przyjemności i spinała je razem, by na nie odpowiedzieć.

Wyjęła z pudełka papierosa i bezskutecznie poszukiwała zapalek. Zapalniczka na jej biurku nie działała; wiedziała o tym, ale odruchowo spróbowała jej użyć. Nie dawała iskry. Była to jedna z tych dużych staroświeckich zapalniczek, подарowana jej i Fergusowi przez personel ambasady przed laty.

Zakłęła i zaczęła otwierać kolejno szuflady biurka, ale nigdzie nie było zapalek. Łatwiej byłoby jej odłożyć papierosa, ale nagle wypalenie go wydało się czymś niezbędnym.

Muszę znaleźć gdzieś ogień, pomyślała. To absurdalne nie móc zapalić papierosa, kiedy tak bardzo chce się palić.

Wstała i zeszła na dół.

Gabinet Fergususa znajdował się obok jej gabinetu. Był to bardzo starannie urządzone i utrzymany pokój do pracy, bez jakichkolwiek ustępstw na rzecz smaku jej męża. Kiedy tu przyjechali, odrzucił jej propozycję udekorowania go.

Stało tu wielkie, poważnie wyglądające biurko, ohydna zielona przegubowa lampa, półki z książkami od podłogi do sufitu oraz mała kartoteka. Zdjęcie jej i dzieci było jedynym elementem, który w cichości ducha i z wyrazem obrzydzenia na twarzy nazywała "rodzinnym". Na biurku stało małe pudełko na papierosy pokryte skórą szagrynową, jeszcze jeden prezent, ale nie było zapalniczki ani zapalek.

Otworzyła dwie szuflady, zanim coś znalazła. Zapalniczka leżała w głębi, starannie ułożona w pudełku, wewnątrz etui z irchy.

Wyjęła ją i obejrzała; nigdy nie widziała, by Fergus jej używał.

Wyglądała na nową, połyskując tym charakterystycznym blaskiem wysokokaratowego złota. Skąd on ją ma, nigdy nie kupował sobie kosztownych świecidełek.

Nacisnęła miniaturowy przycisk i zapalił się płomień. Przypaliła papierosa obracając zapalniczkę w dłoni. Rzeczywiście była ze złota; na podstawie miała znak probierczy. Pięknie wykuta, długa, o eleganckim kształcie.

Obejrzała pudełko. Od

Tiffany'ego. Naprawdę była bardzo droga. Nie ulegało wątpliwości, że Fergus nie upił jej dla siebie. Kiedy ta myśl pojawiła się w jej głowie, dosłownie połknęła dym i zakrztusiła się. On ma kogoś.

Była pewna, że nie chodzi o kobietę. Chryste, oby to nie była kobieta; gdyby po tym, jak odrzucił ją, był w stanie robić to z inną... Tego nie mogłaby znieść. Odrzuciła tę myśl z miejsca; nie wchodziło to nawet w grę. Istniała pewna granica tego, co mogła znieść w małżeństwie z homoseksualistą.

Normalne stosunki z inną kobietą przekraczały ten limit. A więc chodzi o mężczyznę. Fergus musi mieć kochankę i to bogatego.

Stała w gabinecie z papierosem zwisającym z kącika ust, trzymając zapalniczkę niczym talizman. Ręce jej drżały. Po tylu latach oszukiwania i poniżania go, gdy wierzyła, że prowadzi życie eunucha... to ją oszukano w ostatecznym rozrachunku. Mógł pozwalać jej na zastraszanie i obrażanie go, gdy tylko miała na to ochotę, ponieważ miał swoją tajemnicę, swój prywatny azyl.

Zabrała zapalniczkę do swego pokoju. Wahala się, gdzie ją położyć. Zauważy jej zniknięcie i zacznie szukać. Nigdy nie zajrzy do jej torebki. Włożyła ją do zamykanej na zamek przegródki i zamknęła torebkę.

Kiedy nie zdoła jej znaleźć, będzie zapewne musiał zapytać.

Wtedy nadejdzie chwila zemsty.

Spojrzała na zegarek; wciąż jeszcze lekko drżała. Była jedenasta trzydzieści. Zeszła na dół chcąc sprawdzić, czy poustawiano wazony z kwiatami i pomówić z gospodynią o menu na kolację. Spodziewała się tego wieczoru osiemnaściorga gości.

- To interesująca sytuacja - przyznał Loder. - Ciekawe, jak długo ten skurwiel będzie ją urabiał, zanim spróbuje wciągnąć do roboty?

- To na pewno zależy od dziewczyny. - Fergus sęczył wino, pysznego lekkiego reislinga, który - jego zdaniem - stanowił doskonałe delikatne uzupełnienie jedzonej ryby.

Loderowi też chyba wszystko smakowało; jadł nie przestając gadać przez cały czas. Poruszyli ten temat, ponieważ Fergus wspomniał o swojej rozmowie z Patersonem. Loder wyraził opinię o kapitanie nie używając w tym celu zbyt wielu słów. Rozmowa w sposób naturalny zeszła na Judith Farrow.

- Wiem, że nie lubi pan zbyt wiele mojej sekcji - rzucił Loder. - Uważa pan to, co robimy, za brudną robotę; wsadzanie nosa w prywatne życie innych ludzi. Ale ktoś musi to robić, panie Stephenson.

- Wiem, że to konieczne. Po prostu to niezbyt smaczne. Żał mi tej dziewczyny, pani Farrow.

Jeśli mówi prawdę, ten związek to całkowicie niewinna sprawa.

- O, na pewno tak - przyznał

Loder. - Nie byłem tego pewien, ale teraz jestem. Ona nie ma złych zamiarów, ale to nieuchronne, że już niedługo on zacznie ją przyciskać. Mówiłem jej to, ale nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Chwilami robiła wrażenie dość naiwnej dupy. - Fergus uśmiechnął się słysząc to słowo, chociaż powinien się skrzywić. Coraz bardziej lubił Lodera. Jak Francuzi nazywali taki związek - *nostalgie de la bou*. Było to nieprzetłumaczalne określenie impulsu

do przebywania i zawierania przyjaźni wśród ludzi niższego pochodzenia, chęci unurzania się w błocie. To sformułowanie było tylko kiepską, niezręczną próbą oddania zwięzłego francuskiego zwrotu po angielsku. Tym niemniej, czy odnosiło się to do niego, czy też nie, Fergus uważał przebywanie w towarzystwie Lodera za odświeżające doświadczenie.

- Jest pan pewien, że ten

Swierdłów będzie próbował szantażować ją albo wywierać inne naciski? - zapytał. - Czy to nie może być po prostu... hm, przyjaźń?

- Nie w jego przypadku. Wiemy o nim wszystko, panie Stephenson. Nie jest to człowiek, z którym się można zaprzyjaźnić. Trochę czasu zajęło nam właściwe zaszeregowanie go. Przebywał tu jakieś półtora roku, zanim skojarzyliśmy go ze Swierdłowem, który był ich głównym mordercą na Węgrzech.

- Jak do tego doszliście?

- Dzięki rutynowej kontroli; to jedna z tych rzeczy, które powinniśmy robić częściej, ale nie robimy, ponieważ musimy zmagać się z wielką ilością nudnej papierkowej roboty.

Sprawdziłem jego dossier. W ciągu dwóch lat awansował z porucznika na pułkownika - stało się to w czasie powstania na Węgrzech. Potem został wysłany na kiepską placówkę w Kopenhadze. To zakrawało na skok w niewłaściwym kierunku; ten awans wskazywał, że to gruba ryba, a Kopenhaga to martwa woda. Okazało się, że nie wysłano go tam na długo, chodziło po prostu o zatarcie śladów i umożliwienie mu odpoczynku po ciężkiej pracy w Budapeszcie. Spędził tam cztery lata nie licząc krótkiego pobytu we Wschodnim Berlinie i przerwy oznaczającej, że przebywał w Moskwie. Potem przyjechał tutaj, jako asystent tego starego wojskowego muła, Golicyna.

Zacząłem grzebać w tym życiorysie odkrywając, że on i Swierdłów, który oczyszczał Budapeszt, to ta sama osoba. To czyniło z niego pracownika Kgb i, moim zdaniem, raczej zwierzchnika generała, a nie jego podwładnego. Jest więc raczej mało prawdopodobne, że zaprasza panią Farrow na obiady, ponieważ lubi niebieskie oczy, nie sądzi pan?

- Racja. Jeśli to taki człowiek, to rzeczywiście na to nie wygląda. - Loder zapalił papierosa.
- To rzeźnik.

Mordował Węgrów; procesy o zdradę, egzekucje, to wszystko jego sprawa. Nie powiedziałem jej jeszcze o tym, ale kiedy dojdzie do najgorszego, zrobię to. Zobaczymy, jak zareaguje.

Może to być dla niej takim szokiem, że zgodzi się współpracować z nami przeciwko niemu.

- Ale czy to nie byłoby niebezpieczne? - Fergus spojrzał na niego zaskoczony.

- Tak, bardzo. Ale to cena, jaką się płaci za zadawanie się z takimi ludźmi. Spróbuję, bo chcę się przekonać, czy ona zapłaci tę cenę.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko mojej opinii - powiedział Fergus - to naprawdę jest brudna robota. I nadal żal mi tej kobiety.

- Tak czy owak, udało mi się uspokoić Amerykanów - stwierdził Loder. - Zostawiają sprawę nam.

Regularnie wysyłam raporty i każę śledzić Farrow. Sądząc po tym, co pan mówi, kapitan Paterson nie spotka się już z nią, tak więc największy problem mamy z głowy.

- W gruncie rzeczy proponował, że będzie na nią donosił. Ale to dlatego, że nie wiedział, co powiedzieć. Nie podoba mi się jego zachowanie. Moja żona też nie ma o nim zbyt pochlebnej opinii. - Od czasu do czasu powoływał się na swoją żonę, aby stwarzać pozory normalności.

- Ona potrafi dobrze oceniać ludzi - przyznał Loder. - Ale Paterson nie stanowi zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa.

Wydaje mi się, że doniósłby na własną matkę, gdyby coś zagrażało jego karierze.

Przyniesiono im kawę, a

Stephenson zamówił mały kieliszek Williama; ostry zapach gruszek dotarł do nozdrzy Lodera. Zwrócił uwagę na to, jak powściągliwy jest pierwszy sekretarz ambasady; pił niewiele, ale zawsze były to trunki w najlepszym gatunku; palił rzadko i nigdy między daniami. Zamówił likier, o którym Loder nigdy nie słyszał, chociaż podobał mu się jego zapach. Dziwny to był człowiek: łagodny, ale nie pozbawiony cynizmu; naukowiec, który wyzbył się arogancji i zarozumiałości.

Towarzystwo Lodera było dla niego zachętą, by dać z siebie wszystko. Nigdy nie uwierzyłby, że można polubić kogoś na stanowisku Stephensona. A teraz cieszył się przyjaźnią, która z każdą minutą nabierała wartości.

Pomyślał o tej lubieżnej krowie o farbowanych włosach i wielkopańskich manierach, którą obrabia taki pionek jak Macleod. Słownik używany przez niego w duchu osiągnął dno, gdy przychodziło do opisywania wielce szanownej Margaret Stephenson. Córka jakiegoś cholernego para mająca wśród przodków wielu polityków i jednego szkockiego księcia rznie się dwa razy w tygodniu w obskórnym pokoju motelowym z facetem mogącym być jej synem.

Myślał o niej z niechęcią.

Powiedział Macleodowi kilka starannie dobranych słów, które - miał nadzieję - przekonały go o niestosowności sypiania z żonami wyższych dyplomatów, a właściwie z jakimikolwiek żonami pracowników ambasady, i jeszcze większej głupocie, jaką było opowiadanie o swojej pracy.

Zniszczył werbalnie Macleoda, po czym przywołał go do życia, ponieważ był bardzo dobrym pracownikiem i wolno mu było popełnić jeden błąd bez uszczerbku dla kariery. Ale tylko jeden. Loder był przekonany, że drugiego już nie popełni.

Poza tym sam postanowił ominąć nieco przepisy. Powinien był sporządzić własny raport dla swego szefa w Londynie o niemoralnym prowadzeniu się pani Stephenson, ale tego nie zrobił.

I nigdy nie zrobi przez wzgląd na jej męża. Był pewien, że ta kobieta nie spowoduje większych szkód poza ewentualnym wywołaniem skandalu, a - jak dowiedział się od Macleoda - jest na tyle doświadczona, by nie obnosić się publicznie ze swymi kochankami. Poza tym Loder wiedział o Fergusie. Było mu go bardzo żal; biedak musiał znosić podobne numery swej żony i latami udawać, że wszystko jest w porządku. Miałby ochotę rozwalić jej łeb. Człowiek taki jak Stephenson nie zasługuje na podobne traktowanie.

- Zapali pan? - wyciągnął swą papierośnicę w stronę Fergususa, który wziął jednego papierosa.

Zauważył, że pali "Benson and Hedges" i kupił je specjalnie dla niego.

- Dziękuję. - Stephenson pomacał się po kieszeni. - Obawiam się, że nie mam zapalniczki. Musiałem zostawić ją w domu. - Przyjął ogień od Lodera. Zapalniczkę zostawił w szufladzie biurka, tam gdzie zwykle.

Dokończył kawę i zapłacił rachunek. Loder podziękował mu za przyjemny obiad proponując nieśmiało, że może za parę dni przyjmie jego zaproszenie.

Stephenson odpowiedział, że o ile pozwolą im na to zajęcia, z chęcią się z nim spotka.

- Towarzyszu Swierdłow?

Podniósł głowę i spojrzął na

Annę Skriabin; przed chwilą położyła starannie posortowaną pocztę na jego biurku, ale nie odchodziła.

- Tak?

Spuściła wzrok, po czym znowu spojrzała na niego, nerwowo zacierając dłonie.

- Otworzyłam jeden list, towarzyszu Swierdłow. Chcę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że nic nie wskazywało, iż to list prywatny.

Bardzo mi przykro.

- Jeżeli nie było widać, że prywatny, to nie wasza wina. - Jej zachowanie działało mu na nerwy; kuliła się ze strachu i jednocześnie wdzięczyła, aż miał ochotę złapać ją za tyłek i wyrzucić z gabinetu. Musiała wyczuć, że nie zdoła wkraść się w jego łaski, ale zamiast zmienić podejście, przesadnie powtarzała te same chwytły. Jak wiele kobiet, które zostały przyuczone do pewnego działania, nie potrafiła wziąć inicjatywy w swoje ręce i zdobyć się na oryginalność.

- Który to list?

- Ten. - Pochyliła się wskazując palcem jeden z nich.

Używała drogich francuskich perfum, które również zaczynały działać mu na nerwy. Odesłał ją do sekretariatu, zanim wziął list do ręki i przeczytał.

Nadszedł pocztą dyplomatyczną; był to prywatny list od Grigorija Tomarowa, świadka na jego ślubie. Zawierał również oficjalny dokument zawiadamiający go, że jego żona Elena wystąpiła o rozwód. List Tomarowa był napisany odręcznie i zajmował cztery strony.

Swierdłow przeczytał go spokojnie, odsuwając na bok zawiadomienie o postępowaniu sądowym. Elena czuje się nieszczęśliwa; narzeka na samotność i niezbyt częste listy od męża. Autor pisał tonem niemal przeprasającym, jakby nie miała prawa do takich uczuć po trzech latach rozłąki. Ton ten uległ jeszcze nasileniu, gdy wspomniał, że Elena obawia się, iż Swierdłow znalazł sobie inną kobietę, chociaż jego zdaniem to wymysł jej wyobraźni.

Tomarow uważał, że rozwód nie dość, iż nie jest konieczny, ale może się okazać poważnym błędem politycznym. Zachęcał Swierdłowa do krótkiej wizyty w Zsrr i próby załagodzenia sytuacji z żoną twierdząc, że ona nadal go kocha i z radością zrezygnuje z planów rozwodowych.

Ta rada była podyktowana uczuciem, jakie żywi dla niej i dla Swierdłowa, i niepokojem, z jakim stary człowiek obserwuje dwoje młodych ludzi popełniających błąd, którego mogliby uniknąć. Na koniec sugerował, by Swierdłow przyleciał na krótko do domu i zrobił to jak najszybciej, zanim sąd przyzna żonie rozwód.

Swierdłow położył list na dokumencie sądowym. Zapalił papierosa. A więc Elena czuje się samotna i podejrzewa go o niewierność. Jest nieszczęśliwa z powodu ich separacji. Brzmiało to nieprawdopodobnie, ponieważ świadczyłoby, że jego żona stała się taka jak inne kobiety: uzależniona od męża, niepewna siebie, kobieca. Rok wcześniej ucieszyłby się otrzymawszy taki list od Tomarowa. Odzyskałby również Elenę, gdyby tylko znalazł się dostatecznie blisko, by zaciągnąć ją do łóżka. Był tego pewien. Ale wiedział również, że byłoby to zwycięstwo, które by ją uraziło.

Zawsze gdy przegrywała, zaczynała sobą gardzić i jeszcze bardziej oddalała się od niego.

Gdyby pojechał do domu i nakłonił ją do wycofania wniosku, czy zgodziłaby się porzucić klinikę i pojechać z nim do Waszyngtonu - czy zgodziłaby się na dziecko i zaczęła zachowywać się jak prawdziwa żona? Wziął do ręki list Tomarowa i upuścił go z powrotem na biurko. Czy gdyby pojechał do domu, chciałby, by zrobiła którąś z tych rzeczy? A jakie są jego uczucia - jaki wpływ wywarły na niego te trzy lata? Od dawna znał odpowiedź na to pytanie. Wypowiedział ją wyraźnie w rozmowie z Judith mówiąc, że nie tylko jego polityczne przekonania, ale jego żona nic dla niego nie znaczą.

Mógłby na tydzień polecieć do domu. Jeśli, jak podejrzewał, Golicyn i inni w Kgb próbują podważyć jego pozycję, utrata córki bohatera Zsrr, Jurija Maksimowa, przyniosłaby mu spore szkody; powody rozwodu mogłyby się stać kapitałem politycznym wykorzystanym przez nich przeciwko niemu.

Zgasił papierosa i zaklął.

Miał mnóstwo roboty, leżały przed nim stopy papierków; chociaż brakowało mu do niej entuzjazmu, zirytowało go to nagłe wtargnięcie spraw prywatnych. Wyprowadził go również z równowagi ton listu Tomarowa; pouczał ich, jakby byli parą nastoletków, a nie dojrzałymi ludźmi, którzy spędzili osobno sporą część wspólnego życia. Elena nie była kurą domową usychającą z tęsknoty w pustym mieszkaniu.

Miała pasjonującą pracę, która wypełniała jej życie w stopniu wykluczającym udział w nim jej męża. Ich rozwód może być politycznym błędem, ale z pewnością nie będzie emocjonalną katastrofą. Pomyślał o tym, że wtyczka Golicyna przeczytała ten list. Zniszczyła kopertę, więc nie można udowodnić, że nie miał uwagi "do rąk własnych". Tak więc Golicyn będzie wiedział o rozwodzie; wyobraził sobie jego zadowolenie. Elena Maksimowna była kobietą jego pokroju, przynajmniej w teorii, ponieważ sam wybrał sobie na partnerkę tłuściutką i pospolitą, nudną i posłuszną dziewczynę ze swych stron, dla której określenie "równość płci" było jedynie pustym frazesem.

Golicyn maksymalnie wykorzystał jego rozwód. Zamknął zawiadomienie i list Tomarowa w szufladzie biurka przeklinając żonę za to, że nie uprzedziła go o swoich zamiarach. Przed zmianami na Kremlu mógł pozwolić sobie na rozwód i zignorowanie całej sprawy. Teraz wiedział, że byłoby to niemądre, a może nawet niebezpieczne.

Będzie musiał polecieć do domu i porozmawiać z nią.

Wezwał Skriabin i podyktował jej telegramy do Tomarowa i do żony. Poleciał jej zarezerwować lot do Moskwy na koniec tygodnia.

- Może się mylisz - powiedziała Judith. - Może gdy ją znowu zobaczysz, inaczej spojrzysz na wszystko.

Jedli razem obiad i to ona wybrała restaurację, małą trattorię w centrum Manhattanu, gdzie włoska kuchnia była prosta i wspaniała, a obecność kogoś z kręgów dyplomatycznych mało prawdopodobna. Przez ostatni miesiąc spędzali razem dwa, trzy wieczory w tygodniu i jemu często udawało się przekonać ją, by razem jedli obiad. Przed Swierdłowem jak zwykle stała whisky; obiecał jej, że spróbuje Chianti, ale zrobił to bez entuzjazmu.

- Dlaczego tak miałyby być?

Rozłąka wcale nie potęguje uczuć. Po prostu zaciera wspomnienia.

- Nie chcesz się z nią pogodzić, prawda?

- Nie - przyznał. - Im bliższa jest chwila wyjazdu tam i podjęcia tej próby, tym bardziej nie chce mi się nic w tej sprawie robić. Nie patrz tak na mnie; nie próbuj być dobrą chrześcijanką i namawiać mnie, bym kochał żonę. Jak wiesz, nie braliśmy ślubu kościelnego.

- Nie musisz mi tego mówić. I wcale nie usiłuję być dobrą chrześcijanką i namawiać cię do czegokolwiek.

- A więc usiłujesz przekonać samą siebie, że nic cię to nie obchodzi. Że byłabyś szczęśliwa, gdybym potrafił ją kochać, i że nic a nic nie jesteś zazdrosna.

Rozumiem to. Nie będę się z ciebie naigrawał; przepraszam. - Uniósł jej rękę i pocałował.

Wbiła mu w twarz paznokcie.

- To niezbyt chrześcijański postępek - zauważył. - Powinnaś być łagodna i posłuszna.

Popatrz, będę miał bliznę.

- Zasłużyłeś sobie na to. Czy choć przez chwilę nie możesz zachować powagi?

- Skoro nalegasz, postaram się. Ale trudno mi zdobyć się na powagę, gdy jestem z tobą. Czuję się szczęśliwy. Tymczasem z nią nie jestem szczęśliwy. Czy to wyczerpująca odpowiedź na twoje pytanie?

- Nie, prowadzi tylko do następnego pytania. Jeśli jej nie kochasz i chciałbyś się z nią rozwieść, dlaczego wracasz, by spróbować odwieść ją od tego zamiaru?

- Ach! - Odchylił głowę do tyłu i przyknuł oczy. - To trudne pytanie. Nie ma nic wspólnego ze mną i Elena, tylko dotyczy polityki.

- Nie rozumiem. Co twoje małżeństwo ma wspólnego z polityką? To twoja prywatna sprawa.

- Czyżby na Zachodzie rozwód lub skandal nie wywierał wpływu na życie mężczyzny? Daj spokój, widocznie nie wiesz zbyt wiele o własnym społeczeństwie.

- Mówię o waszym społeczeństwie, nie naszym.

Myślałam, że uzyskanie rozwodu to jak zrobienie skrobanki. Raz dwa i po wszystkim.

- To zależy, kim jesteś. Nie powinno mieć żadnego wpływu, ale ma. Nie uśmiechaj się, wcale nie przyznaję ci racji. Moja żona jest ważną osobą, pochodzi ze znaczącej rodziny. Jeśli się ze mną rozwiedzie, może to mieć wpływ na moją karierę. Rozwód nie będzie mile widziany przez moich przełożonych. O tym teraz myślę.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś taki ambitny.

- Chcę przeżyć. - Żartujesz chyba.

- Tylko częściowo. Dlaczego nie jesz - wszystko ostygnie.

- Fiodor, przestań się wygłupiać. Jesteś zawodowym żołnierzem pracującym w służbie dyplomatycznej - jakim cudem rozwód może zagrozić twemu życiu? Na Boga, nie jesteś mężem córki Stalina!

- Jej ojciec dobrze go znał.

Czy ten facet z waszej ambasady nic ci o mnie nie opowiedział?

- Nie - przyznała Judith. -

Nic. Dzwonię do niego za każdym razem, gdy się spotykamy, po czym odkładam słuchawkę.

Opowiadałam ci o tym.

- Lubisz mnie, prawda?

- Tak. Doskonale o tym wiesz.

- Bardzo?

- Wystarczająco. - Zaczęła rysować nożem wzory na obrusie w czerwonej kratę. - Jak długo cię nie będzie?

- Nie wiem. To zależy jak długo będę musiał ją przekonywać, by zmieniła plany.

Przestań kroić obrus i spójrz na mnie. Kiedy wrócę, spotkamy się?

- Może nie będziesz chciał mnie widzieć - nigdy nie wiadomo. Może zakochasz się na nowo w swojej żonie, kiedy znajdziesz się w domu. Jeśli się nie odezwiesz, zrozumie cię.

Nie będę miała ci tego za złe.

Roześmiał się głośno. - Skoro tak mówisz, to dlaczego sprawiaś wrażenie nieszczęśliwej? Posłuchaj: nie jestem chłopcem wracającym do domu, do utraconej miłości. Nie było mnie tam trzy lata i nic poza obawą o własną skórę nie zmusza mnie do powrotu. Ona nic dla mnie nie znaczy; życzę jej wszystkiego najlepszego, zawsze chętnie się z nią spotkam, ale jako kobieta - nic dla mnie nie znaczy. To koniec! - Uderzył ręką w stół. - Jeśli chodzi o ciebie, to nic nawet się nie rozpoczęło. Zawsze powtarzasz mi jedynie "nie". Czy jesteś tajną maoistką?

- Skąd wiedziałeś? - Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. - Każdy dzień zaczynam od czytania jego "Myśli".

- Ja nie mogłbym rozpocząć dnia, gdybym je przeczytał.

Monotonne brednie chińskiego megalomana. Czy wiesz, że sprzedano więcej egzemplarzy tego "dzieła" niż Biblii?

- I co z tego wynika? - Judith przysłała już nieco do siebie.

Wiadomość, że Fiodor zamierza wrócić do Rosji była dla niej szokiem.

Pochylił się ku niej i pocałował ją w szyję. - To znaczy, że za dużo jest na świecie Chińczyków.

- Fiodor? Tak naprawdę nic ci nie grozi, prawda? To był tylko żart?

- Nie - odpowiedział poważnym tonem. - To wcale nie był żart.

Czy nie rozumiesz, że stałbym się politycznie podejrzany, gdybym nie próbował się z nią pojednać? Wielu zwolenników jej ojca znajduje się teraz u władzy. Nastąpił ruch do tyłu, zamiast do przodu. Zachód nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy.

- A ty nadal czujesz się tak jak wtedy; straciłeś wiarę w to wszystko?

- Straciłem zainteresowanie. -

Pili kawę i on nasypał sobie jedną trzecią cukru z małej cukierniczki. - Możesz to nazwać wiarą, jeśli masz ochotę. Kiedyś wierzyłem, że nasz styl życia to jedyna rozsądna odpowiedź na problemy tego świata. Nigdy nie byłem fanatykiem, przynajmniej nie takim jak Elena. Zawsze zadawałem pytania.

- Po śmierci Stalina ludzie przestali mówić o zniszczeniu drugiej połowy świata jako sposobie na rozprzestrzenienie komunizmu. Mieliśmy trochę więcej wolności, zapanowało pewne umiarkowanie. Wniosłem swój wkład w te przemiany, ponieważ w nie wierzyłem. Nadal jeszcze wierzę, ale należą one do przeszłości. - Przyjrzała się mu; nigdy jeszcze na jego twarzy nie widziała takiej powagi. - To przeszłość i cofnęliśmy się o trzydzieści lat. Zachowuję się więc teraz jak większość: chcę przeżyć, o ile mi się uda. To miałem na myśli, gdy rozmawialiśmy wtedy na wyspie.

Nie ma sprawiedliwości ani ideałów, liczy się jedynie umiejętność przystosowania i drobne przyjemności, takie jak jedzenie z tobą obiadu. Zapal rosyjskiego papierosa.

- Skoro jest tak źle jak twierdzisz, dlaczego nie uciekniesz? Dlaczego po prostu nie wysiądziesz w Europie z samolotu i nie znikniesz?

- Ponieważ jestem Rosjaninem i nie chcę zostać wygnańcem. Będę kontynuował swoją pracę, a może coś zmieni się na lepsze. Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie namówić do dezercji?

- Dobrze wiesz, że nie. Gdybyś przeszedł na naszą stronę, zdradziłbyś swój naród. Radziłam ci jedynie, byś zniknął. Ale to głupie wyjście; to chyba niemożliwe.

- Nie - na chwilę na jego twarz powrócił krzywy uśmiech. - Bardzo trudno byłoby mi się ukryć bez czyjejś pomocy. Nie ma więc innego wyjścia, jak uregulować rachunek i odwieźć cię do Onz, gdzie będziesz dalej pracować na rzecz obrzydliwego zachodniego kapitalizmu. Wylatuję w piątek; mam nadzieję być z powrotem za dziesięć dni, może wcześniej, jeśli uda mi się porozumieć z żoną. Zadzwoń do ciebie.

Pojechali jego samochodem.

Podjechał do krawężnika przed wejściem do wysokiego szklanego budynku i objął ją.

- Do zobaczenia - powiedział całując ją. - Duszeńko.

W jakiś czas potem Judith złapała przed drzwiami biura Nielsona jednego z tłumaczy.

Zapytała, co znaczy to słowo.

Uśmiechnął się do niej znacząco:

- To znaczy po rosyjsku

"kochanie". Kto panią podrywał?

Podziękowała i zamknęła mu drzwi przed nosem. Tego dnia nie zdobyła się na telefon do Lodera.

Loder był już w łóżku, kiedy odezwał się telefon.

Mówił dyżurny szyfrant w ambasadzie.

- Przez cały wieczór usiłowałem pana złapać.

Loder był w kinie, a potem zjadł kolację w chińskiej restauracji, jak zwykle sam.

- W porządku, o co chodzi?

Jest już prawie pierwsza w nocy.

- Przyszła do pana otwarta depesza z adnotacją "bardzo pilne". Czy mam ją panu przeczytać, czy też pofatyguję się pan tutaj?

- Nadaje się do przeczytania przez telefon?

Loder był już całkiem rozbudzony. O ile wiedział, jego telefon był "czysty", ale urządzenia podsłuchowe stawały się coraz doskonalsze. Boże broń go od podejrzenia, że poza wywiadami państw bloku wschodniego, o podłączeniu się do jego telefonu mógł pomyśleć któryś z wiernych przyjaciół Anglii w CIA.

- Telegram dotyczy spraw osobistych. Mam go odczytać?

- Proszę bardzo. - Loder miał obok telefonu notes i ołówek.

- Daphne jest chora. Proszę, przyjedź natychmiast. Jej stan jest bardzo poważny.

Podpisano:

Vinney.

Loder zanotował wszystko. -

Dzięki - powiedział. - Proszę wysłać w moim imieniu telegram:

"Wsiadam w pierwszy samolot w czwartek 27. Jack." Proszę nadać go jak najszybciej, jako pilny.

Odłożył słuchawkę i wstał z łóżka. Znalazł papierosa w paczce wyjętej z marynarki; nie przepadał za papierosnikami od czasu, gdy zgubił tę podarowaną mu przez żonę na Boże Narodzenie w pierwszym roku ich małżeństwa.

Daphne było imieniem jego żony, ale Vinney to krótkie imię jego szefa w Londynie, na Queen Anne's Gate. Fakt wysłania telegramu otwartym tekstem oraz fikcyjna wiadomość o chorobie Daphne świadczyły o tym, że stało się coś bardzo ważnego; tak istotnego, że nikt w ambasadzie, nawet sam ambasador, nie miał prawa wiedzieć, że Loder został wezwany do Londynu w sprawach służbowych. Wrócił do łóżka i wykręcił numer brytyjskich linii lotniczych.

- Czy mogę rozmawiać z panią

Farrow? Zastałam ją w domu?

Drzwi otworzyła Nancy, a nieznajoma blondynka weszła do korytarza. - Nie ma jej w tej chwili, ale powinna zaraz wrócić. Niech pani wejdzie i zaczeka. - Poprowadziła ją do salonu; zauważyła, że nieznajoma szybko rozejrzała się po pokoju rejestrując wystrój. W korytarzu stała w cieniu; w jasno oświetlonym pokoju Nancy zauważyła, że jej włosy są koloru mosiądzu, a na drogą, lecz nieelegancką czerwoną suknię ma narzucone długie futro ze srebrnoniebieskich norek. - Nie powiedziała pani, kim pani jest - rzuciła Nancy.

- Sandy - przedstawiła się blondynka uśmiechając się. - Sandy Mitchel. Dzień dobry.

- Dzień dobry. Jestem Nancy

Nielson. Napije się pani czegoś?

- Nie, dziękuję. - Dziewczyna zsunęła futro z jednego ramienia i usiadła, a właściwie przycupnęła na skraju krzesła trzymając kolana razem. Miała śliczne nogi i była bardzo ładna. Wyglądała na piosenkarkę albo drugoplanową aktorkę. Nancy nie mogła jakoś wyobrazić sobie, co może ją łączyć z Judith.

Obserwowała dziewczynę, podobnie jak ojciec mrużąc niebieskie oczy; zastanawiała się czy nie popełniła błędu zapraszając ją do środka.

- Dobrze zna pani Judy? - zapytała.

- Nie. Trudno mówić o znajomości. Spotkałyśmy się tylko raz.

- Aha. A więc Judith nie spodziewa się pani?

- Nie. - Rzuciła jej piękny uśmiech, który zdradzał jednak zdenerwowanie.

- Przychodzę w imieniu znajomego. Czy to nie ona?

Drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły. Nancy wstała. - Sądzę, że tak. Powiem jej, że pani tu jest.

Wychodząc zamknęła za sobą drzwi. W korytarzu Judith potrząsnęła przecząco głową. - Nie znam żadnej Sandy Mitchel...

Pójdę zobaczyć, czego ona chce.

Gdy weszła do pokoju, blondynka wstała i Judith rozpoznała ją. To ta Amerykanka, która przysiadła się do ich stolika z młodym Rosjaninem.

Przypomniała sobie nagle jego nazwisko: Niemenow.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Sandy Mitchel - przedstawiła się blondynka. - Czy pani mnie pamięta? Poznałyśmy się w "Popotte", jakiś czas temu... - Nie wiedziała, co powiedzieć; spojrzała przez ramię Judith na Nancy.

- Pani Farrow, czy mogę z panią porozmawiać na osobności?

- Ależ oczywiście. - Judith odwróciła się, ale Nancy już wychodziła z pokoju. Kiedy zostały same, usiadła. - O czym chce pani ze mną rozmawiać, panno Mitchel?

- Jestem przyjaciółką Piotra

Niemenowa - rzuciła szybko dziewczyna. - Pewnie mnie pani nie pamięta, ale tamtego wieczoru przysiedliśmy się do was na drinka. Chodzi o to, że dzwonił do mnie Piotr, jest teraz w Paryżu na dwutygodniowej wycieczce. Prosił mnie, bym się z panią skontaktowała, ponieważ ma wiadomość dla pani przyjaciela, pułkownika Swierdłowa.

- O? Dlaczego nie mógł jej przekazać bezpośrednio?

- Nie wiem - dziewczyna wzruszyła ramionami. - I nie chcę wiedzieć, pani Farrow.

Wcale bym tu nie przyszła, gdyby nie to, że lubię Piotra - dobrze nam ze sobą, a on bardzo mnie prosił o tę przysługę.

Twierdził, że to niesłychanie ważne, bym panią odszukała i przekazała tę wiadomość dla pani przyjaciela.

- Jaka to wiadomość?

- Zapisałam ją sobie. -

Zaczęła grzebać w torebce wyjmując kartkę papieru, na której coś nabazgrano ołówkiem.

Judith wyciągnęła rękę, ale

Sandy Mitchel potrząsnęła głową sprawiając wrażenie zażenowanej.

- Piotr pozwolił mi ją zapisać, ale kazał nikomu nie dawać tej kartki. Mam ją spalić, gdy już przekażę pani wiadomość.

Proszę mi wierzyć, pani Farrow, to wszystko zakrawa na wariactwo, ale jak mówiłam, on jest moim starym przyjacielem i robię to tylko dla niego.

- Dobrze, niechże więc mi to pani przeczyta. - Judith ściszyła głos podświadomie broniąc się przed Nancy, która mogła usłyszeć wszystko przez drzwi.

- "Kalinin siedzi na Łubiance.

Teraz czekają na ciebie. Pod żadnym pozorem nie daj się namówić na powrót do Rosji". To wszystko.

- O, mój Boże! - wyszeptała

Judith.

- Nic z tego nie rozumiem, ale wygląda na to, że pani przyjaciel ma kłopoty. - Spojrzała na Angielkę; była biała jak papier.

- Chyba już sobie pójdę. Piotr prosił, by przekazała to pani swemu przyjacielowi jak najszybciej.

- Jest czwartek wieczór - powiedziała Judith. - Muszę skontaktować się z nim jeszcze dzisiaj! - Wyszła z dziewczyną Niemenowa do korytarza.

Wyciągnęła rękę, którą Sandy uścisnęła.

- Dziękuję pani - powiedziała.

- Dzięki, że mnie pani odnalazła, by mi to powiedzieć.

A teraz proszę iść do domu, spalić tę kartkę i zapomnieć o wszystkim.

- Tak właśnie zrobię. Nie wiem, o co tu chodzi, ale wyczuwam kłopoty. Mam nadzieję, że złapie pani dzisiaj swego przyjaciela.

- Niech Bóg ma go w swej opiece, jeśli mi się to nie uda.

On jutro rano odlatuje do Rosji.

Szef Lodera w Londynie był emerytowanym przemysłowcem, który otrzymał tytuł szlachecki po wojnie za usługi na rzecz przemysłu oraz wysokie odznaczenie bojowe i awans za zasługi innego typu podczas wojny. Trudno powiedzieć, by prezentował się zbyt okazale; był niepozornym mężczyzną niskiego wzrostu. Miał przerzedzone włosy i nosił grube szkła; jedyną pamiątką po jego wojskowej karierze był mały, starannie przystrzyżony wąs.

Był prawdziwym żołnierzem; służąc w czasie pokoju w wywiadzie na Bliskim Wschodzie i w Indiach cieszył się dobrą opinią ze względu na swój spryt i osobistą odwagę. Podczas wojny, kiedy to wywiad wojskowy zdobył wątpliwą sławę dzięki swym wczesnym wpadkom, a amatorzy z agencji do zadań specjalnych (Soe) zwierali szeregi, był brygadierem wciągniętym do pracy Tajnej Służby Wywiadowczej (Sis), działającej pod kierunkiem Marynarki Wojennej. Okazał się być rzadkim okazem w służbie wywiadowczej; człowiekiem o wielkiej odwadze i wrodzonej inteligencji, która nie pozwoliła mu dać się złapać i bohaterko zginąć. Był doskonałym organizatorem, a dzięki doświadczeniu w akcjach bezpośrednich, którego niestety nie posiadali inni szefowie sekcji wywiadowczych, wiedział, jak wiele można wymagać od agentów i jak najlepiej ich wykorzystać. Gdy wojna się skończyła, przeszedł do pracy w przemyśle, gdzie zastosował swoje zdolności w różnych firmach państwowych z takim powodzeniem, że został nobilitowany; wyglądało to na koniec jego kariery w służbie publicznej. Tymczasem został szefem całej Tajnej Służby Wywiadowczej i wprowadził się do otoczonej nimbem świętości siedziby przy Queen Anne's Gate.

Wyzначył Loderowi spotkanie na późne piątkowe popołudnie. Jego poprzednik nigdy po obiedzie nie zaszczyliłby biura swoją bytnością. Weekend uznawał za rzecz świętą, której nic poza wojną nie mogło zakłócić.

- Niech pan siada, Loder. Świetnie pan wygląda. Waszyngton dobrze panu służy?

- Tak, sir. Jakoś sobie radzę.

- Przepraszam, że pana ściągnąłem w tak nagłym trybie.

Otrzymałmy ważny dok od seka stanu do spraw zagranicznych - miał drażniący Lodera zwyczaj skracania słów. - Szykuje się prawdziwa burza, ale musimy zachować to w rodzinie. Dlatego użyłem imienia pańskiej żony w telegramie.

- Domyśliłem się, proszę pana.

Powiadomiłem ambasadę, że zachorowała i dlatego muszę pojechać do kraju. O co chodzi.

- O Bliski Wschód. To piekielne miejsce; nic tylko ciągłe kryzysy - Żydzi, Arabowie, to jedno i to samo.

Tak czy owak, mówiąc w skrócie,

Departament Stanu wystąpił z inicjatywą spotkania mediatora ze strony Izraela z jakimś egipskim politykiem; oczywiście chodzi o rzecz całkowicie nieoficjalną, nikt nic nie wie, rozumie pan, o co mi chodzi!?

Właśnie. Unikając ryzyka nic się nie osiągnie itp. Rząd Izraela wyraził zgodę pod warunkiem, że nikt nie uzna tego za ustępstwo; wyznaczyli już nawet odpowiedniego kandydata;

Arabowie dali sygnał, że egipski polityk może przypadkiem w tym samym czasie znaleźć się na neutralnym gruncie i porozmawiać z przedstawicielem Izraela; pod warunkiem, że nie ukaże się o tym żadna oficjalna informacja.

To mógłby być jakiś początek. W gruncie rzeczy, jak sobie pan zdaje sprawę, spotkanie to byłoby jeszcze ważniejsze z punktu widzenia Zachodu, ponieważ stanowiłoby znak, że Egipt może w przyszłości wydostać się spod sowieckiej dominacji.

- Dlaczego mieliby to zrobić?

Przepraszam za to pytanie, ale jestem ciekaw - zapytał Loder.

- Bardzo dobre pytanie. Jak zwykle chodzi o ochronę własnych interesów. Nikt nie panuje już nad arabskimi ruchami terrorystycznymi. Nie chodzi tylko o El Fatah, ale o całkowicie nowy ruch rewolucyjny wzorujący się na Che Guevarze; oni uważają, że nie można odzyskać Palestyny nie niszcząc wszystkich powiązań z Zachodem, włączając w to bogate w ropę szejkanaty, które pompują po cichu w Egipt spore sumy pieniędzy za to, by Kanał pozostał zamknięty. - Te wpływowe państwa zaczynają uważać, że jak na ich gust ci partyzanci są zbyt lewicowi.

Jeśli Żydzi zdecydują się na odwet i wybuchnie kolejna sześciodniowa wojna - a moim zdaniem nie zniosą oni dłużej szturchańców ze strony państw arabskich nie dając im po nosie - Egipt przegra pomimo sowieckich Migów, a młodzi arabscy fanatycy zwrócą się przeciw swemu rządowi. Co, zapewne, zależnie od okoliczności, będzie jej najbardziej odpowiadać Rosjanom.

Uważam, że Egipcjanie dojrżeli już, by zwrócić się w naszą stronę. Ale cała sprawa obróciła się przeciwko nam - może nie dosłownie przeciwko nam, ale na pewno przeciwko Departamentowi Stanu Usa.

Przerwał, złapał się za czubek nosa i pociągnął go w dół, co na chwilę dziwnie zniekształciło jego angielskie rysy. Loder wyjął paczkę papierosów i poczęstował szefa, który skwapliwie skorzystał z oferty; jego zwyczaj palenia cudzych papierosów i nie otwierania pudełka, które trzymał na biurku, od dawna wywoływał złośliwe uśmiechy podwładnych.

- Ktoś uprzedził Rosjan o całej sprawie - powiedział. - Dostarczył im nawet dowodów na piśmie: listy, notatki służbowe, zalecenia Msz, poparcie prezydenta - wszystko. Oni pokazali to Egipcjanom i tyle było ze spotkania. Żydzi są wściekli z powodu tego przecieku i w pewnym sensie ujawniło to ich słabość. Teraz ich radykałowie domagają się głośno działania.

- A Sowietom wpadły w ręce te dokumenty? Skąd wiemy, że je widzieli?

- Mamy przyjaciela w Kairze, który widział fotokopie i poinformował nas o tym. Jest tym wszystkim zdenerwowany - jego nazwisko nie zostało ujawnione, ale niewiele brakowało. Sądzę, że straciliśmy go, ale nic nie możemy już na to poradzić.

- Skoro mieli fotokopie, to znaczy, że ktoś z naszej strony im je dał. Ktoś powiadomił ich o całej sprawie.

- Tak. - W oczach ukrytych za okularami czaił się gniew. - Dokładnie to, Loder. Mamy w swoich szeregach zdrajcę.

- Amerykanie musieli zrobić straszny raban - Loder był na tyle wstrząśnięty, że zapomniał się i powiedział to z czystym akcentem wskazującym na jego pochodzenie z Midlands.

- Rozpoczęli natychmiastowe dochodzenie obejmujące każdego, kto miał cokolwiek wspólnego z pomysłem tego spotkania lub mógł mieć dostęp do korespondencji.

Jak pan mówi, nie są całą sprawą zachwyceni. I naturalnie twierdzą, że to ktoś z naszych.

- Pewnie - Loder rzucił nieprzyjemnym tonem. - Hołubili ten pomysł niczym niemowlę - dlaczego my mielibyśmy zmoczyć ich pieluszki? Ktokolwiek to jest, sądzą, że to ktoś od nich.

- Mam nadzieję - stwierdził szef. - Ale trudno im się dziwić. Mamy na koncie kilka podobnych wpadek. Nie było mnie tutaj, gdy w Waszyngtonie pracował Maclean, bo pewnie bym go odwołał, ale pamięta pan zapewne, że przekazał Rosjanom wszystkie nasze plany dotyczące systemu obronnego Nato.

Chciałbym wierzyć, że to nikt z naszych ludzi, ale nie mogę tego wykluczyć. Dlatego wezwałem pana, Loder. W Waszyngtonie robi się bardzo gorąco.

Chciałbym, by przeczesał pan cały personel naszej ambasady, każdego bez wyjątku.

Widząc wyraz twarzy Lodera powtórzył z naciskiem: - Dosłownie każdego, od ambasadora w dół. Proponuję podesłanie panu w przyszłym tygodniu dwóch doskonałych specjalistów. Obaj są oficerami marynarki i można ich zatrudnić w sekcji planowania.

Loder zawahał się; myślał bardzo szybko. - Prosiłbym o trzech, sir. Sądzę, że odeślę Macleoda.

- Dlaczego?

- Wdał się w romans z dziewczyną z kadr. - Już przedtem postanowił nie mieszać do sprawy Stephensona i jego żony, toteż przygotował sobie kłamstwo. - Może wygadać się przed nią, że coś się szykuje.

To dobry fachowiec, proszę mnie dobrze zrozumieć, i w normalnych warunkach w niczym by to nie przeszkadzało, ale skoro mamy utrzymać całą rzecz w absolutnej tajemnicy... Wolałbym kogoś na jego miejsce.

- Dobrze. To da się załatwić.

A przy okazji, tu na miejscu też będziemy mieli masę roboty. W poniedziałek mam złożyć raport na Down. - W pierwszej chwili Loder nie zrozumiał, o czym on mówi, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to jeden ze skrótów szefa.

- Ma pan na myśli spotkanie z premierem, na Downing Street?

- Tak. Jest teraz zajęty, gdyż inaczej byłbym jutro w ministerstwie. Tak poważnie to wygląda, Loder. Cały plan dotyczący Bliskiego Wschodu był sprawą priorytetową. Ten, kto przekazał sprawę Rosjanom, doskonale o tym wiedział. A to znaczy, że bez względu na to, czy jest Amerykaninem czy Anglikiem, nie chodzi tu tylko o jeden przeciek czy jakąś kolosalną pomyłkę. To śmiertelne zagrożenie dla bezpieczeństwa Zachodu. Podwójny agent, przy którym Philby będzie wyglądać na skromnego kancelistę.

- Jezu - wymamrotał Loder. -

Mam tylko nadzieję, że to nikt z nas.

- Ja też - przyznał szef znowu ciągnąc się za nos. - Ale coś mi mówi, że to jednak nasz człowiek. - Wstał i wymienił z Loderem uścisk dłoni. - Teraz pańska kolej. Może pan tu zostać przez kilka dni, zobaczyć się z dziećmi, jeśli ma pan ochotę, i wyjechać w środę.

- Dziękuję panu. - Loder nie miał ochoty prosić o tę przysługę. Fakt, że szef sam o tym pomyślał, świadczył o jego zdolności kierowania ludźmi. - Dzięki. Mogę spotkać się z dziećmi i złapać samolot we wtorek wieczorem. Chciałbym się już do tego zabrać. Do widzenia, sir.

Wyszedł i wkrótce oddychał świeżym wiosennym powietrzem; zanim znalazł taksówkę, która miała odwieźć go z powrotem do hotelu.

Swierdłowa nie było w waszyngtońskiej ambasadzie.

Judith dzwoniła trzy razy w ciągu godziny; za pierwszym razem poprosiła o połączenie z nim, ale po pięciu minutach oczekiwania na linii zapadła cisza. Nerwowo wykręciła numer po raz drugi; znowu nastąpiła cisza, ale tym razem włączyła się pani z centrali przeproszając ją za zwłokę i Judith czekała dalej. Odezwał się w końcu jakiś mężczyzna mówiący wolno po angielsku i powiedział, że pułkownika nie ma w Waszyngtonie. Nie mógł udzielić jej więcej informacji, ale gdyby zostawiła swe nazwisko i zadzwoniła za pół godziny...

Kiedy to zrobiła, dowiedziała się, że Swierdłow jest w Nowym Jorku. Decyzję o udzieleniu jej tej informacji podjął sam Golicyn; ostatecznie pułkownik "urabiał" panią Farrow, która

może mu mieć coś ważnego do przekazania; coś, czego nie powie nikomu innemu. Dyżurny, który przyjął jej telefon twierdził, że sprawiała wrażenie, jakby miała jakąś pilną sprawę.

JUDITH siedziała za zamkniętymi drzwiami swej sypialni; udało się jej zbyć Nancy, która chciała dowiedzieć się, kim jest Sandy Mitchel i czego od niej chciała. Judith skłamała jej, że chodzi o znalezienie adresu ich wspólnego znajomego. Nancy nie dała się na to nabrać, ale kłamstwo pozwoliło uniknąć Judith dalszych pytań i wyjaśniało serię nagłych telefonów.

Kiedy zadzwoniła do ambasady po raz trzeci, jej zniecierpliwienie sięgnęło zenitu, gdy ta sama cholerna przerwa wydłużyła się z dwóch minut do pięciu, potem do ośmiu, a mechaniczny głos telefonistki prosił ją o cierpliwość. Miała ochotę wybuchnąć płaczem i krzyczeć do słuchawki.

W końcu usłyszała głos tego samego faceta co poprzednio.

Podał jej numer telefonu w Nowym

Jorku, pod którym można złapać pułkownika Swierdłowa. Przez chwilę ogarnęła ją panika; urzędnik powtarzał ten numer powoli i wyraźnie, ale ona nie miała czym go zapisać, a bała się, że ze zdenerwowania pomyli kolejność cyfr. - Niech pan chwilę zaczeka, proszę poczekać - krzyknęła do słuchawki, jakby był tak daleko, że nie mógł jej usłyszeć. - Nie mam czym pisać.

Nie, do diabła, powiedziałam

"pisać", chcę zapisać ten numer. Niech pan nie odkłada słuchawki...

Znalazła się po chwili przy telefonie z jakimś rachunkiem i kredką do rzes, bo nic innego nie mogła znaleźć. Udało się jednak i po dziesięciu minutach dodzwoniła się i usłyszała głos Fiodora.

- Muszę się z tobą zobaczyć - zaczęła się jąkać. - To bardzo ważne. - Nastąpiła cisza i pomyślała, że połączenie zostało przerwane. Wtedy on odezwał się.

- Trudno to będzie zrobić.

Jestem bardzo zajęty, a jutro rano wyjeżdżam.

Wyczuła, że nie jest sam; jego głos brzmiał bezosobowo, niemal obco.

- Fiodor, muszę ci coś powiedzieć. Na Boga, załatw to szybko i spotkaj się ze mną. W żadnym razie nie wolno ci jutro lecieć do domu!

- W porządku, jeśli to rzeczywiście takie pilne.

Spotkamy się tam gdzie ostatnio.

Za około godzinę. - Odłożył słuchawkę nie mówiąc nawet do widzenia.

Był już w trattorii, w której jedli w tym tygodniu obiad; siedział przy tym samym narożnym stoliku, mając przed sobą szklaneczkę whisky. Podniósł wzrok, gdy weszła. W knajpce panował tłok; powietrze było ciężkie, pełne włoskich zapachów; jakieś towarzystwo przy długim stole bankietowym robiło mnóstwo hałasu wznosząc toasty.

Odsunął dla niej krzesło i przez chwilę jego ręka zatrzymała się na jej ramieniu ściskając je. To, co powiedziała na powitanie było tak irytujące i małostkowe, że natychmiast zrobiło się jej wstyd.

- Byłeś bardzo nieprzyjemny przez telefon. Nie prosiłabym cię o spotkanie, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

- Przepraszam. Byłem w pokoju pełnym ludzi. Poza tym zaskoczyłaś mnie. Jakim cudem mnie odnalazłaś?

- Twoja ambasada w

Waszyngtonie dała mi ten numer.

Posłuchaj, mało nie oszalałam próbując cię złapać. Nie wolno ci lecieć jutro do domu!

- Już to mówiłaś - Swierdłow wziął do ręki szklanekę. - Napij się trochę, jesteś bardzo błada.

A potem powiedz mi, o co chodzi.

- Odwiedziła mnie dziś wieczorem, kiedy wróciłam z pracy, ta Amerykanka żyjąca z twoim znajomym, którego spotkaliśmy w "La Popotte" - Niemenowem. On przekazał jej wiadomość dla ciebie, a ona odszukała mnie.

- Jaka to wiadomość? - W jego głosie słychać było spokój, jakby to go w ogóle nie dotyczyło.

- Zapisała ją na kartce, ale nie chciała mi jej dać, więc musiałam ją zapamiętać. "Kalinin siedzi na Łubiance. Teraz czekają na ciebie. Pod żadnym pozorem nie wracaj do Rosji" - nie, to brzmiało inaczej - "pod żadnym pozorem nie daj się namówić na powrót do Rosji".

- Kalinin to mój sekretarz - powiedział wolno Swierdłow. - Jesteś pewna, że chodziło o Łubiankę?

- Absolutnie. Słyszałam nawet o tym miejscu. To więzienie, prawda?

- Tak - przyznał. - To główny ośrodek przesłuchań Kgb w Moskwie.

- "Teraz czekają na ciebie" - co to znaczy? - Wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń. Przytrzymała ją i splelił palce, a on ścisnął je tak mocno, że aż ją to zabolowało.

- To znaczy, że aresztowano mojego sekretarza i poddano przesłuchaniom. A to może oznaczać, że kiedy pojedę do domu, dołączę do niego na Łubiance.

- O, mój Boże - wyszeptła

Judith. - I wszystko z powodu rozwodu...

- Nie - potrząsnął głową

Swierdłow. - Rozwód nie ma z tym nic wspólnego. To był tylko chwyt mający sprowadzić mnie do domu. - Przypomniał sobie list Tomarowa przepelniony ojcowską troską i doradzający natychmiastowy powrót. Jego oczy zwięzły się przybierając złowrogi wyraz i powiedział w swoim języku coś, czego Judith nie zrozumiała.

- Chodzi o coś o wiele poważniejszego. - Uśmiechnął się, ale z powodu skrzywionych ust wyszedł z tego gorzki grymas. - Zabrali Kalinina do domu, by sfabrykować dowody przeciwko mnie. Teraz już pewnie je mają. Wobec tego mój stary przyjaciel pisze namawiając mnie do powrotu, a moja żona występuje o rozwód...

- Ale co takiego zrobiłeś? - wykrzyknęła Judith. - Dlaczego mieliby coś "fabrykować"? Nie rozumiem tego...

- Nie dziwię ci się wcale - powiedział cicho. - Nie możesz tego zrozumieć, ponieważ w twoim świecie coś takiego nie ma miejsca, chyba że w książkach, w powieściach szpiegowskich, w których bohater przegryza przewód pod napięciem i znika w ciemnościach. Z Łubianki nie ma ucieczki. Żał mi Kalinina. Mam nadzieję, że nie próbował odmawiać zeznań. - Poczęstował ją papierosem i sam zapalił. - Tak więc polityka została ustalona, powróciliśmy do stalinizmu. A teraz zaczynają się czystki. Byłem ślepy i głupi; powinienem był to przewidzieć.

- Ale dlaczego wybrano ciebie?

Dlaczego zadano sobie tyle trudu, by osaczyć właśnie ciebie?

- Zaliczam się do ludzi o umiarkowanych poglądach. Wierzę, że możemy pokonać świat kapitalizmu poprzez pokojową infiltrację, manewry polityczne, postęp historii, ale nie wojnę.

Nie można tego dokonać zgodnie ze starą marksistowską teorią głoszącą, że ruch rewolucyjny zmiecie wszystko do morza i będziemy budować nowy raj na gruzach. Jak widzisz, uległem daleko posuniętemu rozkładowi moralnemu; lubię szkocką whisky.

Czy nie zdałaś sobie sprawy, kiedy się poznaliśmy, że już samo to oznacza, iż utraciłem swą marksistowską duszę?

- Rzeczywiście ją straciłeś - powiedziała gwałtownie Judith. - Sam mi to powiedziałeś tej nocy, kiedy zmusiłeś mnie do zwierzeń na temat Richarda. Przyznałeś, że utraciłeś wiarę w to wszystko. Że zależy ci jedynie na przetrwaniu. Musiałeś okazać to w jakiś sposób swoim przełożonym. Och, Fiodor, dlaczego nie trzymałeś buzi na kłódkę?

Ku jej zaskoczeniu roześmiał się. - Nie chodzi o moich przełożonych, lecz o moich fagasów, a zwłaszcza jednego. - Jego oczy przybrały taki sam wyraz jak wtedy, gdy myślał o Tomarowie. - Nie należy lekceważyć starego psa; chociaż ma tylko jeden ząb, może jeszcze ugryźć. To dobre powiedzonko, jak wszystkie rosyjskie przysłowia.

- Jeśli nie przestaniesz zamieniać tego wszystkiego w żart i cytować przysłowia, zacznę krzyczeć - wtrąciła Judith gwałtownie. - Znalazłeś się w strasliwym niebezpieczeństwie. Jeśli polecisz do Rosji, zostaniesz aresztowany. A co stanie się z tobą, jeśli nie pojedziesz? Mogą wsadzić cię przemocą do samolotu, prawda?

- Nie bez specjalnego zezwolenia. Ale otrzymają je, gdy tylko zaczną podejrzewać, iż wiem, co się szykuje i wymyślą preteksty, by nie wrócić. Wiesz co, jesteś moją szansą. Z twojego powodu mogę odwołać jutrzejszą podróż przesuważając ją na inny termin. Mogę im powiedzieć, że udało mi się ciebie zwerbować, a ty masz dla mnie niezwykle ważne informacje.

Planujesz włamanie do sejfu

Nielsona i przekazanie mi całej korespondencji.

- Nie rozumiem, jak możesz się śmiać. - Tak bardzo bała się o niego, że jego żarty działały jej na nerwy.

- To lepsze niż płacz - odparł. - Pomaga mi myśleć.

Musisz być głodna; zamówmy coś do jedzenia. I do picia - dodał, zupełnie jakby była to najważniejsza rzecz tego wieczoru. - Moja szklanka jest pusta.

- Nie mogłabym niczego przełknąć - powiedziała. - A ty nie powinienesz pić, potrzebna ci jasność myśli, a nie odurzenie alkoholem.

- Duszeńko, nie bądź taka smutna. Mówiłem ci, najważniejsze jest przeżycie.

Nie dostaną mnie! Obiecuję ci to.

- Ale nie możesz po raz drugi przesunąć terminu lotu - zwróciła mu uwagę - co wtedy im powiesz?

- To zależy od tego, co postanowię.

Judith próbowała coś zjeść, ale nie udało się jej. Siedziała pałac i popijając wino, nie starając się przerwać ciszy.

Rozwód był jedynie pretekstem, co musi oznaczać, że jego własna żona dała się przekonać, iż należy zwrócić się przeciw niemu. Wspominał też coś o jakimś starym przyjacielu.

Obserwując go zdała sobie sprawę, że jego nastrój nie jest zbyt wesoły, a fasada cynizmu ma jedynie ukryć prawdziwe uczucia.

Zrozumiała, jak słabo go zna; jak płytko zagłębiła się w jego prawdziwy charakter. Znała wprawdzie drugą, mniej pociągającą stronę jego osobowości; ujawnił ją przez chwilę w restauracji, kiedy dosiadł się do nich Niemenow, speszony i pełen szacunku.

Zauważyła też drugą stronę jego charakteru przez kilka chwil po przekazaniu wiadomości. Jeśli się bał, to umiał to świetnie ukryć, ale nie potrafił poradzić sobie w podobny sposób z gniewem. Znowu nazwał ją duszeńką. Kochanie. O Boże, powiedziała do siebie, w co też ty się pakujesz... Przecież on nic dla ciebie nie znaczy, poza tym, że udało mu się zatrzeć w tobie wspomnienie o Richardzie.

Omam nie zachłysnęła się ze zdumienia. Swierdłow nie tyle zatarł w niej wspomnienie o Patersonie, co całkowicie wygnał go z jej pamięci. Od tygodni nie pomyślała o nim ani razu. Nie myślała o nikim poza Fiodorem i dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Kiedy naigrawał się z własnego niebezpieczeństwa, miała ochotę uderzyć go w twarz, by spojrział na to poważnie. A przecież wiedziała o nim tyle co nic; pojawił się w jej życiu niczym obcy stwór z Marsa.

Przysunął swe krzesło bliżej niej; ich kolana się dotykały.

- Czy mogę dziś pójść do ciebie?

- Jest tam moja przyjaciółka.

- Wykorzystywała Nancy już tyle razy jako pretekst, by nie wpuścić do środka Swierdłowa, że powiedział jej kiedyś, iż nie wierzy w istnienie tej mitycznej sublokatorki. Ale tego wieczoru Nancy naprawdę była w domu, a nie mogła ryzykować wprowadzenia go bez jej wiedzy. Ani przez chwilę nie przyszło Judith do głowy, że za jego propozycją krył się ten sam motyw, co zwykle. Nawet w różowym świetle trattorii, którego przeznaczeniem było podnosić urok kobiet, jego twarz miała szary odcień.

- Muszę to przemyśleć - powiedział. - Nie mogę zdecydować, co robić, w ciągu kilku minut.

- Pójdę zadzwonić do domu.

Czasami ona spędza noc u kogoś albo wraca bardzo późno.

Obserwował ją, jak odchodzi od stolika; kilku mężczyzn podniosło wzrok, by na nią spojrzeć, gdy przechodziła obok.

Była atrakcyjną kobietą; chwilami wyglądała pięknie, tak jak pierwszego razu, gdy zobaczył ją wyraźnie obok oświetlonego basenu na Barbados - wycierała się wtedy ręcznikiem.

Zapalił papierosa. Jego żona wystąpiła o rozwód; czy była to jej niezależna inicjatywa, czy też zgodziła się zostać przynętą, która ma go zwabić w pułapkę? Mógł jeszcze zrozumieć Tomarowa, ponieważ należał do ludzi niezdolnych do przemian, nie potrafiących zdobyć się na prawdziwe związki uczuciowe z innymi, niezależnie od ich postaw politycznych. Ale przecież kochał Elenę, godzinami trzymał ją w ramionach, chciał mieć z nią dzieci... Czy to się nie liczyło? Czy była pozbawiona uczuć i ludzkich słabości, skoro potrafiła wyrazić zgodę na oddanie męża w ręce jego wrogów?

Czy będzie siedzieć na sali sądowej tak jak on podczas procesu Pienkowskiego, by wysłuchać wyroku śmierci?

I nagle ujrzał to we właściwym świetle. Jego żona nie była zdrajczynią ani kobietą zdolną do okrucieństwa. Jednak służąc swoim ideałom nie potrafiła zdobyć się na współczucie dla siebie samej ani dla nikogo innego; rozwiedzie się z nim, ponieważ uważa go za zdrajcę.

Sugestia, że winien jest zbrodni wystarczyła, by przekreślić dziesięć lat ich małżeństwa i uczynić ze związku z nim coś nieczystego, coś, co należy odrąbać jak zgangrenowaną kończynę zdolną do zakażenia i zniszczenia reszty ciała.

- Przykro mi, ale jest dzisiaj w domu. Nic na to nie mogę poradzić.

Spojrzał prosto w zmartwioną twarz Judith i uśmiechnął się.

- Nic nie szkodzi - powiedział. - Możemy tu jeszcze posiedzieć. I obiecuję nie pić dużo whisky.

- Chciałabym móc doradzić ci coś sensownego. To wszystko wygląda jak jakiś koszmar. Czy nie ma nikogo, do kogo mógłbyś się zwrócić o pomoc; na przykład do ambasadora? On by ci nie pomógł?

- Nie - potrząsnął głową.

Ambasador nic nie wie o całej sprawie i nie chciałby wiedzieć.

Decyzja o aresztowaniu kogoś takiego jak Swierdłow leży poza jego kompetencją. Gdy się jest na szczycie hierarchii, nie ma do kogo zwrócić się o ochronę przed atakiem przypuszczonym z dołu. Pomyślał o Paniuszkinie, surowym, pełnym rezerwy szefie Kgb; znał go osobiście i otrzymał od niego w swoim czasie sygnały życzliwości, jak zaproszenie na weekend w willi nad Morzem Czarnym. Pojechał tam razem z Eleną. Atmosfera była sztywna i formalna, jakby mieli do czynienia z parą królewską.

Zwrócenie się bezpośrednio do

Paniuszkinie nic nie da. Nie ulega wątpliwości, że musiał wyrazić zgodę na przesłuchanie Kalinina, a zgoda ta oznaczała poświęcenie Swierdłowa, ponieważ wiedział, że wyniki śledztwa nie mogą być negatywne. Tak jak powiedział Judith pod wpływem szoku, zaczęły się czystki. Bez wątplenia Paniuszkin pamiętał budzącego największą grozę i cieszącego się

najgorszą sławą szefa tego urzędu, Berię, który nie zdołał na czas wyczuć zmiany polityki i został rozstrzelany przez pluton egzekucyjny z rozkazu Chruszczowa i frakcji umiarkowanych działaczy.

Paniuszkin rozkazałby mu wrócić do domu, zapewniłby go, że nie ma się czego obawiać, po czym siedząc za lustrzanymi drzwiami na Łubiance przyglądałby się, jak Swierdłowa poddaje się obróbce.

- Fiodor, co masz zamiar zrobić? Czy nie mógłbyś po prostu zniknąć? Wiem, że proponowałam ci to już przedtem, ale wtedy sytuacja nie była taka poważna - mógłbyś wyjść stąd i rozpląnąć się w tłumie. Mogłabym ci dać trochę pieniędzy...

- Dziękuję, ale to niemożliwe.

Wierz mi, to niewykonalne. Mam dwa wyjścia i niewiele czasu na wybór jednego z nich. Mogę jechać do domu i podjąć się swojej obrony, co niczego nie zmieni i zostanę rozstrzelany, albo mogę zrobić to, co inni przede mną i poprosić o azyl polityczny.

Judith nic nie powiedziała.

Było to jedyne rozsądne rozwiązanie, ale wołała, by doszedł do niego bez żadnych sugestii z jej strony.

- Gdybym miał jakiegokolwiek szanse, pojechałbym do domu. Ale równie dobrze mogę wrócić do ambasady i palnąć sobie w łeb.

To byłoby najprostsze wyjście.

- Proszę cię - powiedziała spokojnym tonem. - Proszę, nie mów takich rzeczy, bo robi mi się niedobrze.

- Zawsze przychodzi ta chwila, kiedy człowiek myśli o śmierci jako o czymś łatwiejszym od życia. - Pochylił się ku niej, ujął jej rękę i pocałował. Była lodowato zimna. - Ale ja w to nie wierzę, chociaż to rozwiązanie jest typowe dla naszego stulecia, czy zauważyłaś? Mamy tylko jedną dobrą odpowiedź na wszystkie problemy świata: śmierć. Rodzi się zbyt wiele dzieci - konieczna jest aborcja. Zbyt wielu ludzi żyje za długo, stając się ciężarem dla państwa i swych rodzin - trzeba wprowadzić eutanazję. Skoro istnieją przeciwnicy polityczni, trzeba ich zlikwidować. Kiedyś sprawy te regulowała wojna, ale teraz coraz powszechniejsze staje się bardziej "cywilizowane" rozwiązanie. I zawsze pada stwierdzenie, że to z korzyścią dla ludzi, którzy mają umrzeć. Lepiej dla nieślubnych maluchów; dla dzieci, które będą wzrastać w biedzie; lepiej dla chorych i starych, którzy nie będą musieli cierpieć. Lepiej dla tych zablakanych, którzy nie chcą przyjąć twego punktu widzenia, ponieważ nie wolno dopuścić, by rozpowszechniali niewłaściwe poglądy wśród innych ludzi.

Byłoby lepiej dla mnie, gdybym zrobił to, o czym mówię: poszedł i po cichu się zastrzelił, by im ułatwić zadanie. Postąpiłbym jak oficer i prawdziwy dżentelmen.

Ale ja nie jestem jednym z nich, więc nie musisz patrzeć tak na mnie. Nie mam zamiaru zastrzelić się sam albo pozwolić zrobić to innym z przyczyn, których nie aprobuję. Będę potrzebował twojej pomocy. Czy zrobisz to, o co cię poproszę?

Odwróciła wzrok. - Dobrze wiesz, że tak. Zrobię wszystko, co będę mogła. - Restauracja była prawie wyludniona; duża grupa Włochów, którzy świętowali czyjeś urodziny, zbierała się do płacenia rachunku wciąż jeszcze od czasu do czasu wybuchając śmiechem i śpiewając piosenki, żartując z właścicielem, który najwidoczniej dobrze ich znał.

Swierdłow ponownie pocałował ją w rękę.

- Wezmą nas za kochanków - powiedział. - Nikomu nie będzie przeszkadzało, jeśli zostaniemy trochę dłużej. Włosi są tacy sentymentalni. Możesz gdzieś zadzwonić?

- Tak. Ale jest już późno, dochodzi północ. Do kogo mam zadzwonić?

- Do twego przyjaciela z ambasady - pana Lodera. Powiedz mu, że chcę się z nim spotkać.

- Ale jest tak późno. Tam nikogo nie będzie.

- Odszukają go - przerwał jej.

- Proszę, idź zatelefonować.

To jego jedyna szansa bezpiecznego skontaktowania się z wywiadem brytyjskim; nikt nie zdoła namierzyć telefonów Judith, a nawet jeśli z polecenia Golicyna ktoś przyszedł za nim do trattorii, to przecież spotyka się jedynie z kobietą, którą zamierza zwerbować do pracy dla nich - zapewne udaje się ona teraz do toalety, a nie do budki telefonicznej mieszczącej się na tyłach sali, w pobliżu kuchni.

Strzelił palcami i pojawił się sam właściciel. Miał zaczerwienioną twarz i był bardzo wylewny. Jego goście zaprosili go do uczestnictwa w świętowaniu, toteż miał teraz znakomity humor.

- Signore, gdzie podziła się pańska piękna towarzyszką?

- Pudruje sobie nos - odrzekł

Swierdłow. - Czy można prosić o kawę i coś do picia? Nie jest jeszcze zbyt późno...

- Ależ skąd. Może pan zamówić, na co tylko ma pan ochotę.

Jeszcze nie zamykamy. - Pochylił się w stronę Rosjanina cały w uśmiechach, a jego czarne oczy błyszczały nienaturalnie od zbyt dużej ilości wina. - Przyniosę koktajl Strega dla pani. Jak pan wie, posiada on pewne właściwości... - Oddalił się wykrzykując coś po włosku. Mówił z wyraźnym akcentem i nie używał amerykańizmów; był w kraju zaledwie od pięciu lat, ale jego trattoria była już dobrze znana i przynosiła spore dochody.

Swierdłow podniósł się, gdy wróciła Judith.

- Nie ma go w ambasadzie. Nie wiedzą, kiedy wróci. - Spojrzała na niego. - Zrobiłam, co mogłam.

Powiedziałam, że chodzi o bardzo ważną sprawę. Powiedzieli mi jedynie, że jego żona zachorowała i musiał jechać do domu. Zapytałam o tego drugiego, jego asystenta, ale też go nie było. O Boże, Fiodor, co my zrobimy?

- Skup się. Nie wiedzą, kiedy

Loder wróci? Ani gdzie jest jego asystent?

- Nie. Mój rozmówca był bardzo ostrożny. Powiedział, że Macleod wyjechał z Waszyngtonu i to wszystko, co mógł mi powiedzieć.

- Wypij ten koktajl. To afrodyzjak. Pozwolisz mi dzisiaj pokochać się ze sobą, a potem coś wymyślimy.

- Przestań żartować. To straszne - nie wiem, do kogo się teraz zwrócić. Fiodor, a może Amerykanie pomogą? Znasz tam kogoś?

- Znam kilku ludzi - z widzenia i z nazwiska - posłał jej swój krzywy uśmiech. - Ale nie oddam się w ręce Cia.

Poddam się Brytyjczykom, ale nie

Amerykanom. Twoi pobratymcy są bardziej neutralni; Amerykanie są najgorszymi wrogami mojej ojczyzny i nie udzielę im żadnych informacji, które mogliby przeciwko nam wykorzystać. Albo Loder, albo nikt.

- Nie możemy tu siedzieć bez końca. Wszyscy już sobie poszli - my też musimy to zrobić. Och, dlaczego Nancy nie mogła wyjść gdzieś dzisiaj z jednym z tych swoich cholernych narzeczonych, zamiast siedzieć w domu!

- A co ona robiła, gdy spotykałaś się z Richardem? - zapytał. - Szła do hotelu?

- Zawsze uprzedzałam o jego wizycie; poza tym on często wpadał po południu, a ona pracuje do siódmej.

- Judith? - Przyglądał się jej intensywnie, z dziwnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz...? Och, nie, tylko nie on!

Wzruszył lekko ramionami. - W porządku. Rozumiem, że byłoby ci trudno...

- Nie mogę do niego zadzwonić - powiedziała zmartwiona. - Proszę, czy nie ma nikogo innego?

- Pewnie jest. Coś wymyślimy.

- Poprosił o rachunek; siedzieli w milczeniu, gdy go przyniesiono i Swierdłow zapłacił. Na ulicy ujął ją pod rękę. - Odwiozę cię do domu, a potem wrócę do naszej ambasady. Nie martw się. - Scisnął jej ramię. - Do jutra rana wymyślę inny sposób. Może spróbujemy ponownie złapać asystenta Lodera.

- Och, nie bądź idiotą -

Judith wybuchnęła płaczem. -

Skontaktuję się z Richardem wcześniej rano.

Rachel Paterson cierpiała z powodu niestrawności. Nie chodziło o zwykłą dolegliwość wynikającą ze zjedzenia ciężko strawnych potraw; był to rezultat powiększenia się macicy, w której nerwowo poruszał się płód, naciskając na żołądek. W związku z tym kwas cofał się do gardła i każdemu posiłkowi towarzyszył ból.

Najgorsze były noce; nie mogła sypiać, a Richard po prostu przeniósł się do pokoju gościnnego, reagując na jej protesty stwierdzeniem, że nie jest w stanie porządnie pracować po czterech lub pięciu godzinach przerywanego snu. Starła się wstawać z łóżka jak najciszej, ale zawsze czyniła wiele hałasu.

Sprężyny skrzypiały, niechcący ściągała prześcieradło, w które zawinął się mąż, i wtedy podrywał się, rozbudzony i wściekły. Została sama w sypialni, próbując spać w miarę możliwości, zażywając w nocy lekarstwa; pocieszała się kładąc sobie rękę na brzuchu i czując ruchy małej istotki. Nad świtem tego sobotniego ranka zasnęła głęboko. Lubiła weekendy; rano Richard grywał zwykle w golfa, co pozwalało jej wylegiwać się do woli, a potem szli do kina albo zapraszali znajomych na kolację i partyjkę brydża, której to grze oddawała się, by sprawić mu przyjemność. Jak na osobę, która uważała się za niezbyt rozgarniętą, wykazywała się zadziwiającym talentem. W gruncie rzeczy grała tak dobrze, że Richard nie wiedział, czy cieszyć się, czy wściekać z tego powodu. Wyjąwszy odmowę sypiania z nią, okazywał jej wszelkie należne względy; był miły i czuły w ściśle określonych granicach, w których nie mieściła się rezygnacja z czegoś, co lubił, lub odmowa udziału w szampańskiej zabawie, nawet jeśli ona czuła się zbyt zmęczona, by z nim tam iść.

Rachel nigdy nie była bardziej szczęśliwa; lekarz ambasady twierdził, że jest w świetnej kondycji, a jej matka zamierzała przyjechać do niej, gdy urodzi się dziecko. Personel ambasady wraz z rodzinami traktował ją bardzo serdecznie, a pani Stephenson, którą Rachel szczerze podziwiała, okazywała jej wiele sympatii. Obudziła się nagle o ósmej, gdyż odurzona snem usłyszała dzwonek, który coraz gwałtowniej wdzierał się w jej świadomość, aż w ciemności pokoju zdała sobie sprawę, że te dźwięki należą do rzeczywistości. Dzwonił telefon koło łóżka.

Usiłowała odnaleźć po omacku włącznik światła, a natrafiła ręką na słuchawkę.

- Halo. Czy to Waszyngton

27_56_80?

- Tak - potwierdziła Rachel zaspanym głosem.

- Czy mogłabym rozmawiać z pułkownikiem Patersonem? - zapytała jakaś kobieta po drugiej stronie, a Rachel nic nie odpowiedziała słysząc odgłos podnoszonej słuchawki i głos jej męża: - Halo?

- Richard? To ja - Judy. -

Rachel przycisnęła mocniej słuchawkę do ucha; słyszała wszystko bardzo wyraźnie. Jakaś Judy. O ósmej rano!

Miała zamiar odłożyć słuchawkę; tak przynajmniej wmawiała sobie później. Chciała to zrobić i spać dalej, kiedy kobieta powtórzyła imię jej męża prosto do jej ucha. - Richard, muszę się z tobą zobaczyć.

Jej mąż próbował odmówić;

Rachel nie może temu zaprzeczyć.

Był szorstki i zły. W pewnej chwili powiedział owej nieznajomej, że wszystko między nimi skończone i nie ma zamiaru się z nią spotykać. Rachel słuchała usilnych próśb z drugiej strony, a w końcu - to nie do wiary - groźby, że jeżeli się z nią nie spotka, to przyjedzie do niego do Waszyngtonu. Wtedy dopiero gwałtownym ruchem odłożyła słuchawkę na widełki, nie zważając, czy jej mąż słyszy to, czy nie. Po pięciu minutach przyszedł do pokoju, wciąż pogrążonego w ciemnościach, i usłyszał łkanie.

Był podwójnie wstrząśnięty - telefonem od Judith i faktem, że jego żona podsłuchiwała rozmowę.

To, co powiedziała mu Judith, brzmiało tak nieprawdopodobnie, że nie mógł uwierzyć, iż nie jest to jakiś chwyt, by zwabić go w pułapkę. Pamiętał ostrzeżenie Stephensona, by zerwać z nią wszelkie kontakty oraz fakt, że została uznana za osobę niepewną. Na koniec, kiedy wciąż powątpiewał w prawdziwość jej słów i nie zgodził się na wyjazd do Nowego Jorku, Judith postawiła mu ultimatum: albo zjawi się w jej mieszkaniu przed szesnastą, albo ona przyleci do Waszyngtonu i odwiedzi go w domu. Nie spodziewał się po niej czegoś podobnego. Tak bardzo nie pasowało to do jej charakteru, że w końcu uwierzył, iż chodzi o sprawę życia lub śmierci nie mającą nic wspólnego z ich znajomością.

Ale przed podjęciem ostatecznej decyzji musiał rozmówić się z żoną. Początkowo miał zamiar zrobić awanturę i powiedzieć jej, by nie zachowywała się jak ostatnia kretynka. Opanował się jednak; skoro postanowił nie rozbijać tego małżeństwa; kurs postępowania został ustalony, dziecko było w drodze, a poza tym żona Stephensona uczyniła z Rachel swoją protegowaną. Gdyby naraził się czymś tej cholernej babie, postarałaby się o to, by odbiło się to na jego karierze.

Znał ten typ ludzi, cholernie zawziętych jak na jego gust.

Chwilami Stephenson musi mieć wrażenie, że ma do czynienia z walcem parowym.

- Kochanie, mylisz się co do tej rozmowy. Na Boga, posłuchaj mnie uważnie. Wyjaśnię ci, o co chodziło, tylko przestań beczeć!

- Wszystko słyszałam - Rachel nie przestała zanosić się płaczem. - Słyszałam, jak błaga cię o spotkanie zapowiadając, że tu przyjedzie, jeśli ty u niej się nie zjawisz. To była twoja kochanka, jestem tego pewna!

Wyjeżdżam do domu - wcale nie chciałeś, bym tu przyjechała!

Wdałeś się w romans z tą kobietą, dlatego nie byłam ci potrzebna! Pierwszym porannym samolotem odlatuję jutro do Anglii...

Przez chwilę dał się ponieść nerwom i o mały włos nie przypomniał jej, że może przecież złapać samolot do Londynu jeszcze tego popołudnia.

Rok temu powiedziałyby to, ale nie teraz. Stosunki między nimi zmieniły się jednak. Jeśli chce, by jego kariera nie ucierpiała, musi pozostać niewolnikiem tej głupiutkiej kobietki przynajmniej do czasu opuszczenia Waszyngtonu.

- Spotykałem się z nią czasami na kolacji - przyznał. - Czułem się tu cholernie samotny, a ona jest Angielką. Jezus, Rachel, nie przespałem się z nią - nic na to nie poradzę, jeśli ona trochę się we mnie zadurzyła, wiesz, jak to jest z tymi dziewczętami z dala od domu - jedyne, czego pragną, to ucześcić się jakiegoś faceta! Gdy tylko zauważyłem, że ona traktuje to poważnie, z miejsca ją rzuciłem.

Tu chodzi o sprawy dyplomatyczne, dlatego zadzwoniła. Kochanie, wysłuchaj mnie. Dlaczego nie poczekałaś do końca rozmowy, wtedy wiedziałabyś, że mówię prawdę.

- Ona chce, byś poleciał do

Nowego Jorku. Groziła ci - tyle słyszałam.

- Wpakowała się w jakąś aferę - powiedział Richard starając się okazać jej cierpliwość, starannie dobierając słowa.

Przez chwilę nawet zrobiło mu się żal żony, gdy zobaczył jej wilgotną, wykrzywioną od płaczu twarz. Coś takiego z pewnością nie służy kobiecie ciężarnej.

- Chodzi o jakiegoś Rosjanina z tutejszej ambasady; ona twierdzi, że on pragnie poprosić o azyl polityczny i chce spotkać się z kimś z naszej ambasady.

Czy rozumiesz teraz, kochanie, dlaczego ona do mnie zadzwoniła?

Gdybyś nie odłożyła słuchawki...

Rachel położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy. Ta sprzeczka strasznie ją wyczerpała. To, co mówił, wydawało się jej bez sensu, zwłaszcza w porównaniu z tym, co sama usłyszała. Richard objął ją, a ona poddała się tymczasowo, ponieważ inne wyjście byłoby niezwykle bolesne i zniszczyłoby jej kruche szczęście. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

- Nie przespałeś się z nią?

Przysięgnij, Richard.

- Przysięgam. Kilka razy byłem z nią na kolacji. Nawet nie pocałowałem jej nigdy na do widzenia. A teraz posłuchaj, kochanie, weźmiesz proszek nasenny i dobrze dzisiaj wypoczniesz. Nie wolno ci się denerwować, bo to może zaszkodzić dziecku. A ja polecę po południu do Nowego Jorku dowiedzieć się, o co chodzi. - Zamyślił się na chwilę, prawie zapominając o Rachel. Na jego czole pojawiły się dwie długie zmarszczki. - Jeśli to rzeczywiście ktoś, kto chce przejść na naszą stronę, moja odmowa zajęcia się tą sprawą może mieć poważne konsekwencje.

Z drugiej strony, jeśli mu pomogę...

Poklepał żonę po ramieniu i pocałował w policzek. Myślni był już daleko, rozważał różne możliwości. Rosjanin z waszyngtońskiej ambasady Zsrr. Kto to, do diabła, mógł być?... Powinien natychmiast skontaktować się z Loderem, ale postanowił tego nie robić. Nie miał zamiaru, by zasługi przypadły w udziale wydziałowi "C", kiedy mógł je przypisać sobie. Lodera wprowadzi w sprawę później, gdy w oficjalnym sprawozdaniu odpowiednio uwypuklona zostanie jego rola.

Jeśli to poważna propozycja, mógłby poprosić ambasadora o rozmowę dziś wieczorem.

Przyniósł żonie proszek nasenny oraz szklankę wody i dopilnował, by połknęła. To ją uspokoi na pewien czas.

Rozdział siódmy

Nie znalazł zapalniczki w szufladzie biurka. Wyjął z niej wszystko i przeszukał dokładnie; podobnie postąpił z pozostałymi szufladami. Zajrzał pod krzesło, a nawet przesunął półkę z książkami. Sprawdził każdy kąt gabinetu, a potem zaczął szukać w sypialni. Nigdzie nie było.

Przez dziesięć minut przeszukiwał kieszenie garniturów, a nawet szlafroka, chociaż wiedział, że to strata czasu. Potem zadzwonił na sprzątaczkę, która oświadczyła, że nie widziała takiej zapalniczki. Wiedział, że mówi prawdę, ponieważ nie zostawiał jej nigdy na wierzchu; zawsze wkładał ją w etui od Tiffany'ego i chował głęboko w szufladzie.

Kiedy ją otrzymał, zamykał szufladę na klucz, ale po trzech latach zrobił się mniej ostrożny i zrezygnował z tego. Stał na środku pokoju, próbując przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz jej używał. Pamiętał dokładnie, że schował ją wtedy na miejsce. Rozejrzał się jeszcze raz po pokoju, jakby mogła nagle pojawić się na środku podłogi. Ktoś zabrał mu zapalniczkę z biurka. Jeśli ją skradziono... Dotknął czoła i zauważył, że czubki palców ma mokre od potu. Skrzywił się z obrzydzeniem i wytarł twarz oraz ręce chusteczką. Nikt nie wchodził nigdy do jego gabinetu poza sprzątaczką i - rzecz jasna - żoną. Sprzątaczką z pewnością jej nie wzięła; był przekonany, że mówi prawdę.

Tak więc pozostawała żona.

Zapalniczka była mu dzisiaj potrzebna. Nawet gdyby tak nie było, nie pozostawiłby tej zagadki bez wyjaśnienia.

Ogarnęła go chwilowa panika, lecz szybko się uspokoił. Był człowiekiem wrażliwym, ale doświadczenia dzieciństwa nauczyły go pogardzać strachem i przezwyciężać to uczucie.

Poszedł na górę do sypialni żony i zapukał.

Stała ubrana przed toaletką naciągając rękawiczkę. Mając zmysły wyostrzone niespodziewanym zmartwieniem zauważył, że ma na sobie płaszcz w niezwykłym odcieniu fioleto i kapelusz z szerokim rondem przypominający sombrero.

- Margaret - zaczął. -

Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale zginęła mi zapalniczka - nie widziałaś jej przypadkiem?

Kiedy spojrzała na niego, na jej obliczu malował się wyraz, którego nigdy u niej nie widział. Znał wszystkie odmiany uczuć, jakie wyrażała jej twarz.

Najczęściej była to pogarda i nienawiść, a niekiedy wykrzywiała ją wściekłość, czyniąc z ładnej kobiety brzydką. Nie odpowiedziała na jego pytanie; wciąż wpatrywała się w niego tym dziwnym wzrokiem. Wyglądała, jakby zbierała siły przed jakimś strasznym wysiłkiem fizycznym.

Jej milczenie zmusiło go do powtórzenia pytania.

- Zgubiłem zapalniczkę. Nie znalazłaś jej gdzieś?

Otworzyła torebkę; wyciągnęła dłoń zaciśniętą w pięść i otworzyła ją.

- To znalazłam - powiedziała.

- Wygląda jak zapalniczka, prawda? Nawet dałam się nabrać.

Używałam, dopóki nie spróbowałam napełnić jej benzyną i nie nacisnęłam niewłaściwego przycisku.

Patrząc na zapalniczkę leżącą na jej dłoni wiedział, co się stało. Błaszka zakrywająca mały obiektyw była podniesiona; wyglądała, jakby zacięła się pod pewnym kątem.

- Z początku nie zdawałam sobie sprawy, co to jest.

Próbowałam to odkręcić. Pewnie coś zepsułam, tak więc nie będziesz mógł tym fotografować.

- Nie - przyznał. Gdyby ich związek wyglądał inaczej, zdobyłby się na jakiś bluff.

Można było wytłumaczyć posiadanie miniaturowego aparatu; inna kobieta zaakceptowałaby całą gamę kłamstw nie domyślając się prawdy. Ale dwadzieścia lat życia w defensywie zniszczyło w nim zdolność przekonującego kłamania. Ona zawsze była stroną dominującą; uzbrojona w śmiercionośną broń, jaką była wiedza o jego skłonnościach, do których sam przyznał się przed nią, potrafiła zawsze zniszczyć go jednym słowem lub spojrzeniem. Cokolwiek powie, ona od razu pozna się na kłamstwie; miała ten dar rozbijania przeciwnika, wyrywania mu prawdy z gardła.

Mógł udzielić zadowolającej odpowiedzi, gdyby miał do czynienia z kimś innym; odwaga i inteligencja podpowiedziałyby mu prawdopodobne wyjaśnienie. Ale z Margaret nawet nie próbował.

Jego rola polegała na tym, by dać się przez nią złapać i być pogardzanym.

- Powinienem był zamykać na klucz tę cholerną szufladę - powiedział. - Nie myślałem nigdy, że będziesz myszkować w moim gabinecie. To moja wina.

Margaret była przez cały czas opanowana. Ścisnęła zapalniczkę tak mocno, że krawędzie wrzynały się w skórę, w jej głosie pobrzmiwał jak zwykle triumfalny, pogardliwy ton, gdy zadała pytanie, które musiało paść.

- Co ty robisz z tą zabawką?

Co fotografujesz po kryjomu? W jakie gówno wplątałeś się tym razem?

Nie zauważył, w jakim kierunku zmierza jej tok rozumowania; za bardzo czuł się winny, by zrozumieć, że jego żona ma na myśli raczej seksualne, a nie polityczne, zboczenie.

- To nie żadne gówno, chociaż nie sędzę, byś mnie rozumiała.

Ty nigdy nie miałaś w życiu żadnych ideałów.

- Ideałów? - Z jej twarzy szybko odpływała krew; na tle ostrego fioletu płaszcz wyglądał upiornie blade.

- Ideałów - powtórzył. -

Abstrakcyjnych idei służących poprawieniu ludzkiego losu. Od dawna wierzę w pewien ideał.

Możesz nazwać to gównem, zdradą, czym tylko zechcesz, ale nie zgodzę się z tobą. Uważam, że to, co robię, jest słuszne.

Stała przez cały czas tej wymiany zdań, ale nagle poczuła, że uginają się pod nią nogi.

Opadła na taboret i uchwyciła się krawędzi toaletki; buteleczki ustawione na szklanym blacie równo, niczym żołnierze, zagrzechotały raptownie.

- Powiedziałeś "zdrada"? Jezus

Maria! A więc tym się zajmujesz! - usta miała na wpół otwarte, a w oczach takie przerażenie, że Fergus był wstrząśnięty.

- Kto cię opląca?

Potrząsnął przecząco głową. -

Nikt mi nie płaci, Margaret. -

Wydawała się nie słyszeć.

- Rosjanie... to oni? Pewnie dlatego, że jesteś ciotą - tym trzymają cię w szachu!

- Nie. Wciąż nie rozumiesz; tu nie chodzi o szantaż. Nic nie robię pod przymusem. Pracuję dla nich, ponieważ chcę tego.

Wierzyłem w to od czasu studiów w Cambridge.

- W co wierzyłeś? - wyrzuciła z siebie ze złością; powoli odzyskiwała równowagę, a zaskoczenie ustępowało miejsca nienawiści tak intensywnej, że miał ochotę odskoczyć od niej w obawie, iż rzuci się na niego ze swymi długimi paznokciami i białymi zębami.

- W komunizm - oświadczył jej.

- Stałem się komunistą, jeszcze zanim cię spotkałem. - Wykonał żalony gest. - Przepraszam cię.

To kolejny szok dla ciebie.

Chciałbym tylko, byś zrozumiała moje pobudki. Szkoda, że od dawna nie możemy rozmawiać ze sobą o sprawach istotnych.

Odwrócił się do niej plecami; zrobiło mu się słabo i niedobrze. Pomimo prześladowań z jej strony nie lubił sprawiać żonie bólu. Ku jego zdumieniu Margaret wybuchnęła płaczem. Od lat nie widział jej łez. Ten widok wywołał w nim strach, poczuł się niepewnie. Podszedł z chusteczką w rękę. Uderzyła go, wytrącając mu ją.

- Nie waż się do mnie zbliżać, ty podły zdrajco! Jesteś zdrajcą! Spokojnie oświadczasz, że jesteś komunistą i śmiesz prosić mnie o zrozumienie?

- Nie krzycz. Ktoś może cię usłyszeć.

- Tak - rzuciła wściekle. -

Ktoś może usłyszeć! Masz, weź to obrzydlistwo! - Rzuciła w niego małą złotą zapalniczką, ale nie trafiła i ta uderzyła w ścianę.

Odwróciła się do toaletki i zaczęła poprawiać makijaż, z hukiem otwierając i zatraskując szuflady; wtarła puder w swe wilgotne policzki, po czym podniosła się. - Wynoś się z mojego pokoju. Jestem umówiona z państwem March i już jestem spóźniona. Zejdź mi z oczu.

Podniósł kunsztownie wykonaną zapalniczkę. Nie pękła w wyniku uderzenia o ścianę; rzeczywiście była ze złota, ale znak Tiffany'ego został sfalszowany.

To był jego pomysł, a przełożeni tylko zaaprobowali jego smak.

Włożył ją do kieszeni i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi. O ile mógł, starał się nie robić hałasu. Jego babcia, groźna postać pamiętająca króla Edwarda VII, uczyniła kiedyś w jego obecności uwagę pod adresem pewnego dorosłego mężczyzny:

"Dżentelmen nie trzaska drzwiami". Było to równoznaczne z zakazem wstępu dla tego pana.

Fergus nigdy tego nie zapomniał.

Wrócił do gabinetu i usiadł za biurkiem. Bardzo dobrze pamiętał swoje dzieciństwo. Matka i ojciec jawili mu się jako postacie niezbyt wyraźne, spotykane o określonej porze między piątą a piątą trzydzieści po południu; wydawali mu się niezwykle wysocy, a ich próby nawiązania z nim kontaktu poza pokojem dzieciennym zawstydzaly go. Swoją niańkę pamiętał jako olbrzymkę: była zastępczą matką, której powierzyli go rodzice. W przeciwieństwie do niań_potworów znanych z wielu popularnych biografii, gdzie wszystkie późniejsze niepowodzenia dzieci kładziono na karb nieludzkiego traktowania przez opiekunki, niania Fergusa nie mogła być pretekstem wyjaśniającym kierunek, w jakim poszło jego dorosłe życie. Otoczony był troską i miłością zależną od dobrego sprawowania się i nie przeżył żadnych traumatycznych wstrząsów. Kiedy był już prawie dorosły i odkrył swą prawdziwą naturę, usiłował przeanalizować motywy, które pchały go w objęcia "wiary" całkowicie przeciwnej wszystkim wartościom, jakie powinien prezentować.

Klucza do odpowiedzi na to pytanie nie stanowił jego autentyczny humanizm ani ateizm, na który zdecydował się jeszcze w szkole. Ze swoim temperamentem mógł równie dobrze trafić w objęcia Kościoła, gdzie zapewne zrobiłby błyskotliwą karierę, podobną do swych osiągnięć w służbie Msz. Ale mdłe chrześcijaństwo w wydaniu Kościoła Anglikańskiego lat trzydziestych nie potrafiło zaoferować niczego na tyle pozytywnego, by go przyciągnąć.

Gdyby obracał się w innym środowisku i nadarzyła się taka sposobność, dałby się pewnie nawrócić na rzymski katolicyzm, trafiając do tego bastionu dogmatyzmu i władzy. Ale wpojono mu w domu przekonanie, że katolicy zaliczają się do tej samej, gorszej, kategorii ludzi, co członkowie sekt stojących poza Kościołem Anglikańskim i ich miejsce jest w służbówce.

Fergus uważał się za człowieka słabego, co nie było tak zupełnie zgodne z prawdą.

Potrzebował po prostu czegoś, co zaspokajałoby zarówno jego intelekt, jak i emocje; system przywilejów klasowych oraz służba publiczna stanowiące osnowę jego wczesnego życia nie spełniały tych warunków. Gdyby znalazł taki autorytet i przyjął go jako fundament życia, mógłby się zdobyć na wielką odwagę, wytrwałość i poświęcenie. Ale potrzeba ta pozostawała niezaspokojona; kiedy trafił na uniwersytet, odkrył, że nie dość, iż trapi go owa niespełniona tęsknota, to jeszcze na dodatek jest homoseksualistą.

W tym wypadku znów schemat się nie powtórzył. Mężczyzna, który go uwiódł, nie miał lewicowych sympatii. W gruncie rzeczy nie miał żadnych przekonań politycznych i kierował się w życiu wyłącznie hedonizmem.

Wyśmiałyby emocjonalne zmagania

Fergusa w poszukiwaniu prawdy, gdyby wiedział o ich istnieniu.

Nawrócenie się Fergusa na komunizm przyszło nagle i zbiegło się w czasie z udawką towarzyszącą próbie wyzwolenia się ze związku z dominującym kochankiem. Na jakimś przyjęciu spotkał bardzo znanego pisarza o poglądach komunizujących. Miało to miejsce w czasach, gdy połowa studentów z arystokratycznych rodzin była entuzjastycznymi zwolennikami Marksa, a na zakończenie spotkań towarzyskich śpiewano z rewolucyjnym ferworem "Międzynarodówkę". Pisarz ten był jednym z wielu znanych wyznawców radykalnego socjalizmu fetowanych przez małą grupkę entuzjastów. Dla Fergusa stał się prawdziwym objawieniem. Miał niezbyt ciekawą powierzchowność, ale aura płomiennej wiary, jaka go otaczała, czyniła go niezwykle atrakcyjnym. Był uosobieniem siły, która niewątpliwie - podobnie jak w wypadku fanatyków religijnych - emanowała z jego wnętrza.

Zaprosił Fergusa na kolację i wtedy właśnie młodzieńcze poszukiwanie sensu życia znalazło swój szczęśliwy finał.

Miał oto wiarę i jednocześnie broń pozwalającą przewyciężyć własne niezadowolenie i obrzydzenie do siebie. Odkrył wspólną więź z mężczyznami i kobietami wszystkich klas i grup wiekowych. I, co było wówczas dla niego niezmiernie ważne, odnalazł wśród nich swoje miejsce. We własnym świecie czuł się wyrzutkiem żyjącym w kłamstwie; alternatywą było całkowite odrzucenie tego świata i ukrycie się w plugawym mroku, w jakim poruszali się nie kryjący swych skłonności homoseksualiści, wydani na szantaż i publiczną pogardę. Nie uznający kompromisu ekstremiści budzili jego odrazę.

Zwariowałby, gdyby musiał pośród nich żyć. Teraz mógł pogodzić się ze swoją rolą w świecie konwencji, ponieważ miał azyl, przyjaciół i dążył do konkretnego celu. Podobała mu się również konieczność dochowania tajemnicy; dawała mu ona coś, czego mu zawsze brakowało - poczucie przynależności. Ukończył uniwersytet z wyróżnieniem i w rok później znalazł się w wojsku. Walczył w Afryce Północnej, a potem brał udział w kampanii we Włoszech. Inni oficerowie często mówili, że jak na tak spokojnego człowieka, Stephenson ściga hitlerowców z taką zawziętością, jakby chodziło o osobistą zniewagę.

Wstąpił do służby dyplomatycznej, gdy ożenił się z Margaret. Ta tragiczna pomyłka popchnęła go jeszcze głębiej w katakumby jego politycznych sympatii. Do tej pory wojna sprawiała, że nie było konfliktu między interesem jego ojczyzny a jego przekonaniami. Ale o ile wojna była wspólnym celem, pokój stanowił raczej krótkotrwałe zawieszenie broni i Fergus zdał sobie sprawę, że wkrótce stanie przed bolesnym wyborem.

Amerykańskie próby wskrzeszenia trupa nazistowskich Niemiec zakończyły okres jego wahań. Społeczeństwo Zachodu postawiło się tym czynem poza prawem; używało tych samych argumentów, które umożliwiły pojawienie się nazistowskiej bestii i jej próbę pożarcia całego świata - że silne Niemcy są bastionem przeciwko sowieckiemu komunizmowi. Fergus nie bawił się w korzystanie ze swoich partyjnych kontaktów, tylko bezpośrednio zaoferował swe usługi Rosjanom.

W obowiązki szpiega wprowadził go pracownik ambasady sowieckiej w Londynie, który wkrótce potem został powołany do Moskwy i, o ile było Fergusowi wiadomo, nie pojawił się - co było przyjętą praktyką - pod zmienionym nazwiskiem w innej ambasadzie.

Fergus otrzymał opiekuna i sam wybrał swój kryptonim:

"Błękitny" - głęboki błękit prawdziwego konserwatysty, kolor polityki swojej klasy i swej arystokratycznej krwi. Siedział teraz w gabinecie, czterdziestopięcioletni mężczyzna, błyskotliwy, zasłużony, przewidziany na najwyższe stanowiska w swoim zawodzie, zastanawiając się, jak postąpi jego żona.

Sprawił jej zawód i nienawidziła go za to. Wprawdzie jej nienawiść przybrała łagodniejszą formę mieszaniny irytacji i pogardy, ale wciąż się tliła. Pierwszy wielki zawód spotkał ją zaraz po ślubie. Zawiódł ją jako mąż i popełnił największy błąd, jaki można było zrobić z kobietą w jej typie, próbując zdobyć jej zrozumienie i współczucie. Z zemsty prowokowała go przez dwadzieścia lat, poniżała afiszując się przed nim swoimi kochankami i posuwając się nawet do twierdzenia, że nie jest ojcem ostatniego z ich dzieci.

Ale nic nie zaspokoilo jej głębokiej kobiecej chęci ukarania samca_impotentą.

Teraz pojawiła się taka możliwość. Mogła go zniszczyć doszczętnie, ujrzeć, jak zostanie zdemaskowany, publicznie zelzony i w końcu uwięziony. Był ciekaw, czy posunie się tak daleko. Po tylu latach wspólnego życia nie znał odpowiedzi na to pytanie. Wstał i podszedł do drzwi. Aparat nie przyda mu się do niczego; będzie musiał zapamiętać szczegóły dzisiejszej narady. Może to być ostatnia informacja, jaką jego sowiecki opiekun w Stanach otrzyma od "Błękitnego".

- Nie mogę ci powiedzieć, o kogo chodzi - stwierdziła Judith. Nie poprosiła Richarda, by usiadł; stali w odległości pół metra zwróceniu do siebie, w jej salonie. Teraz, kiedy przyjechał, była całkowicie spokojna. Oczekiwanie było o wiele gorsze od spotkania z nim twarzą w twarz; toteż odkryła, że stać ją na spokój i uprzejmość, zupełnie jakby dopiero co ich sobie przedstawiono. Ze swej strony Paterson starał się o zachowanie jak najbardziej formalnego charakteru ich spotkania. Nie podał jej nawet ręki. Pytanie o tożsamość Rosjanina, który chciał przejść na ich stronę, było pierwszym, jakie zadał;

Judith odmówiła odpowiedzi.

- W takim razie niepotrzebnie mnie tu ściągnęłaś - powiedział.

- Wcale nie palę się do udziału w tej sprawie, a jeśli chodzi tu o jakiegoś gryziopórka, zajmującego się w ambasadzie napełnianiem butelek z atramentem, który ma nadzieję wyłudzić trochę pieniędzy od Zachodu...

- To nic w tym guście - przerwała mu Judith. - Znam go bardzo dobrze. Znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie i chce otrzymać azyl polityczny.

Uwierz mi, Richard, że nic poza prawdziwą koniecznością nie kazałoby mi skontaktować się z tobą.

- Z ulgą to słyszę. Moja żona podsłuchiwała naszą rozmowę i bardzo się zdenerwowała. Niezłe musiałem się nagimnastykować, żeby ją uspokoić.

Judith przyjrzała mu się: był jej obojętny, całkowicie obojętny. To zasługa Swierdłowa.

- Przykro mi, ale ta sprawa nie mogła czekać do poniedziałku.

Musiałam zadzwonić do ciebie do domu. Mój przyjaciel chciałby wiedzieć, czy Brytyjczycy go przyjmą i obiecują, że nie oddadzą Amerykanom, ani nie odeślą z powrotem do jego ambasady. Prosił mnie, by cię o to zapytać. Próbowалам skontaktować się z facetem z wywiadu, który wie o całej sprawie, ale wyjechał do Anglii.

Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić poza tobą.

- Nie mogę udzielić odpowiedzi na te pytania bez porozumienia się z przełożonymi. Mogę jedynie wrócić do Waszyngtonu i przedstawić całą sprawę ambasadorowi. Jeśli ten facet należy do grubych ryb w ambasadzie sowieckiej, sprawę powinien rozstrzygnąć sam ambasador. Mógłbym najpierw spotkać się z pierwszym sekretarzem.

- Nie ma na to czasu. Idź od razu do ambasadora. Mój przyjaciel przyjąłby zapewnienie z jego ust. Możesz mu powiedzieć, że ten człowiek będzie sporym atutem dla Anglii.

- Swierdłow prosił ją, by to szczególnie podkreśliła. Nie zrozumiała, dopóki jej nie wytłumaczył, że w tych sprawach państwa współzawodniczą ze sobą traktując ludzi niczym przedmioty.

- Jeśli nie możesz podać mi jego nazwiska - powiedział Paterson z irytacją - nie wiem, co będę miał na poparcie tego twierdzenia. W jakiej jest sekcji - czy chociaż to możesz mi powiedzieć - Wojskowej - odpowiedziała.

Swierdłow ostrzegł ją, by nie wychodziła poza tę informację.

Powinno to wystarczyć, by zaostrzyć apetyt Anglików.

- Hmm. To może oznaczać cokolwiek. Nazywasz go wciąż swoim przyjacielem... - Spojrzał na nią lekko oskarżycielskim wzrokiem. - Musisz znać jego nazwisko. Dlaczego mi nie ufasz?

Dałoby mi to jakiś argument w rozmowie z ambasadorem - w przeciwnym razie, to wszystko wygląda dość mętnie.

- Przykro mi, ale nie pozwolił mi tego ujawnić. Powiedziałam ci wszystko, co mogłam; jest ważną figurą, chce przejść na naszą stronę i nie ma zbyt wiele czasu. Wiem, że jesteś bardzo skrupulatny, Richard, ale jeśli ta sprawa utknie w biurokratycznym bałaganie, będzie za późno, by mu pomóc.

- Mnie specjalnie nie interesuje pomożenie mu.

Przyjechałem tu na wypadek, gdyby to mogło pomóc nam. Zawsze znajdzie się jakiś nieodpowiedzialny facet, gotów sprzedać się temu, kto da więcej, ponieważ wszedł w konflikt z własnymi ludźmi i chce uniknąć kary. Miewaliśmy takie przypadki w przeszłości - żołnierzy uciekających z Berlina Wschodniego i podających się za uciekinierów politycznych, podczas gdy w rzeczywistości upili się i znaleźli poza jednostką bez przepustki.

Wiedział doskonale, że nie chodzi o to w tym wypadku, ale jej postawa irytowała go. Nie spodziewał się, że będzie taka chłodna; zupełnie jakby nigdy nie była z nim w łóżku. Miał wrażenie, że jedyne, o czym myśli, to bezpieczeństwo jej "przyjaciela".

- O, mój Boże! - wykrzyknęła

Judith. - Jezu, nigdy nie myślałam, że będę chciała ponownie zobaczyć tego zwierzaka Lodera, ale dałabym wszystko, by stał on teraz na twoim miejscu.

Jeśli nie możesz zrobić niczego, by mu pomóc, może przynajmniej poprosisz kogoś z wywiadu o skontaktowanie się bezpośrednio ze mną? To wszystko, o co cię proszę! Nie musisz chodzić do ambasadora ani angażować się w to w jakikolwiek inny sposób.

Ostatecznie, jeśli to nie wypali, może zaszkodzić twojej przenajświętszej karierze, chociaż nie mam pojęcia, jak mogłoby do tego dojść.

- Skontaktuję się z Loderem, kiedy ambasador mnie o to poprosi. - Ruszył w kierunku drzwi. - Nie wiem, w co się wplątałaś, Judith, ale tym razem wygląda to na niezły pasztet.

Radzę ci pamiętać, po której jesteś stronie. Skontaktuję się z tobą jutro.

Pobiegła za nim do drzwi. -

Nie ma zbyt wiele czasu - najwyżej tydzień, dziesięć dni.

Na Boga, zrób coś, żeby się prędko zdecydowali!

- Nie mogę gwarantować żadnego terminu - starał się być uprzejmy. - Powiedziałem ci, przekażę sprawę samej górze i zadzwonię do ciebie jutro. - Poszedł szybko korytarzem do windy, a ona zamknęła drzwi mieszkania.

Swierdłow wyszedł z sypialni.

W ręku trzymał papierosa, którego jej podał.

- Słyszałeś wszystko? - spytała Judith.

- Tak. Wypadło niezłe. On pójdzie do ambasadora, a ten każe mu zreferować sprawę wywiadowi. Wiele dla mnie zrobiłaś.

- Skąd wiesz? Skąd wiesz, że to tak będzie wyglądało? A jeśli Richard w ogóle nie kiwnie palcem - słyszałeś, jak powiedział, że to niezgorszy pasztet; może postanowić, że lepiej się w to nie mieszać; nie znasz jego toku rozumowania.

- Znam lepiej od ciebie. Zrobi to, co obiecał, ponieważ ma nadzieję przypisać sobie część zasługi. Pójdzie do ambasadora i powie: "Mam superważnego sowieckiego oficera, który chce przejść na naszą stronę, sir".

Trafi to do jego akt, co sprawi mu wielką radość. Ale nie będzie rozmawiał ze mną bezpośrednio i to mnie cieszy. Nie lubię go.

Judith spojrzała na zegarek. -

Chodźmy stąd lepiej, zanim Nancy wróci ze swej popołudniowej randki. Fiodor, czy musisz wrócić do ambasady? Martwię się bardzo, bo może oni coś podejrzewają.

- Z pewnością nie. To w gruncie rzeczy zabawne. Facet, który usiłuje mnie zwabić w pułapkę, myśli, że ja zastawiam pułapkę na ciebie. Poczekaj, by samemu móc zgarnąć nagrodę, zanim zamknie za mną drzwi celi.

To stary chwyt, ale wciąż się sprawdza. Jeśli masz w jednej ręce coś, czego pragnie nieprzyjaciel, pokaż mu, że trzymasz także coś w drugiej.

Wówczas on nie będzie wiedział co ci najpierw odebrać.

- To jeszcze jedno rosyjskie przysłowie? - spytała Judith.

Sprawiał wrażenie bardziej odprężonego niż poprzedniego wieczoru, ale mimo to na jego twarzy widoczne były ślady napięcia. Nerw blisko ust pulsował pod skórą, a oczy miał

podkrążone. Ona też zdołała zdrzemnąć się tylko na krótko zeszłej nocy. Czekanie na niego było koszmarem; obawiała się, że mogą mu uniemożliwić przyście, a ona nigdy się nie dowie, co się z nim stało.

- Możemy iść do kina - zaproponował Swierdłow. - Będę mógł trzymać cię za rękę w ciemności. - Objął ją gwałtownie, zaskakując ją zupełnie, i pocałował w usta.

- Już nie lubisz tego Anglika, prawda?

Uwolniła się z jego objęć. -

Skąd wiesz?

- Ponieważ teraz całujesz się ze mną. Pójdziemy do kina i usiądziemy w ostatnim rzędzie.

Judith nie pamiętała później zbyt dobrze, na czym byli tego popołudnia. On uparł się, by objąć ją ramieniem i chociaż starała się mu to wyperswadować szeptem, nie cofnął ręki ani nie chciał spokojnie siedzieć na swoim fotelu. Wokół nich pary tuliły się i pieściły, nie zwracając uwagi na program.

Swierdłow położył jej głowę na ramieniu i po paru minutach zasnął. Siedziała w ciemnościach i było jej niewygodnie z powodu ciężaru, który opierał się o nią. Sytuacja ta była o wiele bardziej nieprawdopodobna niż teatralne gesty wykonywane na ekranie. Nikt by w nią nie uwierzył; nikt obserwujący ich w ciemnościach nie dałby wiary, że ten pogrążony we śnie mężczyzna szuka wytchnienia w obliczu nieuchronnego aresztowania i pewnej śmierci.

Wyglądali na kochanków, a przecież nimi nie byli. Spotkali się na barbadoskiej plaży i pod palącym słońcem rozpoczęli znajomość, która przeradzała się w coś równie mrocznego jak otaczająca ich teraz kinowa atmosfera. Ona uciekała od kłopotów, a w azylu, jaki oferowała tropikalna wyspa, wplątała się w takie tarapaty, w porównaniu z którymi zawód miłosny i przedwczesne wdowieństwo były banalnymi wydarzeniami nieciekawego życia.

Mężczyzna, którego głowa spoczywała na jej ramieniu, nie był zwyczajnym facetem; spotkanie z nim, a zwłaszcza pozwolenie na zbliżenie się, było nie tylko błędem oceny, którego nie powinna była popełnić, ale w konsekwencji stało się czymś, co - czuła to - zmieniła całkowicie jej życie. Nie kochała go, tego była pewna.

Cokolwiek czuła do Richarda, uczucie, jakim darzyła Swierdłowa, było zupełnie inne.

To nie była miłość, ale nie chciała, by coś mu się stało.

Nie chciała, by zabrano go do kraju, gdzie będzie musiał cierpieć i umrzeć. Włożyła rękę do torebki i wyjęła chusteczkę.

Był tak przekonany, że Richard mu pomoże. Jej brakowało tej pewności. Siedząc w ciemnościach czyniła sobie wyrzuty, że zachowała się w stosunku do Patersona zbyt agresywnie. Znała próżność swego eks_kochanka; powinna była na niej zagrać. Nie podobało mu się, że nazwała Rosjanina "przyjacielem".

Chodziło o dumę, a nie zazdrość, ale i tak mogło to wpłynąć na jego zachowanie. Jej myśli pełne były niepokoju. Swierdłow żartował sobie, cytując doprowadzające ją do pasji prymitywne rosyjskie przysłowia niczym Chruszczow dla ubogich.

Postanowiła, że powie mu to, gdy wyskoczy z kolejną ludową mądrością. Nerwowe pulsowanie żyłki ani czarne obwódki pod leniwymi zielonkawymi oczami nie ustępowały, a sen przyszedł nań nagle, gdy poczuł, że będzie mógł bezpiecznie odpocząć. Nagle wybuchnęło muzyczne crescendo i nastąpiła zmiana oświetlenia; film się skończył - delikatnie obudziła go.

- Przepraszam - wyprostował się gwałtownie. - Chciałem się z tobą kochać.

- Byłeś śmiertelnie zmęczony.

Sen dobrze ci zrobił.

- Dobry był film?

- Nie wiem; niezbyt pilnie go oglądałam. Fiodor, może wprowadziłbyś się do mojego mieszkania, dopóki nie dowiemy się czegoś konkretnego?

- A co z twoją przyjaciółką -
Nancy?

- Powiem jej, że zająłeś miejsce Richarda. Nie będzie zadawała żadnych pytań; ja jej nie wypytuję, z kim chodzi; nie wtrącamy się w swoje sprawy.

Poza tym mogę jej powiedzieć, że jesteś "białym" Rosjaninem.

Roześmiał się, aż ludzie siedzący przed nimi odwrócili głowy i szepnęli ze złością, by byli cicho. Rozpoczął się następny seans. On wciąż się śmiał, aż cały fotel się trząsł.

- To mój przyjaciel Fiodor
Swierdłow, "biały" Rosjanin!

Och, kochanie, ależ ty jesteś naiwna! Chodźmy, czas wracać.

Muszę dziś wieczorem popracować, a ty jutro otrzymasz wiadomość ze swojej ambasady.

Odwiózł ją do domu taksówką, w której obejmował ją zapamiętałe i całował, aż przestała się o niego martwić i ze złością kazała mu przestać.

Nie udało się jej poważnie z nim porozmawiać. Kilka razy powtarzał jej uwagę o "białym" Rosjaninie zaśmiewając się z niej do rozpuku. Zaproponowała mu, by z nią zamieszkał. A on, po tylu tygodniach usilnych starań, by wydobyć z niej podobne zaproszenie, zrezygnował z tej oferty. Dopiero, kiedy Judith leżała już w łóżku i próbowała zasnąć, zdała sobie sprawę, że postąpił tak dlatego, iż prawdopodobnie niebezpieczeństwo aresztowania go było o wiele większe, niż jej powiedział. A obecność dwóch kobiet w mieszkaniu na Manhattanie nie odstraszyłaby jego ludzi. Wolał zostać w ambasadzie i nie mieszać jej jeszcze bardziej w to wszystko.

Minęły dwa dni: poniedziałek i wtorek, ale Richard nie zadzwonił. W środę udało się jej pracować wydajnie do obiadu; nie poszła do miasta, by coś zjeść, lecz została w biurze Nielsona, popijając kawę z automatu na korytarzu, czekając na telefon, który się nie odzywał. W podyktowanym jej przez szefa tekście zrobiła kilka błędów i musiała wrócić do gabinetu i poprosić go o powtórzenie paru fragmentów. Pracował akurat na pełnych obrotach i źle się złożyło, że właśnie tego dnia sknociła jego listy. Powiedział jej to. - Przepraszam - wyjąkała Judith. Zadzwonił telefon w jej pokoju. Rzuciła Nielsonowi na wpół przepraszające, a na wpół wyzywające spojrzenie i pobiegła go odebrać.

Była tak zdenerwowana, że powiedziała "Richard", gdy tylko podniosła słuchawkę.

- Pani Farrow?

Przełożyła słuchawkę do drugiej ręki. To był głos Lodera.

- Tak, to ja. Usiłowałam pana złapać...

- Proszę nic nie mówić, tylko słuchać - przerwał jej. - I proszę o spokój. Wiem, jaka jest stawka; wróciłem dzisiaj rano i przekazano mi tę informację.

Przylecę do Nowego Jorku wieczorem, rozumiem, że sprawa jest pilna - czy tak?

- O tak. Bardzo pilna. Proszę przyjechać jeszcze dzisiaj.

- Zakładam, że to nasz wspólny znajomy chce się ze mną zobaczyć?

- Tak - powiedziała Judith.

Mniejsza z tym, co mówił jej

Swierdłow; zresztą zapomniała, o co chodziło. Chciała jedynie, by ktoś z ambasady spotkał się z nim i puścił w ruch całą maszynę.

- A więc zgoda. - W jego głosie dała się słyszeć dziwna nuta; gdyby nie to, że jest facetem tak bezbarwnym i flegmatycznym, uznałaby ją za oznakę podniecenia. - Niech pani zabierze go wieczorem na spacer po Piątej Alei, proszę zatrzymać taksówkę przejeżdżającą na skrzyżowaniu z Park Avenue; dokładnie o dwudziestej pierwszej trzydzięci.

Wsiądziecie do niej oboje - ja będę w środku. Rozumie pani? Róg Park Avenue, dwudziesta pierwsza trzydzięci.

- W porządku - odpowiedziała wyczuwając, że Nielson czeka na nią w gabinecie i denerwuje się przedłużającą się rozmową.

Wkurzy się jeszcze bardziej, gdy ona zadzwoni do Swierdłowa.

Nie poszła jednak, by poprosić o pozwolenie. Wykręciła numer, jaki dał jej Fiodor, i od razu została z nim połączona. A więc nadal przebywa na terenie ambasady przy Onz.

- Mogę zjeść dziś z tobą kolację - powiedziała. - Czekaj na mnie po pracy o osiemnastej trzydzieści.

- Z przyjemnością. Urządzamy jakieś przyjęcie? - W wyobraźni widziała ten cholerny krzywy uśmiech. Tak ucieszyła się, że z nim rozmawia i że wszystko wygląda normalnie, iż roześmiała się nerwowo: - Tak. Przed chwilą zaprosiłam gości.

- Jak spałaś?

- Niezbyt dobrze. A ty? - Do diabła z Samem Nielsonem; słyszała, jak ze złością pochrząkuje za jej plecami i z hałasem przerzuca jakieś papiery na biurku.

- Nie tak dobrze, jak gdybym spał z tobą - powiedział kpiąco.

- Bezszenność szkodzi zdrowiu.

Musimy temu zaradzić.

- Osiemnasta trzydzieści - powtórzyła. - Będę punktualnie.

Do widzenia. - Odłożyła słuchawkę i poszła do gabinetu Nielsona.

- Przepraszam pana bardzo, ale wypadło mi coś ważnego. Już wszystko załatwiłam i teraz nic nam nie będzie przeszkadzać.

Loder wysiadł z samolotu po całonocnym locie, przygnębiony perspektywą potwierdzenia podejrzeń szefa; czekała go niezbyt przyjemna praca, podobna do gorączkowego poszukiwania kości przez głodnego psa.

Zdrajca dużego kalibru pracujący dla Kgb i przekazujący najtajniejsze informacje. Ta arabsko_izraelska inicjatywa pokojowa była prawdziwą bombą z opóźnionym zapłonem; miała tykać po cichu i wybuchnąć niszcząc sowieckie wpływy na Bliskim Wschodzie. Zamiast tego eksplodowała przedwcześnie grzebiąc na długo szanse traktatu pokojowego między Egiptem a Izraelem. Kimkolwiek był ten skurwiel, Loder czuł do niego osobistą nienawiść.

Szanował agentów pracujących dla swego kraju, chociaż taka postawa nie przeszkadzała mu podejmować przeciwko nim najbardziej drastycznych działań; często skarżył się, że nie są one dostatecznie zdecydowane. Ale do podwójnego płatnego agenta, zdrajcy pracującego dla wroga, czuł patologiczną wręcz nienawiść i pogardę. Szantaż nie był dla niego żadnym usprawiedliwieniem; zawsze przychodził moment, kiedy ktoś albo miał odwagę odmówić, albo nie. Jeśli chodzi o zdrajców z pobudek ideologicznych, naukowców od spraw broni atomowej, ujawniających tajemnice ciemnościom połowy Europy - najchętniej wsadziłby im wszystkim kulę w potylicę.

Kto to, do diabła, tym razem był? Czy rzeczywiście chodzi o Anglika kontynuującego haniebną tradycję trzech przeklętych zdrajców, którym udało się uniknąć kary? Loder siedział na swoim fotelu, a wściekłość wzbierała w nim jak fizyczny ból w trzewiach. Wszedł do biura sprawiając wrażenie tak zmęczonego i rozwścieczonego, jak był w istocie. I właśnie w tym momencie wezwał go do siebie ambasador. Był to człowiek, któremu trudno było nie napełniać grozą swoich współpracowników. Wysoki i solidnie zbudowany, miał zwyczaj patrzeć na swego rozmówcę z góry. Robił tak całkiem bezwiednie, ale Loderowi działało to na nerwy. Nieraz pragnął podczas rozmowy z nim, by zamiast ze "starym" mieć do czynienia ze Stephensonem.

Ambasador nie zajął mu zbyt wiele czasu. Poinformował go, że podczas weekendu zgłosił się do niego pułkownik Paterson i narobił wiele zamieszania w związku z jakimś pracownikiem ambasady sowieckiej, który chce uzyskać azyl na Zachodzie.

Ambasador poinformował

Patersona, że nie należy to do spraw służby dyplomatycznej i kazał mu zapomnieć o całej sprawie; coś takiego znajduje się w gestii Lodera. Tak to powiedział, jakby praca Lodera była

czymś wyjątkowo nieprzyjemnym, a interes ubity z Rosjaninem gotowym sprzedać swoich rodaków czymś plugawym i przynoszącym niewielką chwałę ambasadzie. Loder zebrał krótkie notatki przygotowane przez Patersona i niemal biegiem wrócił do swego biura.

Możliwość, że chodzi o

Swierdłowa, była tak kusząca, iż zmusił się do przeczytania każdego słowa w notatkach pułkownika, obejmujących jego rozmowę z panią Farrow, jej odmowę podania nazwiska Rosjanina, jej naleganie na pilność sprawy. Na Boga, to rzeczywiście bardzo pilne, powiedział do siebie Loder; jeśli to rzeczywiście chodzi o Swierdłowa, to pośpiech jest wysoce wskazany. Pani Farrow przekonywała Patersona, iż ten Rosjanin jest w "wielkim niebezpieczeństwie" (słowa te podkreślono jako cytat) oraz że pozostaje "tylko tydzień, dziesięć dni", by nim się zaopiekować.

Swierdłowa - to na pewno on.

Dlatego nawiązał znajomość z

Farrow na Barbadosie; nie po to, by ją zwerbować, ale by zapewnić sobie drogę ucieczki. Jezu - ależ to wspaniały motyw do powieści szpiegowskiej.

Znajdująca się w odległości czterystu mil od niego Judith nie miała pojęcia, jak Loder pocił się, kiedy wreszcie zadał to najważniejsze pytanie: "Czy to nasz wspólny znajomy?" i usłyszał miłą uchu twierdzącą odpowiedź.

A więc to Swierdłowa, najważniejsza figura Sowietów w Usa. Nie mógł w to uwierzyć. W dodatku chce się oddać w ręce Brytyjczyków, a nie Amerykanów.

Ależ to kopniak wymierzony temu waśniakowi Buckleyowi. Przez cały dzień prześladował go ból głowy wywołany stresem; popił herbatą kilka tabletek aspiryny, ułożył notatkę do swego szefa w Londynie i pojechał na lotnisko złapać samolot do Nowego Jorku.

Generał Golicyn postanowił osobiście udać się do Nowego Jorku. Przez cały weekend zastanawiał się nad sytuacją i wyborem najlepszego sposobu postępowania. Ogólna sytuacja uległa tak gwałtownemu odwróceniu, że zaskoczyło to generała. Swierdłowa odwołał swój lot do Moskwy. Rozmawiając z Golicynem poinformował go, jak człowiek dobrze wychowany, o zmianie planów; powód był dostatecznie ważny, by odsunąć na drugi plan sprawy osobiste i pragnienie spotkania się z żoną.

Chodziło o panią Farrow; jego długo układany wobec niej plan miał się ziścić i Swierdłowa wspominał generałowi, że jest ona o wiele ważniejszym nabytkiem, niż się spodziewał.

Golicyn jako podwładny nie mógł nic powiedzieć; zaraz po tej rozmowie Anna Skriabin poinformowała go, że Swierdłowa polecił jej zarezerwować miejsce w samolocie do Moskwy za dwa tygodnie. Według niej pułkownik jest w doskonałym humorze.

Golicyn nic nie mógł poradzić; pozostawało jedynie wysłać informację do Moskwy, że podejrzany nie zamierza przyjechać i że według posiadanych informacji ma ku temu solidne powody. Postanowił jednak osobiście to sprawdzić i poprosić Moskwę o instrukcje.

Wsiadł do samolotu odlatującego z Waszyngtonu o piątej, a o siódmej był już w przedstawicielstwie Zsrr przy Onz. Na lotnisku powitano go uroczyście jako nominalnego szefa Misji Wojskowej w Usa; w hallu czekał sam ambasador jego kraju przy Onz, który zawiózł go do luksusowego apartamentu składającego się z sypialni i gabinetu, i będącego do dyspozycji wysokiej rangi gości przyjeżdżających do Nowego Jorku. Pokoje zarezerwowane dla Kgb znajdowały się w innej części budynku i zajmował je Swierdłowa. Generał był zmęczony; nie lubił latać samolotem, nawet krótki lot męczył go bardzo i wprawiał w zły humor. Najwyższy czas jechać do domu i zająć miejsce w fotelu, przed którym bronił się tak długo. Ale zanim się podda i przejdzie na emeryturę, pozostało mu jeszcze spełnienie ważnego obowiązku wobec swego kraju.

Musi wyplenić z Rosji

Swierdłowów, pozbawionych kręgosłupa słabeuszy wierzących w możliwość kompromisu, dekadentów oddających się herezji, że można służyć rewolucji proletariatu nie niszcząc całkowicie jej wrogów.

Kiedy generał zapytał o

Swierdłowa, powiedziano mu, że ten wyszedł. Golicyn poczęstował się wódką. Zachował skromne upodobania swoich chłopskich przodków. Przyniesiono mu kiszony ogórek, razowiec i sól.

Stary generał lubił wódkę w odpowiedniej oprawie. Frykasy zdobiące kanapki na koktajlach nie odpowiadały mu. Następnie posłał po majora lotnictwa Stiukałowa, który tak jak on pochodził z Ukrainy; był to przysadzisty, jasnowłosy mężczyzna w wieku około trzydziestu pięciu lat, o którym mówiło się, że cieszy się dużym powodzeniem na przyjęciach i jest w przyjacielskich stosunkach z wieloma dyplomatami z krajów sprzymierzonych przy Onz. Należał do jednych z najlepszych oficerów Kgb w Stanach i był protegowanym generała, chociaż jak inni podlegał bezpośrednio Swierdłowowi. Major wyprężył się na baczność przed Golicynem.

- Towarzyszu majorze - zwrócił się do niego generał. - Mam zamiar wprowadzić was w bardzo delikatną sprawę; w imieniu samego generała Paniuszkin. - Ugryzł kawałek razowego chleba posypanego solą i popił wódką.

Major zamrugnął oczami słysząc to budzące popłoch nazwisko.

Paniuszkin nie wzbudzał wprawdzie takiej grozy jak Beria, ale podwładni bali się go. Rządził tajnymi służbami niczym car. Jego rozkazy należało wykonywać bez szemrania, a kara za nieposłuszeństwo bywała równie straszna jak za czasów carskich.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, generale. Oczekuję rozkazów towarzysza Paniuszkin.

Golicyn wskazał ręką butelkę wódki. - Proszę mi jeszcze nalać szklaneczkę. Nie ma nic lepszego od wódki. Słuchajcie, czy macie dwóch ludzi, którym możecie całkowicie zaufać, tak jak sobie samemu, tak jak ja ufam wam?

- Tak, towarzyszu generale.

Nawet więcej niż dwóch, jeśli ich będziecie potrzebować.

- Wystarczy dwóch. Chodzi o bardzo poważną sprawę.

Rozumiecie, że rozkazy pochodzą od samego Paniuszkin? Działam zgodnie z jego poleceniem.

Odczekał trochę, utrzymując młodego człowieka w niepewności.

Ufał Stiukałowowi, ale bardziej wierzył w strach, jaki budzi Paniuszkin, niż w więzi uczuciowe wynikające z jego protekcji i wniosków o awanse w przeszłości. Strach, a nie lojalność, powstrzyma Stiukałowa przed próbą ostrzeżenia swego szefa.

- Dwaj wybrani przez was ludzie mają mieć na oku pułkownika Swierdłowa. Władze Kgb mają wobec niego poważne podejrzenia. - Zapanowała cisza, którą generał przerwał odchrząkując i spluwając do chusteczki.

- Z przykrością to słyszę - stwierdził major. - Moi ludzie nie będą go spuszczać z oka przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Osobiście tego dopilnuję, towarzyszu generale.

- O wszystkim będziecie meldować mnie osobiście i nikomu innemu. Paniuszkin mnie powierzył tę sprawę. Swierdłow ma wkrótce wrócić do Rosji.

Jeśli coś wzbudzi jego podejrzenia przed wyjazdem, będziecie za to odpowiedzialni, majorze. Wy i wasi dwaj ludzie.

Rozumiecie to?

- Rozumiem, towarzyszu generale. Nie zawiodę was.

Golicyn kontynuował: -

Swierdłow zadaje się z pewną kobietą, niejaką panią Farrow, która pracuje dla kanadyjskiego prawnika Nielsona. Urabia ją i pragnie zwerbować. Po jego wyjeździe możecie zostać jej opiekunem. Słyszałem, że łatwo sobie radzicie z kobietami. Czy tak jest?

- Nie wiem, towarzyszu generale, ale mogę spróbować prowadzić panią Farrow, jeśli pan wybierze mnie do tej roli.

- Ona może być dla nas bardzo cennym źródłem informacji. Jeśli dobrze się nią zaopiekujecie, czeka was awans. Ja będę wnioskodawcą. Ale to wszystko przed nami, zobaczymy. Mówimy o przyszłości, po wyjeździe Swierdłowa do kraju. Proszę zacząć obserwację, gdy tylko pułkownik wróci do ambasady.

Teraz możecie odejść. Dobranoc.

Generał zjadł ogórka i wypił drugą szklankę wódki. Miał bardzo mocną głowę i nigdy się nie upijał.

W taksówce było ciemno;

Swierdłow zatrzymał ją, gdy przejeżdżała koło nich punktualnie o dwudziestą pierwszą trzydziści, niemal stając, gdy zrównała się z nimi.

Otworzył drzwi przed Judith i kiedy wsiadała, dostrzegł Loder siedzącego w samym rogu. Loder nic nie powiedział. Następnie wsiadł sam; siedzieli we trójkę ściśnięci na tylnym siedzeniu.

- Nazywam się Loder. Pracuję w ambasadzie brytyjskiej w Waszyngtonie. Podobno chciał się pan ze mną widzieć.

- To prawda.

Judith miała wrażenie, że przejechali spory kawałek w absolutnym milczeniu. Swierdłow zapalił papierosa częstując również ją, ale odmówiła.

- A więc - Loder raptownie przerwał ciszę. - Co pan ma do zaoferowania i czego pan od nas oczekuje?

- Pragnę azylu politycznego.

Gwarancje takie jak zwykle i jeden dodatkowy warunek: żadnych konszachtów z Amerykanami. Chcę jechać do Anglii.

- Rozumiem. Powiedziano mi, że bardzo się panu spieszy. Czy to prawda?

- Tak - przyznał Swierdłow.

Mówił innym tonem, zimnym i stanowczym, jak wtedy, gdy rozmawiał ze swym podwładnym w restauracji. Judith wyglądała przez okno; obaj mężczyźni zachowywali się, jakby jej nie było. Zdawała sobie sprawę, że woleliby pewnie być sami.

- Muszę zniknąć w ciągu dwóch tygodni, inaczej mogą mi to uniemożliwić. Czy ma pan kompetencje, by udzielić mi żądanych przeze mnie gwarancji?

- Mam wszelkie niezbędne kompetencje - powiedział Loder.

- Ale nie powiedziałem jeszcze, że przyznamy panu azyl. Mogą być z panem kłopoty, pułkowniku.

Musimy wziąć pod uwagę, że zakłóci to stosunki brytyjsko_sowieckie.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale nie przychodzę z pustymi rękami.

- Tak też myślałem. Chronienie pana do końca życia przed pańską macierzystą organizacją będzie sporo kosztować. Co oferuje nam pan w zamian; zakładając, że jesteśmy gotowi pozwolić skorzystać panu z naszej gościnności?

- Jedną informację.

- Jedną? Doprawdy proponuje pan tak mało? Ależ, pułkowniku, nikt na to się nie zgodzi! Nie zawracałbym nawet głowy swemu szefowi taką propozycją - kazałby mi po prostu przekazać panu, by się pan wypchał.

- Jedną informację - powtórzył

Swierdłow, jakby nie słyszał tyrady Anglika. - Coś o wiele bardziej przydatnego pańskiemu krajowi niż wszystkie kłamstwa na temat metody pracy wywiadu sowieckiego, jakie przekazali wam moi poprzednicy. Czego pan oczekuje, panie Loder: nazwisk kilkunastu łatwych do zastąpienia szpiegów na terenie Europy, klucza do szyfru, który zostanie zmieniony w dwadzieścia cztery godziny po mojej ucieczce, czy też informacji o kimś, kto nawet w tej chwili zdradza najtajniejsze sekrety Zachodu? Jeśli to pana nie interesuje, to proszę zatrzymać taksówkę i ja wysiądę.

Odwrócił się w stronę Lodera i przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem w półmroku. Loder bardzo chciał mieć Swierdłowa, tak bardzo, że jego ból głowy zamienił się we wściekłe dudnienie pod czaszką.

Ale nie może ustąpić temu skurwielowi nawet na krok; chciał to rozegrać inaczej, rzucić go na kolana i zmusić do błagania o pomoc. Ale już po pięciu minutach od chwili, gdy Swierdłow wszedł do taksówki, zorientował się, że żadnym sposobem nie wywoła w tym facecie takich reakcji. Był on gotów do przejścia na ich stronę, ale musiało się to odbyć z zachowaniem pozorów godności.

Loder był przekonany, że w przeciwnym razie Swierdłow spróbuje zrobić coś na własną rękę, albo nawet z typowo rosyjskim fatalizmem zdecyduje się przyjąć to, co go czeka z rąk rodaków.

Zastanawiał się, czego obawia się Swierdłow, że gotów jest przejść na drugą stronę. Z pewnością nie należy do ludzi, którzy zrobiliby coś takiego dla pieniędzy. Nie jest również idealistą, któremu się wydaje, że ratuje cywilizację dwudziestego wieku. Czuje się zagrożony; sam tak powiedział.

Zagrożony przez własnych ludzi.

Ale z jakiego powodu, za jaką zbrodnię?

Właściwie Loderowi było to obojętne, ale poruszając tę kwestię mógł uniknąć wyzwania, jakie rzucił mu Rosjanin.

- Jasne, że jesteśmy zainteresowani. Ale zanim pójdziemy dalej, będzie pan musiał powiedzieć nam jedną rzecz. Dlaczego ubiega się pan o azyl?

- Sądzę, że czeka mnie proces, gdy wrócę do Rosji. A potem egzekucja. Zapyta pan za co; otóż popełniłem ciężką zbrodnię; nie zmieniłem w porę swoich poglądów politycznych. Jestem liberałem, panie Loder; jest nas paru w radzieckich sferach rządowych; wydaje mi się, że wszyscy mamy zostać zlikwidowani. A czystka zacznie się jak zwykle od porządków w mojej firmie.

- Dobrze tak panu - Loder nie mógł się powstrzymać, by tego nie powiedzieć. Żarna Pana Boga, pomyślał z satysfakcją. Węgrzy mają wreszcie okazję zemścić się na tobie, ty skurwysynu. Teraz dla odmiany ty obrywasz w skórę.

- Nic więcej na panu nie ciąży?

Musimy mieć pełen obraz, ponieważ Rosjanie zrobią wszystko, by pana zdyskredytować.

- Nie jestem alkoholikiem ani narkomanem i lubię sypiać z kobietami, a nie z mężczyznami.

- Judith poczuła, że przez chwilę jego uwaga skupiła się na niej. - Nie grywam w ruletkę ani nie jestem złodziejem. Pani Farrow może mi wystawić opinię.

- Zauważyła, że uśmiechnął się do niej. Słyszała każde słowo tej rozmowy, ale to wszystko wydawało się jej nierzeczywiste; bez względu na to, jak prostych słów używali, ich znaczenie umykało jej; jak dzieje się to z rozmowami prowadzonymi w snach.

Loder zapalił papierosa. -

Mówi pan o jakimś bardzo ważnym agencji. Muszę wiedzieć coś więcej.

- Niewiele ponadto mogę panu powiedzieć. Nie znam jego tożsamości, ale widziałem jego raporty i fotokopie dostarczonych przezeń dokumentów; obiecuję przekazać je wam.

Zapewne uda się wam bez trudu go zidentyfikować, kiedy zobaczycie, co nam dostarczał - na przykład informację o tajnym układzie między Egiptem i Izraelem.

Loder przelknął dym.

Postanowił zrezygnować z dalszych gier.

- Może pan nam dostarczyć te papiery? To pewne?

- To macie do zyskania wraz ze mną - powiedział cicho Swierdłow. - Uważam, że to niemało. Dam wam, jak to się nazywa - depozyt przed wpłatą całej sumy. Ten człowiek ma swój kryptonim. "Błękitny".

Zastanawiałem się nad znaczeniem tego słowa, ale nic ono dla mnie nie znaczy. Ale wy macie takie powiedzonko: prawdziwy błękit. - Judith drgnęła i przez chwilę chciała mu przerwać, przypominając, że to ona mu o tym powiedziała. Ale Swierdłow nie dopuścił jej do słowa, więc zrezygnowała.

- Amerykanie nie znają tego zwrotu, tak więc przypuszczam, że to Anglik. Dam wam wszystkie dokumenty w samolocie do Londynu.

- Okay - Loder zgodził się dobijając targu. - Umowa stoi.

Pan dostarcza nam te informacje, a my opiekujemy się panem do końca życia. Pozostaje kwestia, panie pułkowniku, jak, kiedy i dokąd chce pan jechać? Musi pan sam ustalić te szczegóły; ja chcę tylko znać termin i miejsce. Wtedy się panem zajmujemy.

- Ustalę wszystko w tym tygodniu. Jak będziemy się komunikować?

- Za pośrednictwem pani Farrow - powiedział Loder. - Pańskie spotkania z nią nie wzbudzają podejrzeń, a każdy nowy kontakt może je wywołać. Czy jest pan obserwowany?

- Skąd mogę wiedzieć? -

Swierdłow odprężył się; poznała to po jego głosie. - Jeśli o mnie chodzi, to jeden z naszych ludzi może siedzieć za kierownicą tej taksówki. Ze względu na siebie mam nadzieję, że tak nie jest. Proszę kazać zatrzymać przed mieszkaniem pani Farrow. Oboje tam wysiądziemy.

- Tak się składa - rzucił

Loder - że kierowca jest moim człowiekiem.

Swierdłow ujął Judith pod rękę, zapytał taksówkarza, ile należy się za kurs i zapłacił.

Dał nawet napiwek. Loder siedział w rogu, niewidoczny.

- Nie można zapominać o szczegółach - powiedział do Judith Swierdłow. - Twój Loder może mieć rację; jeśli rzeczywiście jestem śledzony, to muszę płacić taksówkarzowi i odprowadzać cię do drzwi. I żeby wszystko właściwie wyglądało, muszę pocałować cię na dobranoc.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła Judith. - Zatrzymaj się na chwilę, Fiodor - chcę porozmawiać. Wszystko się ułoży, prawda?

- Tak sądzę. On wygląda na bystrego faceta, który nic nie sknoci. A ja nigdy nie popełniam błędów, czyż nie wiesz o tym?

Zdajesz sobie sprawę, czym ty teraz jesteś? Żywą skrzynką kontaktową, bo przecież nie jesteś z drewna ani blachy...

- O czym ty mówisz? -

Usiłowała robić uniki przed jego natarczywymi ustami. Odepchnęła go nawet, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Jesteś moim kanałem łączności. Moją skrzynką pocztową dla pana Lodera. - Po tej uwadze nastąpił szczególnie śmiały uścisk. - Zadzwoń do ciebie jutro. Przyjedziesz i zamieszkas z mną w Anglii?

- Skądże znowu. Nie bądź śmieszny.

- Dlaczego sprawiasz wrażenie tak nieszczęśliwej?

- Nie jestem nieszczęśliwa; po prostu się martwię. Nie potrafię tak jak ty traktować wszystkiego lekko.

- Ale skoro to nie jest śmieszne, to musi być smutne - cierpliwie tłumaczył jej Swierdłow. - Jeśli zostaną ujęty i wysłany do domu, to będzie smutne. Dla mnie, a nawet dla ciebie, ponieważ wydaje mi się, że będzie ci mnie trochę żal.

Dopóki to nie nastąpi, jest śmiesznie. Kochać się ze skrzynką pocztową - to dopiero kawał.

Judith weszła do klatki schodowej, a Swierdłow spędził następną godzinę spacerując.

Wieczór był ciepły; po pięciu minutach opuścił spokojną dzielnicę mieszkaniową w bok od Park Avenue i znalazł się na jasno oświetlonej i zatłoczonej alei; wmieszał się w tłum przelewający się po szerokich chodnikach.

Od czasu do czasu przystawał przed oknami wystawowymi, kolorowymi i bardzo oryginalnymi; nigdy przedtem nie przyglądał im się z tak chłodną uwagą i nie porównywał z przerażającą monotonią przedsiębiorstwa państwowego Gum, które tak prezentowało swoje towary, jakby zapraszało klientów do popełnienia przestępstwa.

Nigdy nie miał nic przeciwko krytyce, o ile służyła ona jakiemuś celowi i nie była zakamuflowanym złośliwym wydziwianiem. Wiele rzeczy w jego kraju nie podobało mu się i z pewną przyjemnością drażnił Elenę wytykając te wady; nigdy jednak nie odkrył ich tyle, by wybrać styl życia innego kraju.

Jest Rosjaninem; myśli, czuje i zachowuje się jak Rosjanin.

Nigdy nie chciał emigrować i wcale nie miał na to ochoty teraz. Był jednak zdecydowany nie dać się uśmiercić w ojczyźnie.

Ludzie zbyt swobodnie szafowali słowem "zdrajca", określając nim zwykle kogoś, kto różnił się od nich poglądami.

Jeśli uda mu się uciec, ludzie, z którymi pracował, określą tak jego. Może przyjdą takie chwile, że sam się tak nazwie. Tylko głupcy wierzą, że dobrowolni wygnańcy nie czują nostalgii, gwałtownych ataków rozczarowania. Swierdłow wiedział doskonale, jak pracuje jego umysł. Podejrzenie ustępuje miejsca wyrokowi, tak jak po dniu nadchodzi noc. Państwo zajęło miejsce Boga i czyniąc to musiało uznać się za wszechmocne. Podobnie jak Bóg, było nieomyślne. Spacerując wśród jaskrawych świateł, w tłumie Amerykanów wracających do domu z kin i restauracji, stał przed perspektywą życia na emigracji do końca swych dni. Nie dość, że będzie wygnańcem, będzie musiał się ukrywać.

Fałszywe nazwisko, przeprowadzki z jednego miejsca do drugiego, miesiące ciągłego obcowania z obstawą, aż jego opiekunowie uznają, że bezpiecznie jest osiedlić się gdzieś na stałe i zmniejszyć ochronę do minimum. Ale nawet i wtedy nie będzie miał spokoju i poczucia bezpieczeństwa. Jego ludzie będą go nadal poszukiwać; znalezienie go i ukaranie pozostanie dla nich ważnym zadaniem. A rząd brytyjski nie będzie się z nim pieścił, kiedy już odda się pod opiekę. W pewnym sensie uciekinier z własnego kraju staje się więźniem tych, u których szuka ratunku. Nie ma dokąd pójść i opiekunowie mogą wywierać jakie tylko chcą naciski, a przede wszystkim grozić odesłaniem do kraju. Życie nie będzie łatwe ani szczęśliwe. Pogodził się z tym. Ponieważ jednak alternatywą były miesiące na Łubiance i zniszczenie go jako człowieka zdolnego do rozumowania i oporu, nie wahał się. Nie ma zamiaru dać wyprowadzić się z celi jak manekin i zastrzelić za to, że myśli inaczej. Przyspieszył kroku przedzierając się przez tłum. Wkrótce ulice opustoszeją.

Szanowni obywatele, spędzający wieczór w mieście, spieszą do domów, zanim miasto zamieni się w nocną dżunglę, w której króluje przemoc, napady i śmierć. Jedynie desperaci lub ludzie bardzo odważni ryzykują jazdę metrem późną nocą.

Nie mógłby mieszkać w Ameryce, chyba że nie miałby innego wyjścia. Powiedział Judith prawdę, kiedy nazwał ten kraj największym wrogiem swojej ojczyzny na Zachodzie. Będzie w stanie tolerować Anglików.

Wiedział, że stać ich było na bezwzględność; podbój jednej szóstej świata przez mieszkańców małej wyspy nie byłby możliwy bez pewnej dozy szacunku dla nagiej siły.

Zaskakujące jest, na co stać człowieka w rodzaju Lodera, kiedy okoliczności zmuszą go do działania. Wielka Brytania nie jest wielkim mocarstwem i Anglicy są zbyt mądrzy, by udawać, że tak jest. To, co on ma do zaoferowania, powinno zadowolić ich w zupełności; tradycyjna rywalizacja między wywiadem brytyjskim a Cia stanowi gwarancję, że nie sprezentują go Amerykanom. Gdy tylko pomyślał o dezercji, przyszła mu na myśl Anglia. Może jakąś rolę odegrała w tym Judith Farrow. Był już niedaleko swojej ambasady, ale poczuł się zmęczony; zatrzymał się przy krawężniku czekając na wolną taksówkę. Wskoczył do środka i oparł się wygodnie. Ta dziewczyna zajmuje w jego życiu szczególne miejsce. Nigdy nie myślał o niej w związku ze swoją pracą. Potrzebował jej pomocy i w pełni z niej skorzysta, ale trzymał ją z dala od tspraw, które nie mają dla niej znaczenia ani nie wiążą się z tym, co ona dla niego znaczy.

Zawsze tak postępował; bardzo się starał oddzielić Elenę od świata polityki, w którym się poruszali, odciąć ją od swej pracy, zachować w życiu sferę prywatności, do której nie wolno było przeniknąć niczemu z zewnątrz. Ale ona się z tym nie godziła. Żadna para ludzi nie miała prawa do takiej intymności; równało się to agresywnemu kultowi jednostki.

Ludzie przenikali się nawzajem, ponieważ byli częścią państwa.

Nie można było dopuścić do związku wykluczającego ogólniejsze sprawy i obowiązki obywatelskie.

A Swierdłow właśnie pragnął takiego wyłączenia. Dzięki niemu mógł trzymać Judith w ramionach i żartować sobie z własnej sytuacji, strachu i niepewności z nią związanych. Ona była poza tym wszystkim i przez tych kilka minut spędzanych razem on także czuł się ze wszystkiego wyłączony. Była jedyną kobietą, jaką znał, przy której mógł istnieć jako osoba prywatna.

Dotarł do ambasady tuż przed dwudziestą trzecią. Jego powrót był pierwszym punktem raportu, jaki ludzie Stiukałowa zaczęli przygotowywać tego wieczoru.

Nie po raz pierwszy Loder przekroczył swoje kompetencje, ale tym razem nie miał wątpliwości, że nie spotka się ze sprzeciwem "góry".

Złapał samolot o dwudziestej trzeciej, w tym samym czasie, gdy Swierdłow przekroczył drzwi gmachu ambasady na Dziewięćdziesiątej Ósmej Ulicy, i spędził krótki lot jedząc kupiony na lotnisku czekoladowy batonik i robiąc notatki. Miał najważniejszego człowieka Kgb W Stanach Zjednoczonych. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście; jak gdyby tego było mało, szykowała się jeszcze premia, brylant ukryty w samorodku, czyli informacja prowadząca do ujawnienia sowieckiego agenta.

Szef Lodera określił nieznanego zdrajcę jako poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa mocarstw zachodnich; w tej chwili pracownicy wywiadów Nato obgryzali ze zdenerwowania paznokcie usiłując rozwiązać tę zagadkę. Żaden z nich nie miał pojęcia, kim on jest; wiedzieli jedynie, że ten zwierzak porusza się gdzieś w dżungli papierów i że natrafili na jego trop dzięki cudownemu zbiegowi okoliczności.

Swierdłow mógł dostarczyć dosyć informacji w postaci dokumentów, dowodów robiących największe wrażenie na przełożonych, które pomogą im osaczyć i ująć go.

Błękitny. Prawdziwy błękit. To może być jakiś ślad, choć niekoniecznie; Loder gotów był zgodzić się z Rosjaninem, że tylko Anglik wybrałby taki kryptonim. Z drugiej strony było to dość pokrętne wyjaśnienie, które przyszło do głowy Swierdłowowi, chociaż prawda mogła wyglądać inaczej, o wiele prościej. Może istnieje siatka używająca nazw kolorów do identyfikacji: "Błękitny" byłby wówczas jednym z nich. Może być jeszcze Zielony, Żółty, Brązowy... Odebrał swój samochód z parkingu na lotnisku w Waszyngtonie i pojechał prosto

do ambasady. Będzie tam nocna zmiana, na przemian śpiąca i grająca w remika do ósmej rano.

Remibrydż, gra, która wyszła z mody po okresie popularności podczas wojny, stał się wielkim przebojem wśród personelu ambasady. Wszyscy w nią grali.

Loder uważał ją za okropną. Sam grał jedynie w brydża. Poszedł do sekcji szyfrów i dał oficerowi dyżurnemu telegram do zakodowania i natychmiastowego wysłania do Londynu. Kiedy położył się do łóżka, wiedział, że próba zaśnięcia to strata czasu. Nie mógł przestać myśleć; jego umysł pracował na pełnych obrotach, jak jeden z mechanicznych samochodzików, jakie kupił synowi na Boże Narodzenie. Nalał sobie filiżankę specjalnej herbaty, napełnił wannę gorącą wodą i zanurzył się w niej. Szczęściarz Jack Loder. Ktoś nazwał go tak, gdy otrzymał pracę w Waszyngtonie. Nie mylił się.

W przeciwieństwie do większości przedsięwzięć wywiadowczych, które trwały tygodniami, a nawet miesiącami, to będzie zakończone za kilka dni. Oznacza to, że margines błędu zostanie ograniczony do minimum. Im dłużej coś takiego trwa, im więcej ludzi jest w to wpłątanych, tym większe niebezpieczeństwo przecieku i groźba, że ktoś po drugiej stronie coś wywaha. Przypomniał sobie historię pechowego agenta, który chciał przejść na ich stronę i zwrócił się z tą propozycją do ambasady w Ankarze. Wielka Brytania zwlekała z decyzją, aż przekazano sprawę szefowi wydziału stosunków brytyjsko_sowieckich w Msz. Tę funkcję pełnił wówczas Philby i owego Rosjanina nikt już więcej nie widział na oczy. On zamierza to rozegrać inaczej - wziął inicjatywę w swoje ręce i chociaż poprosił Londyn o potwierdzenie, będzie działał dalej nie czekając na odpowiedź.

Kiedy już będzie miał

Swierdłowa na pokładzie samolotu, najgorsze będzie za nim. Potem Wydział Specjalny zajmie się tym, by nic się nie stało. Kiedy znajdą się w Anglii, wszystko będzie proste.

Do tego czasu życie Swierdłowa nie będzie warte porcji kocich szczyń za pensa. To wulgarne określenie przyszło mu do głowy całkiem naturalnie. Kgb ucieknie się do wszelkich dostępnych sposobów, by uniemożliwić Swierdłowowi ucieczkę na Zachód; jedno podejrzenie, że pragnie zdezerterować, a zostanie zamordowany: w wypadku samochodowym, upozorowanym samobójstwie, wywołanym cyjankiem "ataku serca". Ale pułkownik wie o tym lepiej od innych. Z pewnością potrafi zadbać o swoje sprawy. Loder leżał w wannie oblewając brzuch gorącą wodą. Czuł radosne ożywienie; taka chwila sprawiała, że wszystkie minusy jego pracy okazywały się warte zachodu: porażki, nierozwiązane problemy, pytania pozostawione bez odpowiedzi. To wszystko trafiało do jego kartoteki, ale nie będzie się liczyć w porównaniu z jednym wielkim osiągnięciem: bezpiecznym dostarczeniem Fiodora Swierdłowa do Wielkiej Brytanii.

Rozdział ósmy

Fergus Stephenson udał się wraz z żoną na kolację w ambasadzie brytyjskiej; pojechali razem ich prywatnym rollsem; na tylnym siedzeniu Margaret, ubrana w białą suknię ozdobioną przepięknym wiktoriańskim naszyjnikiem, błyszczała u jego boku niczym przedstawicielka rodziny królewskiej. Wyglądała niezwykle dostojnie w wieczorowej sukni, której formalny charakter odbierał jej agresywną seksualność; nic nie sugerowało, że pod powłoką osoby z wyższych sfer, jaśniejącą niczym jej brylanty, żarzą się wściekłe ognie. Nie odezwała się do niego ani słowem od tego poranka, gdy cisnęła w niego zapalniczką. On starał się nie rzucać jej w oczy. Pracował jak zwykle, oddając się swoim obowiązkom z sumiennością wpojoną mu w dzieciństwie. Pogodził się, że czeka go okres psychicznej udręki, wiedząc, iż jest to cena, jaką żona każe mu zapłacić, i wyczuwając, że przedwczesne posunięcie z jego strony może przeważać szalę na jego niekorzyść. O ile już tak się nie stało, a przedłużająca się cisza nie jest jedynie dodatkowym znęcaniem się nad nim. Palił więcej niż zwykle; była to jedyna oznaka, że przeżywa jakiś kryzys. Kiedy zaproponował papierosa Margaret, potrząsnęła głową.

- Nie mam ochoty; i na Boga, bądź ostrożny, strzepnąłeś popiół na moją suknię!

- Przepraszam - powiedział

Stephenson. Samochód wypełniał zapach jej perfum: mocnych i zdecydowanych, doskonale pasujących do jej osobowości.

Często wspominała, że nie ma wielkiego pożytku z delikatnych woni kwiatowych; zbyt szybko się ulatniają. Miał ochotę otworzyć okno, gdyż nie znosił tego zapachu.

- Dzisiejszy wieczór powinien być dość ciekawy - odezwała się nagle jego żona. - Słyszałam, że brazylijski ambasador ma zamiar podać się do dymisji.

- Tak - potwierdził

Stephenson. - Tak głoszą plotki, ale oczywiście może to być nieprawda.

- Myślałam, że coś takiego powinno cię interesować - wyglądała przez okno mówiąc te słowa. - Czy nie zajmujesz się zbieraniem plotek, które mogą przypadkiem przydać się twoim przyjaciółom?

- Nie - powiedział cierpliwie.

Wiedział, że oto nadciąga wreszcie burza, ale nic nie czuł. Absolutnie nic.

- A więc interesujesz się jedynie sprawami najwyższej wagi?

- Właśnie.

- Co właściwie stałoby się, gdyby pośliznęła ci się noga?

- To samo, co z innymi. Chyba że przedtem zdążyłbym zwiać.

Od szofera oddzielała ich szklana przegroda. Na wszelki wypadek jednak nachylił się, sprawdzając, czy nie ma w niej szczeliny.

- Nie wyobrażam sobie ciebie w jakimś koszmarnym małym mieszkaniu w Moskwie, chociaż, jak przypuszczam, to lepsze niż cela w Pentonville.

- Mogę wiedzieć, którą z tych możliwości uznałaś za bardziej odpowiednią dla mnie?

Odwróciła się do niego. Ku jego zdumieniu jej twarz przepełniało uczucie.

- Wybrałam to, co jest dobre dla mnie. Na Boga, Fergus, ucieszyłabym się, gdyby spotkało cię to, na co sobie zasłużyłeś.

Ostatnie dwa dni spędziłam chodząc w kółko po pokoju i usiłując coś postanowić. W końcu się zdecydowałam; złamałaś mi życie - żeniąc się ze mną, wiedziałeś, że jesteś pedalem; nigdy nie zapomnę dnia, w którym opowiedziałeś mi o swoim romansie w Cambridge. Do końca życia będę pamiętać, jak się wtedy poczułam. Może dlatego przyjęłam spokojnie tę nową rewelację. Nic nie może być dla mnie gorszego od tamtego wieczoru, gdy rozczulałeś się nad sobą opowiadając mi o tym, jak cię uwiedziono. Wiele mogłam ci wybaczyć, ale nie to. Nigdy.

Teraz po dwudziestu latach, gdy dzieci są już dorosłe, a nasze życie ustabilizowane, po tylu latach mieszkania w okropnych miejscach i przebijania się z kiepskich posad w zapadłych dziurach na coraz bardziej znaczące pozycje, gdy wreszcie kroi się nam jakaś główna ambasada - teraz ty oznajmiasz mi, że zajmujesz się czymś, co może temu wszystkiemu zagrozić.

Mogłabym cię zniszczyć, Fergus, i nawet przez chwilę nie myśl, że nie chciałabym tego zrobić!

Pragnę, byś gnił w więzieniu do końca życia. Gdyby to, co robisz, było karane śmiercią, z przyjemnością ujrzałabym cię na szubienicy. Takie żywię do ciebie uczucia. Ale jestem z tobą związana; jeśli tobie powinie się noga, pociągniesz mnie za sobą, a ja, do wszystkich diabłów, nie mam zamiaru się pogrążyć.

Otworzyła torebkę i wyjęła z niej chusteczkę; oczy miała suche, ale przytknęła ją do ust nerwowym gestem.

- Zapracowałam sobie na nagrodę. Przez całe życie pomagałam ci w karierze, ponieważ chciałam znaleźć się na szczycie. Chcę dostać ambasadę; dla siebie, nie dla ciebie. I dopilnuję, by ją uzyskać.

- Rozumiem. - Nadal nic nie czuł; zupełnie jakby znajdował się pod znieczuleniem. - A więc postanowiłaś nic nikomu nie mówić. Dziękuję ci, Margaret.

- Nie waż mi się dziękować! -

Jej twarz znalazła się nagle blisko jego ust i poczuł jej oddech. Miał wrażenie, że rzuci się na niego wbijając mu zęby w tchawicę. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego podświadomego lęku.

- Nie waż się tego mówić! Czy nie rozumiesz? Pozwoliłabym cię ukrzyżować, gdyby nie czekało mnie to samo! Robię to dla siebie, w trosce o własne interesy. Dla siebie i dla dzieci. Zawsze twierdziłaś, że brak mi uczuć macierzyńskich; otóż wiedz, że mam je, gdy chodzi o taką hańbę! Nikt się nie dowie, ale od dzisiaj przestaniesz się tym zajmować, słyszysz mnie? Rezygnujesz z tej pracy, bo inaczej cię złapią. Ja cię przyłapałam, a to znaczy, że zapominasz o ostrożności. Musisz mi to obiecać, Fergus. Dasz mi słowo honoru, że nie będziesz już tego robił.

- Nie mogę ci obiecać, że zrezygnuję. Mogę jedynie spróbować.

- Dobrze, spróbuj. I lepiej, żeby ci się udało. Jesteśmy na miejscu. Czy to nie zajęczają Patersonowie?

- Tak - przyznał. Wciąż był odrętwiały, ale zaczynał odczuwać zmęczenie i ból w kończynach. - Czy ona nadal należy do grona twoich protegowanych?

- Lubię ją. On jest straszną świnią; uważam, że ona potrzebuje kogoś, kto by ją wspierał. Wiem, że ja chciałabym mieć kogoś takiego.

- Ty nigdy nikogo nie potrzebowałaś. Od urodzenia byłaś silna i wszystko wytrzymałaś.

- Musiałam taka być. A teraz rzeczywiście jestem twarda jak kamień. Przynajmniej to ci zawdzięczam.

Kiedy szofer otworzył drzwi,

Margaret wysiadła unosząc jedną ręką fałdy swej długiej sukni; razem z Fergussem weszła po kilku schodkach do imponującego gmachu ambasady, ocienionego wysokimi drzewami derenia i dyskretnie oświetlonego. Prezentowali się tak dostojnie, że można by ich uznać za statystów w hollywoodzkim filmie.

Rachel Paterson starała się jak mogła podtrzymać rozmowę z Brazylijczykiem, który stał po jej lewej stronie. Nie przychodziło jej to łatwo, ponieważ cały czas miała uwagę skupioną na Richardzie; uśmiechem i półsłówkami odpowiadała na uprzejme pytania dotyczące czasu trwania jej pobytu w Waszyngtonie, tego, kiedy spodziewa się dziecka i tym podobnych banałów. W gruncie rzeczy jednak obserwowała męża, który rozmawiał z prześliczną południowoamerykańską dziewczyną, żoną chilijskiego attach~e do spraw lotnictwa.

Piękność ta śmiała się, ukazując olśniewająco białe zęby i świdrując jej męża swymi czarnymi oczami, jedną szczupłą dłonią dotykając lewej piersi, według Rachel nieprzyzwoicie obnażonej. Od pewnego czasu stała się zazdrosna. Kiedy wrócił z Nowego Jorku, była spokojna i pozornie pogodzona z wyjaśnieniem powodów nagłego wyjazdu. Ale gdy go nie było, leżała nie mogąc zasnąć i popłakując; telefon nieznanym zdenerwował ją. Jednak Richard przysiągł, że nic nie było, że nawet się nie pocałowali. Ale teraz Rachel przyglądała mu się tak, jak nigdy przedtem, zwłaszcza gdy znajdował się w towarzystwie kobiet, i widziała go w zupełnie nowym świetle.

Uśmiechał się teraz do swojej rozmówczyni; wydawał się rozbawiony i ożywiony, a kobieta odsłaniała pełnię swych wdzięków przed umięjącym je docenić mężczyzną. Rachel próbowała coś przekąsić, ale miała wrażenie, że brzuch jej spuchł i nie była w stanie nic przełknąć. Sięgnęła po kieliszek z winem i wypła parę łyków, zmuszając się do zainteresowania swoimi towarzyszami stojącymi po obu jej stronach, tak by nie patrzeć na męża, który flirtował z tą półnągą czarną małpą o kilka kroków od niej... Chociaż normalnie nie piła, Rachel pozwoliła kamerdynerowi wciąż napełniać swój kieliszek podczas kolacji. Gdy wraz z żonami innych dyplomatów udała się śladem małżonki gospodarza na górę, czuła

jakby poruszała się w lekkiej mgle. W ogromnym buduarze wypełnionym absurdalnymi meblami i lustrami w pozłacanych ramach w stylu Rio de Janeiro opadła na atlasowe krzesło i zaczęła grzebać w torebce. Czuła się rozbita emocjonalnie, jakby miała za chwilę skompromitować się przed innymi kobietami i wybuchnąć płaczem.

- Nie czujesz się dobrze?

Podniosła wzrok i ujrzała, że stoi nad nią Margaret Stephenson. Chociaż różnica wieku między nimi wynosiła piętnaście lat, Rachel traktowała żonę pierwszego sekretarza jak zastępczą matkę.

- Nie, pani Stephenson. Bardzo mi przykro. Za chwilę mi przejdzie.

- Tam jest jeszcze jedna sypialnia. Proszę iść za mną; będziesz mogła na chwilę się tam położyć.

Rachel poszła za nią posłusznie. W pokoju stało wielkie łóżko z baldachimem podpieranym przez obrzydliwe hiszpańskie amorki trzymające w dłoniach szyfonowe zasłony.

- Proszę unieść nogi do góry - poradziła jej Margaret. - Dobrze wiem, jak fatalnie czuje się kobieta w tym stanie. Nie martw się, za chwilę poczujesz się lepiej.

Rachel ułożyła się wygodnie, kładąc nogi na poduszce. Kręciło się jej w głowie od alkoholu. W oku zabłysła wielka łza spływając po policzku.

- Nie jestem pijana - powiedziała. - Po prostu czuję się tak nieszczęśliwa, to wszystko.

Starsza kobieta usiadła na łóżku obok niej i wyjęła swoją chusteczkę. - Proszę. A teraz należałoby usiąść, moja droga. O właśnie. Co się stało?

- Chodzi o Richarda i mnie - wyrzuciła z siebie gwałtownie. - Jestem taka nieszczęśliwa. Nie wiem, co robić. Och, pani Stephenson. Nie powinnam pani o tym mówić, Richard byłby wściekły! Obawiam się, że wypłam trochę za dużo wina podczas kolacji. To dlatego tak się rozkleiłam. Proszę pozwolić zostać mi tu jeszcze trochę. Za kilka minut zejść na dół. Czuję się okropnie! Nie powinnam była nic pani mówić.

- Ależ przeciwnie - zaprzeczyła Margaret. - Nikomu o tym nie powiem, a może będę w stanie pomóc, moja droga. Proszę wpaść do mnie jutro na obiad - nie, niech to licha, na obiad jestem zaproszona do żony senatora - proszę przyjść jutro na kawę, o dziesiątej trzydzięci rano. Wszystko mi wtedy opowiesz. I nie martw się - twój mąż niczego się nie dowie.

Nachyliła się i ścisnęła rękę młodej kobiety. Czuła, że jest jej ona bliższa od własnej córki. Gdyby zastanowiła się nad tym choć trochę, zrozumiałaby, że kieruje nią nie tyle chęć opieki nad Rachel, co pragnienie dopieczenia jej mężowi i wszystkiemu, co on sobą reprezentuje. Paterson należał do facetów, którzy doprowadzali ją do szału. Chociaż seksualnie była od nich uzależniona, nienawidziła mężczyzn.

Nienawidziła ich w osobie swego męża, który tak ją upokorzył, czyniąc z niej emocjonalną kalekę i niszcząc jej poczucie pewności siebie przyznaniem się, że woli kochać się z osobnikami własnej płci. Nienawidziła mężczyzn, których czyniła swymi kochankami, ponieważ fakt, że ich potrzebuje, potwierdzał jej klęskę jako żony. Nienawidziła Richarda Patersona, ponieważ zdawała sobie sprawę, że oto spotkała osobowość podobną do swojej. Trafiła kosa na kamień i wcale nie było to Margaret w smak. Czuła, jakby jego sympatyczna, głupiutka małżonka, która najwidoczniej ją podziwiała i szukała w niej wsparcia, była jej przedłużeniem, przedstawicielką wszystkich kobiet będących ofiarami męskiej agresji i impotencji.

- Zostań tu, moja droga.

Powiem ambasadorowej, że nie czujesz się najlepiej i pokojówka sprowadzi cię na dół za jakieś dwadzieścia minut. Mąż zabierze cię do domu. I głowa do góry. Oczekuję cię jutro o dziesiątej trzydzięci. Nie kładź się ponownie, moja droga, będzie ci się tylko jeszcze bardziej kręcić w głowie. - Położyła jej poduszkę pod głowę.

- O tak. Siedź tu spokojnie, aż ktoś po ciebie przyjdzie.

Ambasadorowa z pewnością cię zrozumie. Ma dziewięć dzieci, więc powinna wiedzieć, jak to jest.

Kiedy zeszła na dół, Richard już czekał. Wbrew jej obawom nie okazał niezadowolenia, że musi wcześniej wyjść z przyjęcia. W drodze samochodem do domu trzymał ją za rękę. Postanowiła znaleźć jakąś wymówkę i nie iść jutro rano do Margaret, kiedy on napomknął, że zaprosił chilijskiego attach~e z małżonką na kolację w przyszły weekend.

Rachel rzuciła mu w ciemności pytające spojrzenie, ale siedząc za kierownicą wpatrywał się w drogę przed nimi.

- Jest atrakcyjna, prawda?

- Niesamowicie - przyznał. - W dodatku potrafi być bardzo zabawna.

- Myślałam, że wypadną jej cycki.

- Gdyby tak się stało, byłoby o czym mówić.

O dziesiątej rano następnego ranka Rachel była w drodze do domu Stephensonów na Kalorama Road.

- Co się, do diabła, z tobą dzieje, Judy? Słyszałam, jak szłaś do kuchni o czwartej rano, a o szóstej już byłaś na nogach.

Wyglądasz tak, że mogłabyś się wynajmować do straszenia dzieci!

Nancy wybrała śniadanie, które obie kobiety jadły razem, jako czas, kiedy Judith nie uda się jej uniknąć i pod jakimś pozorem wyjść z domu. Mówiła prawdę:

Judith wyglądała mizernie z powodu braku snu. Na jej twarzy widoczna była troska, a dzień spędzała w chmurze papierosowego dymu. Nancy, wyszorowana i różowa jak nastolatka z reklamy dezodorantu, obserwowała ją z niepokojem. Była atrakcyjną, pełną życia i energii blondynką, ale jej spojrzenie było twarde jak kamień.

- Nie mogę spać - wyjaśniła

Judith. - Poproszę o kawę.

- Znowu się wplątałaś w jakiś nieudany romans, nie? - Nancy podała jej filiżankę i naalała kawę. - O kogo tym razem chodzi?

- Nie znasz go i nie chodzi o kłopoty, jakie miałam poprzednio. Martwię się tylko o niego, ale wszystko się ułoży.

- Ulży ci, gdy mi wszystko opowiesz - zaproponowała Nancy.

- Nie dość, że pozbawiasz siebie snu, to zakłócasz mój. Kiedy zaczniesz chodzić w kółko po pokoju, budzisz mnie.

- Przepraszam. To nie potrwa długo, zapewniam cię.

Zapaliła papierosa; kawa była mocna i gorzka. Nancy miała prawo narzekać; jako lojalnej przyjaciółce, która pomogła jej wtedy, gdy najbardziej potrzebowała przyjaźni i zrozumienia po zerwaniu z Richardem, winna jej była wyjaśnienie. Pokusa, by opowiedzieć jej o Swierdłowie była bardzo silna. Nancy była niesamowicie twarda i miała realistyczne podejście do życia, dzięki czemu potrafiła udzielić prostych odpowiedzi na pytania, które Judith wydawały się niezwykle skomplikowane. Ale tym razem chodziło o coś więcej niż tylko osobiste kłopoty związane z mężczyzną. Chodziło o szansę Swierdłowa na ucieczkę przed jego ludźmi. Chociaż niektóre strony tego problemu traktował jak żart, znała go dość dobrze, by wiedzieć, że to po prostu charakterystyczna cecha jego osobowości, podobnie jak u Richarda niezdolność do widzenia siebie i wszystkiego, co z nim było związane, w kategoriach innych niż śmiertelnej powagi.

Swierdłow umrze uśmiechając się drwiąco z Przeznaczenia.

Wiedziała jednak, że nie przesadzał opowiadając o swoim zagrożeniu i braku czasu na szukanie wyjścia. Nie było właściwie powodu, by nie opowiedzieć Nancy co nieco o

niezwykłym Rosjaninie i w ten sposób pozbyć się choć trochę niepokoju, który odbierał jej sen i wystawiał cierpliwość Sama Nielsona na ciężką próbę. Ale jeśli logika dyktowała jej coś innego, pozostawał instynkt, który radził nic nie mówić nikomu poza Loderem.

- Może będę w stanie ci jakoś pomóc - zachęcała ją do zwierzeń Nancy.

Judith potrząsnęła głową. -

Nie, dziękuję. I nie przejmuj się mną, Nancy, wkrótce pozbieram się. Może pewnego dnia spotkam jakiegoś sympatycznego prostodusznego faceta.

- Też mi coś! - rzuciła

Kanadyjka. - Jesteś urodzoną ofiarą, moja droga. Nie możesz tego robić bez miłości, prawda?

- Mylisz się. Ja go nie kocham.

- Och, na Boga! - Nancy wstała od stołu. - Możesz oszukiwać samą siebie, ale mnie nie nabierzesz! - Wychodząc z kuchni trzasnęła drzwiami.

Swierdłow wrócił do

Waszyngtonu. Wszedł do swego biura i zabrał się do pracy; wezwał Annę Skriabin chcąc jej coś podyktować; usiadła przy jego biurku dyskretnie odsłaniając kolana. Kazano jej zwrócić uwagę na jakiegokolwiek oznaki czegoś niezwykłego, ale nic nie mogła dostrzec poza tym, że wyglądał na bardzo zmęczonego. Schudł na twarzy, policzki miał zapadnięte, a pod oczami pojawiły się fioletowe cienie.

- Napijcie się teraz herbaty, towarzyszu Swierdłow? - Podniósł głowę i uśmiechnął się. Nie znosił jej łagodnego, gardłowego głosu i rzucanych znad notatnika kuszących spojrzeń. Kiedy na nią patrzył, przypominał mu się Kalinin - pracowali razem przez trzy lata; podziwiał i lubił swego sekretarza za jego prawy charakter. Ten młody człowiek należał do nowego pokolenia obywateli radzieckich; jego umysł zdolny był do niezależnego myślenia, odrzucał dogmat o konieczności krwi i terroru jako środkach mających zbawić ludzkość.

Pamiętał Kalinina takiego, jakim widział go ostatnim razem, gdy przygotowywał się do podróży na Barbados, i myślał, jak on teraz musi wyglądać; pewnie przypominał połamaną kukielkę porzuconą w celi na Łubiance i utrzymywaną przy życiu wyłącznie po to, by pociągnąć za sobą do grobu Swierdłowa.

- Tak, proszę przynieść herbatę. Muszę napisać list do żony.

- Wyglądacie na zmęczonego - zaryzykowała Skriabin. - Mam nadzieję, że w domu nic się nie wydarzyło.

- Nowy Jork to męczące miasto.

- Swierdłow przeciągnął się i przyglądał się jej z niechęcią.

- Najgorsze jest kochanie się z pięknymi kobietami, które nie mogą się zdecydować. Powiedzcie mi, Anno, czy uważacie, że kobiety łatwo jest przekonać?

- Nie wiem. To zależy.

- Od czego zależy? - Jego oczy wędrowały po jej ciele; miała wrażenie, jakby po raz pierwszy dostrzegł ją jako kobietę i poczuła się nieswojo, a nawet trochę się przestraszyła.

Podczas szkolenia i wykonywania swych obowiązków przespała się z wieloma facetami, ale myśląc o Swierdłowie czuła strach.

- To zależy od kobiety i o czym chce ją pan przekonać - jej twarz nabrała kolorów i wyglądała bardzo ładnie. Kalinin nie wytrzymałby porównania z nią. Teraz pewnie waży nawet mniej od niej.

- O tym, że ją kocham. To wszystko. Ale kiedy kobieta w to uwierzy, zrobi wszystko, czego zapragnie mężczyzna, prawda?

- Tak. Myślę, że tak,

- To dobrze - Swierdłow uśmiechnął się krzywo; dziewczyna rozchyliła usta ukazując zęby i przez chwilę widać było jej różowy język.

- A więc moja przyjaciółka w

Nowym Jorku wkrótce da się przekonać. A ja będę mógł się wreszcie wyspać. Będę też mógł pojechać do domu.

Przyniosła szklankę herbaty i chciała wyjść z gabinetu i czekać, aż ją wezwie. - Anno, rozmyśliłem się; wyślę do żony telegram. Zaniesiecie go do szyfranta.

Jakiś impuls kazał mu zrezygnować z listu; upłynie zbyt dużo czasu, zanim Elena go otrzyma, nawet pocztą lotniczą, a dodatkowe opóźnienie nastąpi, ponieważ Golicyn każe go otworzyć przed wysłaniem. Za wszelką cenę nie może dopuścić, by w głowie starego szczwanego lisa zrodziło się podejrzenie, że chce uniknąć wyjazdu do Rosji.

Podyktował treść depechy

Annie, która wyszła z nią z gabinetu. Pomyślał, że pewnie chce szybko wykonać kopię. Ujął sprawę krótko i, miał nadzieję, przekonująco.

"Obowiązki spowodują opóźnienie mego przyjazdu o kilka dni. Proszę, poczekaj z wnioskiem o rozwód do mojego powrotu. Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Twój jak zwykle kochający mąż." Powinno to zadowolić Golicyna i, co ważniejsze, powstrzymać długie ramię Paniuszkina, by nie wyciągnęło się nagle i nie wyrwało go stąd siłą.

Poinformowano go o podróży generała do Nowego Jorku; świadczyło to jedynie o tym, jak uważnie jest obserwowany; uwierzył w możliwość, że naprawdę znajduje się pod ścisłym nadzorem. Dopóki jego kontaktem będzie Judith, ma doskonałe alibi; miał zamiar wzmocnić je dodatkowo, przedstawiając Golicynowi fikcyjny plan, dzięki któremu będzie miał wolną rękę, by oddać się pod opiekę Lodera.

Pomyślał nagle, że stres, jaki dawał mu się we znaki od dłuższego czasu, nerwowe napięcie, zawody i tłumione wybuchy irytacji i cynizmu, których kulminacją była decyzja wyjazdu do Indii Zachodnich, udało mu się wreszcie dobrze spożytkować. Jego umysł pracował z prędkością i precyzją, na jakie od wielu miesięcy nie mógł się zdobyć. Żył w wielkim napięciu, ale organizm zmobilizował się, by mu sprostać; pomysłowość i błyskotliwość, dzięki którym wspiął się na wysokie stanowisko w Kgb pracowały teraz przeciw jego macierzystej organizacji w walce o jego własne życie.

Podczas wakacji na wyspie nazwał się w rozmowie z Judith człowiekiem, któremu udało się przetrwać. Była to wtedy próba ucieczki przed jakimkolwiek prawdziwym zaangażowaniem. Ale teraz przetrwanie nabrało nowego, ostrzejszego znaczenia.

Wiązała się z nim intensywna wściekłość wywołana wypadkami, które zwróciły się przeciwko niemu: losem Kalinina, kierunkiem, w jakim zmierzał jego naród żądając od wielu wybitnych ludzi poświęcenia życia i wolności w swojej służbie. Na innym poziomie żywił głęboką nienawiść do Tomarowa, który udawał przyjaźń jednocześnie namawiając go do powrotu; Nie cierpiał gorzkiego fanatyzmu swej żony, bardziej oddanej politycznej idei niż mężczyźnie, za którego wyszła za mąż; upartej wrogości Golicyna; słodkiego fałszu Anny Skriabin.

Sprawiedliwość dla słabych nie istniała; nie było żadnych wskazówek postępowania dla ludzkości poza logiką oportunistyczną. To wszystko również powiedział wtedy Judith i rzeczywiście tak uważał, o ile można było z przekonaniem mówić o podobnych abstrakcjach.

Intelekt podpowiadał mu, że to prawda; teraz dane mu było odczuć ukąszenie tej prawdy w życiu. Nie będzie dla niego sprawiedliwości; został skazany poprzez to, że stał się podejrzanym. To także już powiedział: wahadło ruszyło w drugą stronę, ale podobnie jak koszmarny przyrząd w opowiadaniu Poego, miało krawędź ostrą niczym brzytwa. Oportunizm wymagał, by uchylił się przed jego morderczym zamachem kosztem patriotyzmu. Musiał zapłacić cenę, jakiej sobie nigdy nie wyobrażał. I kryła się za tym jeszcze jedna ironia, którą doceniłaby Judith. Polegała ona na tym, że brak sprawiedliwości i reguła przetrwania, narzucająca ludziom zdradę, dawały mu prawo zdradzenia swoich rodaków i szukania szczęścia u nieprzyjaciół.

Koniec tygodnia spędził na układaniu ewentualnych planów oddania się pod opiekę organizacji Lodera. Najprostsze byłoby wejście do gmachu ambasady brytyjskiej i poproszenie o azyl polityczny.

Mając łąpówkę w postaci dokumentów przekazanych Rosjanom przez "Błękitnego", Brytyjczycy zgodziliby się pewnie udzielić mu go i nieśliby dyplomatyczną burzę i radzieckie protesty, jakie nastąpiłyby po odmowie wydania go z powrotem. Po namyśle doszedł jednak do wniosku, że jedna sprawa czyniła z najłatwiejszego rozwiązania najbardziej niebezpieczne. Jeśli jest obserwowany, nigdy nie pozwoli mu dotrzeć w pobliże zachodniej ambasady. A im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej był przekonany, że Golicyn podczas swej wizyty w Nowym Jorku napuścił na niego szpicli. On sam postąpiłby tak samo w podobnych okolicznościach. Wydałby także rozkaz natychmiastowego zamordowania podejrzanego, gdyby ten zdradził zamiary szukania azylu politycznego u nieprzyjaciela. Generał zapewne kierował się podobną zasadą.

Nie mógł więc mieć nadziei na bezpośrednie dotarcie do Brytyjczyków; gdyby jego ludzie wiedzieli, dokąd udał się w poszukiwaniu ochrony, szanse wyśledzenia go i zamordowania byłyby o wiele większe. Aby wydostać się z Usa, musiał zdobyć czasowe wyprzedzenie - dzień lub jeszcze lepiej dwa, które wystarczyłyby ludziom Lodera na umieszczenie go gdzieś, gdzie Kgb nie mogłoby dotrzeć przed nimi. Ponieważ doskonale znał sprawność swojej własnej organizacji, ważne było uchronienie się przed najmniejszym błędem i zminimalizowanie ryzyka, nawet za cenę posądzenia o tchórzostwo. Jego myślenie biegło dwutorowo: był jednocześnie ścigającym i ściganym. Tylko w takim wypadku miał szanse uniknąć działań, które zostaną przeciw niemu podjęte. A podczas długiej poprzedniej nocy znalazł wyjście, które mogło dać mu potrzebny czas.

Zadzwoił do biura Golicyna i zapowiedział, że zjawi się u niego za pięć minut.

Stwierdził, że stary generał jeszcze się postarzał; wyglądał jakby się skurczył, nawet gdy powstał na powitanie Swierdłowa, proponując mu herbatę lub whisky, którą pułkownik pijał - jak wszyscy wiedzieli - bez względu na porę dnia. Swierdłow zdecydował się na whisky; pił niewiele od chwili powstania kryzysu. Nie powinien jednak okazać żadnych odstępstw od przyjętych zwyczajów. Wziął szklaneczkę i uśmiechnął się krzywo do generała.

Golicyn był pełen szacunku; tego ranka jego wrogość wydawała się dobrze skrywana, jak gdyby starał się nie wzbudzić żadnych podejrzeń swego szefa.

Przez kilka minut rozmawiali o wewnętrznych sprawach ambasady, po czym Swierdłow powiedział spokojnym tonem: - Osiągnąłem kryzys w stosunkach z panią Farrow.

- O, wielka szkoda. Myślałem, że zdecydowała się już na współpracę.

- O tym będziemy mogli mówić, gdy przyniesie pierwsze dokumenty - stwierdził Swierdłow. - Mówiłem, że zdaje mi się, iż już ją mam, ale wciąż jest jeszcze jeden most, który trzeba przekroczyć, oddzielający ją od naszej strony. Jest w tej chwili dosyć romantycznie usposobiona. Będę musiał poświęcić jej następny weekend i spróbować pomóc jej przekroczyć ten mały most. Uwodzenie to ciężka praca, generale.

- Jestem za stary, by to pamiętać, ale sądzę, że ma to swoje plusy.

- W innych okolicznościach potrafiłbym je docenić, ale nie teraz. Musiałem zadepeszować do żony i poprosić ją, by jeszcze poczekała.

- Rozumiem - powiedział generał. - Nielatwo jest wybierać.

- Dla mnie wybór jest prosty: najpierw obowiązek - rzucił ostrym tonem Swierdłow. - Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ta kobieta ma dostęp do najtajniejszych raportów na temat wszystkiego, co Nielson robi w Onz. On nie ma przed nią żadnych tajemnic; sama mi to powiedziała. Pani Farrow ma nawet klucze do sejfu; tak bardzo jej ufa. Zajmuje się jego służbową i prywatną korespondencją. A Nielson utrzymuje stosunki towarzyskie z prezydentem i połową senatorów.

Ona mogłaby stać się jednym z naszych najważniejszych agentów w tym kraju. Znacze to stare przysłowie - kobiety i konie trzeba często ujeżdżać i zmuszać do pracy. Gdybym zostawił teraz tę dziewczynę samej sobie i zajął się własnymi sprawami, moglibyśmy ją stracić na zawsze.

Wystarczy jeden tydzień, by przekonać ją, że robi to z miłości i ktoś inny mógłby ją przejąć na tydzień lub dwa. Po tym weekendzie powinienem od niej otrzymać kopię notatek Nielsona na temat brazylijskich planów obrony przybrzeżnej.

Wtedy ona nie będzie już mogła się wycofać.

- Czy zdecydowaliście, kto zostanie jej opiekunem podczas waszej nieobecności?

Niebezpieczne będzie pozostawienie jej bez kontaktu nawet na kilka dni. Na kobietach nie można polegać tak jak na mężczyznach; trzeba się nimi stale zajmować, aż przyzwyczają się do tego, co robią.

- Czy chcecie zaproponować kogoś, kto mnie zastąpi do czasu mojego powrotu? - zapytał Swierdłow.

Golicyn zawahał się. Wybrał do tej roli Stiukałowa nie tylko dlatego, że chciał go nagrodzić za śledzenie Swierdłowa; wiedział, jakie znaczenie ma zastąpienie pułkownika facetem towarzyskim i atrakcyjnym, któremu uda się oczarować Judith Farrow. Nie będzie to łatwe, ale uważał, że Stiukałow sprosta temu zadaniu. Dwa lata temu poderwał on pewną kobietę w Hadze, miał z nią romans, a później ją szantażował.

Pracowała dla radzieckiego wywiadu przez półtora roku, aż wpadła i została skazana na wiele lat więzienia. Zanim do tego doszło, Stiukałow został przeniesiony i jego związek z tą sprawą nigdy nie wyszedł na jaw, ponieważ dziewczyna знаła go pod innym nazwiskiem.

- Co byście powiedzieli na

Grigorija Stiukałowa? Jest ulubieńcem pań - mógłby podtrzymać związek z panią Farrow do waszego powrotu.

- Prowadzenie jej pozostawiam wam. I wy będziecie odpowiedzialni za podtrzymanie z nią kontaktu podczas mojej nieobecności. Wy i Stiukałow.

Jeśli ona go polubi, będzie mógł całkowicie przejąć ode mnie opiekę nad nią, ale w tych sprawach pośpiech nie jest wskazany.

- Nie - zgodził się Golicyn. -

Cierpliwość przede wszystkim.

Mam nadzieję, że uda się wam przekonać Elenę Maksymownę, by zrezygnowała z rozwodu. To wspaniała kobieta; szkoda byłoby ją utracić.

- Nie mam zamiaru do tego dopuścić. Kiedy już będę miał panią Farrow w garści, ruszam na spotkanie z żoną. Być może przywiozę ją ze sobą.

- Mam nadzieję, że tak się stanie - powiedział generał. W kieszeni munduru miał przepisana przez Annę kopię telegramu do Eleny. Jak dotąd w postępowaniu pułkownika nie było żadnych podejrzanych sprzeczności.

Zachciało mu się weekendu z tą

Angielką. Żaden problem, można obserwować ich oboje. A później będzie musiała przyzwyczać się do Stiukałowa, ponieważ z pewnością nigdy już nie zobaczy Fiodora Swierdłowa.

Swierdłow wrócił do swego gabinetu; w sekretariacie siedziała Anna Skriabin i pisała na maszynie. Kiedy wszedł, podniosła wzrok i uśmiechnęła się; odwzajemnił jej uśmiech i gestem nakazał, by nie przeszkadzała sobie. Nie potrzebował jej w tej chwili. W swoim pokoju otworzył szufladę biurka i wyjął sprawozdania, które nadeszły dzisiaj rano.

Złożył je i wsunął do kieszeni.

Zapalił papierosa, zaciągając się głęboko. Golicyn zaakceptował jego wyjaśnienia.

Znał dobrze starego generała; w ciągu ostatnich kilku miesięcy obserwował go uważnie. Był przebiegły i wbrew powszechnej opinii o jego zdolnościach, nie był wcale głupcem.

Jednocześnie postępował według pewnego schematu charakterystycznego dla swego pokolenia, nauczonego myśleć i działać w określony sposób. Emanowała z niego pewność i zadowolenie z siebie, których nie mógł ukryć, ponieważ nie był ich świadomy. Był przekonany, że ma Swierdłowa w garści; do tego stopnia, że poczynił kroki, by jeden z jego protegowanych przejął Judith Farrow i kontynuował pracę rozpoczętą przez Swierdłowa.

Zaproponowanie Stiukałowa jako

"osoby prowadzącej" potwierdziło to. Stiukałow należał do ulubieńców generała, który zadawał sobie trud, by pisać odpowiednie wnioski i dopilnowywać, aby otrzymywał stanowiska gwarantujące mu awans.

Chociaż Stiukałow był młody, nieprzejednaną postawą do złudzenia przypominał generała - był urodzonym twardogłowym.

Swierdłow zgasił papierosa.

Wyszedł z gabinetu zatrzymując się przy biurku Anny Skriabin w sekretariacie.

- Jesteś zajęta?

- Tak, towarzyszu Swierdłow.

Czy jestem wam potrzebna?

- Nie w tej chwili. - Spojrzał na nią, a ona popatrzyła w górę, z wahaniem i niepewnością w oczach. - Wyjeżdżam na weekend.

Wrócę w poniedziałek, a potem pojadę do domu. Czy coś wam przywieźć?

Naprawdę zarumieniała się. - To bardzo miło z waszej strony, towarzyszu pułkowniku, ale nic nie przychodzi mi do głowy.

- Wkrótce wrócę - za tydzień, dziesięć dni. Może wtedy zjedlibyśmy razem kolację?

Miałaby pani ochotę?

- Tak. Z przyjemnością.

- Dobrze. Spędzimy razem miły wieczór. Bardzo się z tego cieszę. - Wyszedł z sekretariatu i pojechał windą dwa piętra w górę do archiwum. Gdy wszedł, wszyscy poderwali się na równe nogi. Szef tej sekcji pospieszył w jego stronę.

- Poproszę o kartotekę

"Błękitnego", numer dwadzieścia trzy. - Sejf zawierający najtajniejsze akta mógł zostać otwarty wyłącznie na polecenie jego albo Golicyna. Nawet ambasador potrzebował podpisu jednego z nich, by móc doń zajrzeć.

- Nie muszę podpisywać, ponieważ nie chcę jej wziąć na górę; chcę tylko coś sprawdzić na miejscu. - Szef archiwum schował książkę wypożyczeń i poszedł otworzyć sejf. Swierdłow udał się tam za nim. Wziął akta oznaczone numerem dwadzieścia trzy i otworzył je. Spędził trochę czasu czytając ostatni raport "Błękitnego". Urzędnik oddalił się, ale był ciągle w zasięgu wzroku. Swierdłow miał czas. Dokumenty, które przyniósł ze sobą, znajdowały się w kieszeni kurtki. Stał trzymając otwartą teczkę w jednej ręce, a drugą wsunął do kieszeni.

- Poproszę jeszcze o numer dwadzieścia dwa.

Zamienili się teraz miejscami.

Urzędnik znajdował się przed nim, wyjmując wcześniejsze akta.

Było ich łącznie dwadzieścia trzy, każde w osobnej teczce; zawierały wszystkie najwyższej wagi informacje przekazane przez "Błękitnego" w ciągu ostatnich trzech lat. Prawą ręką Swierdłow wyjął papiery z teczki i zgiął je na pół, a lewa trzymała już dokumenty wyjęte z kieszeni.

Zamiana odbyła się w ułamku sekundy. Kiedy szef archiwum odwrócił się, Swierdłow znajdował się w takiej samej pozycji jak przedtem, z jedną ręką w kieszeni, z otwartym skoroszytem w drugiej. Zamknął go i podał urzędnikowi.

- Chwileczkę, to też możecie już zabrać. - Przejrzał szybko teczkę numer dwadzieścia dwa, zatrzymał się na jednej stronie, zmarszczył brwi, wymamrotał "Aha", jakby znalazł to, czego szukał, i oddał ją urzędnikowi.

Czekał, aż ten włoży papiery do sejfu i zamknie drzwi.

- Może jednak powinienem podpisać - zaproponował Swierdłow. Znajdował się już przy drzwiach.

- To nie jest konieczne, nie w waszym przypadku, towarzyszu Swierdłow. Jak powiedzieliście, te dokumenty nie opuściły archiwum.

- A więc do widzenia - powiedział Swierdłow. - Wszyscy znowu stali na baczność. - Czołem, towarzyszu. - Z ręką w kieszeni, przyciskając zawartość teczki "Błękitnego" do uda, pułkownik opuścił archiwum.

W godzinę później służbowy samochód należący do ambasady wiozł go na lotnisko. Chciał złapać samolot odlatujący w południe do Nowego Jorku.

Wiosna w Central Parku.

Przypominało to Judith stary film z czasów wojny, pokazany niedawno w telewizji, albo piosenkę Cole Portera. Drzewa uginały się pod ciężarem kwiatów, zielona trawa była poprzetykana lśniącymi wiosennymi kielichami. Słońce przygrzewało. Trudno było postawić znak równości między czarem tej sielankowej oazy na pustyni metropolii z terenem polowań, pełnym złodziei, gwałcicieli i morderców, jakim park stawał się wraz z zapadnięciem ciemności. Równie trudno było porównać ją i Swierdłowa z innymi parami zakochanych spacerujących alejkami i trzymających się pod rękę lub obejmujących w pasie.

Przyleciał do Nowego Jorku w poniedziałek wieczorem, a ona poprosiła Nielsona o wcześniejsze zwolnienie z pracy we wtorek. Zgodził się niechętnie; sposób w jaki go o to poprosiła, wskazywał jasno, że i tak wyszłaby wcześniej, więc nie miał wyboru. Swierdłow jak zwykle czekał na nią w taksówce; sprawiał wrażenie, że jest w dobrym humorze i pocałował ją nie oblapiając jej przy tym zbyt; kazał kierowcy jechać do parku. Dzień był piękny i miło byłoby pospacerować trochę. Sposób, w jaki to powiedział, wskazywał, że zrobił to głównie ze względu na taksówkarza. Judith zerknęła nerwowo w lusterko, by sprawdzić, czy ich obserwuje, ale on patrzył przed siebie, nie zwracając uwagi na nic poza drogą przed sobą.

Spacerowali przez kilka minut.

Swierdłow przyciskał jej ramię do swego boku trzymając ją za rękę.

- Wyglądasz na bardzo zmartwioną - zauważył. - I do tego nie sypiasz. Myślę, że zakochałaś się we mnie.

- Mylisz się. Martwię się i nie wyspałam się dobrze, od kiedy to się zaczęło, ale podobnie byłoby w przypadku kogoś innego, kogo lubię, Fiodor, kiedy zamierzasz wyjechać?

- Pod koniec tygodnia. W piątek wsiądę do samolotu i wybiorę się na krótką wycieczkę na tę śliczną wyspę, na której poznaliśmy się.

- Na Barbados! Chcesz tam jechać? Ale dlaczego - dlaczego nie wyznaczysz Loderowi miejsca i czasu tutaj, i nie pozwolisz mu zająć się resztą?

Przystanęła z wrażenia na środku alejki; pociągnął ją delikatnie, zmuszając do dalszego spaceru.

- Właśnie tak postąpię - wyjaśnił jej. - Wyznaczam mu miejsce i czas, a on dalej wszystko poprowadzi. Będziesz musiała jechać ze mną, Judith.

Zrobisz to?

- Nie rozumiem. - Miała ochotę rozplakać się albo wybuchnąć gniewem. Stres dawał się jej we znaki bardziej niż przypuszczała. Była wściekła, że nie mówi wprost, co zamierza.

- Dlaczego silisz się na takie cyrkowe numery, zamiast po prostu wejść na teren ambasady brytyjskiej?

- Ponieważ nigdy nie pozwolono by mi do niej dotrzeć. Jestem przekonany, że mnie śledzą. Na razie nie podejrzewają, co zamierzam. Spróbuj mi zaufać; wiem, co robię. Znam się na tych sprawach.

- Nie zapominaj, że masz do czynienia z Kgb - powiedziała ze złością.

- Pamiętam o tym. Dlatego właśnie robię takie "cyrkowe numery". Jeśli chodzi o Kgb, to są przekonani, że zabieram cię na Barbados, ponieważ chcę sfinalizować proces uwodzenia cię. Wy tłumaczyłem im, że jesteś trudną kobietą, która nie zgodzi się na współpracę z nami, dopóki nie pokocham się z nią pod palmami. Powiedziałem im, że wiesz wszystko o tym, czym zajmuje się Nielson i masz w każdej chwili dostęp do jego tajnego sejfu.

- Ale to przecież zupełna bzdura - przerwała mu Judith. - Sam nie spuszcza tych kluczy z oka.

- Pewnie, że tak, ale oni o tym nie wiedzą. Uważają cię za superważną osobę i są przekonani, że zostałem zmuszony do opóźnienia swego wyjazdu do żony, by ostatecznie przekonać ciebie. Mają już nawet młodego przystojnego Rosjanina, który zajmie się tobą, gdy mnie nie będzie. Wszystko jest przygotowane. Kiedy pojedę na Barbados, będzie to częścią planu, który im zdradziłem. Ale będziesz musiała polecieć razem ze mną. Potem kontrolę nad wszystkim przejmuje pan Loder.

- To spore ryzyko. Wydaje mi się, że to okrężna droga.

Barbados jest małą wyspą, wszystko może ci się tam przydarzyć.

- Nie więcej niż tutaj, gdy spaceruję z tobą. Sądzisz, że byłbym bezpieczniejszy w Nowym Jorku? Barbados jest wyspą brytyjską; tam pan Loder naprawdę może zapewnić mi ochronę. Tutaj albo w Waszyngtonie jestem bezbronny.

Pojedziesz ze mną?

- Tak. Jeśli to jedyny sposób, by ci pomóc, to jasne, że pojedę. Zimno mi - powiedziała nagle. - Nie mam już ochoty na spacer.

Cała się trzęsła; Swierdłow wiedział, że nie ma to nic wspólnego z temperaturą, która była całkiem przyjemna, ale nic nie powiedział. - Jeszcze chwilę. Do końca tej alejki, a potem wyjdziemy na ulicę i znajdziemy jakiś bar. Ale po wyjściu z parku nie będziemy już mogli o tym rozmawiać. Tutaj nie można nas podsłuchać.

- Naprawdę myślisz, że ktoś nas śledzi? W tej chwili?

- Jestem tego pewien. Wiesz o tym, że istnieją mikrofony mogące zarejestrować rozmowę z odległości dwudziestu metrów?

- Mój Boże. To koszmar. Jesteś pewien, że tu możemy bezpiecznie rozmawiać?

- Idziemy dość szybko, a w pobliżu nas nie ma nikogo, kto mógłby nas usłyszeć. Obserwują mnie z daleka i to dobry znak.

To znaczy, że tak naprawdę nie podejrzewają mnie o nic. A teraz posłuchaj uważnie. Kiedy się rozstaniemy, będziesz musiała skontaktować się z Loderem.

- On czeka na mój telefon,

Powiedziałam mu dzisiaj, że przylatujesz do Nowego Jorku i że skontaktuję się z nim później.

- Skąd dzwoniłaś - z biura

Nielsona?

- Nie. Pomyślałam, że lepiej nie. Skorzystałam z automatu w budynku.

- Bardzo dobrze. - Swierdłow ścisnął jej rękę. - To świetnie.

A więc powiedz mu, że wylatujemy w piątek o szesnastej z lotniska Kennedy'ego na Barbados, Panam 238. Zarezerwowałam już bilety i miejsca w tym samym hotelu, w którym mieszkaliśmy ostatnio. Wylądujemy o ósmej trzydzieści i udamy się razem do hotelu, chyba że on poleci ci coś innego. Będę miał z sobą papiery dotyczące "Błękitnego".

- To wszystko dzieje się tak nagle. Jest tak niewiele czasu.

A co będzie, jeśli nie uda mu się załatwić wszystkiego na czas?

- Ja zdołałbym to zaaranżować, a więc i jemu pewnie to się uda.

Musi jedynie załatwić samolot, który przewiezie mnie do Londynu. Powiedz mu, że mam nadzieję polecieć tam w sobotę lub najpóźniej w niedzielę.

Jeśli ktoś zacznie szukać teczki

"Błękitnego", a mnie nie będzie, zaczną się kłopoty, nawet na Barbadosie. Spamiętasz to wszystko? I numer lotu?

- Panam 238 lądujący na wyspie o ósmej trzydziści. Czy to według czasu lokalnego, czy nowojorskiego?

- Lokalnego. A teraz poszukamy baru, gdzie się czegoś napijemy.

Możemy rozmawiać o wspólnym weekendzie na Barbadosie, a tobie może uda się sprawić wrażenie, że jesteś we mnie zakochana, to bardzo pomogłoby, jeśli ktoś wejdzie za nami do środka.

- Spróbuję - zgodziła się

Judith.

- Dzięki - powiedział

Swierdłow poważnie. - Jestem pewien, że zrobisz to dobrze.

Rachel Paterson płakała. W opinii Margaret robiła to z godnością; ostatecznie Margaret miała spore doświadczenie z płaczącymi żonami młodszych dyplomatów. Rozbawiła kiedyś towarzystwo na przyjęciu w Londynie przedstawiając klasyfikację, jakiej one podlegają. Były te, które chlipyły z tęsknoty za domem, samotne płaczki, których stara matka umarła o dwa tysiące mil od nich, oraz te rzadkie przypadki kobiet, które popełniły jakąś towarzyską gafę i trzeba było dać im reprimendę.

Pamiętała nawet jedno załamanie nerwowe, które zdarzyło się kobiecie z pozoru bardzo opanowanej; darła się wniebogłose, aż musiano ją wyprowadzić z pokoju.

Ta opowieść rozbawiła wszystkich na przyjęciu, które pamiętała sprzed lat. We łzach Rachel nie było nic zabawnego.

Podobnie jak w przypadku

Fergusa, wychowanie Margaret uodporniło ją przeciwko szokującym zdarzeniom. W przeciwieństwie do przekonañ ludzi spoza tej sfery, wychowanie w rodzinie arystokratycznej jej pokolenia było surowe i wymagające samodyscypliny. Ceną, jaką płacono się za znaczne przywileje, był zbiór niewzruszonych zasad nie pozwalający, by słabość, tchórzostwo lub jakaś klęska emocjonalna stała się widoczna dla kogoś z zewnątrz. Margaret siedziała na antycznej sofie obok młodszej kobiety i klepała ją po ramieniu gestem wyrażającym życzliwość.

- Nie mogę mu ufać - wyznała

Rachel. - Wszystko zmieniło się od telefonu tej kobiety. - Wytarła nos, niezbyt głośno, i otarła łzy. - Zawsze był trudny we współżyciu, ale nie przypuszczałam, że ugania się za innymi kobietami. Teraz nie mogę myśleć o niczym innym.

- Nie uważasz, że trochę przesadzasz? Mówisz przecież, że ta kobieta z Nowego Jorku była tylko jego znajomą; miała powody, by się z nim skontaktować. Moja droga, jest mało prawdopodobne, by wymyśliła tę historyjkę o Rosjaninie tylko dlatego, że chciała się zobaczyć z twoim mężem. Masz zbyt bujną wyobraźnię.

Ta uwaga miała większe znaczenie dla niej samej niż żony Richarda Patersona.

Pierwszej części zwierzeń Rachel wysłuchiwała ze szczerym współczuciem: tego, jak oddalali się od siebie, jak on tracił zainteresowanie nią, jak przedkładał karierę nad jej pragnienie dziecka - to wszystko było Margaret dobrze znane i tylko potwierdzało jej opinię o Patersonie jako o samolubnej świni.

Wysłuchiwała historii o porannym telefonie; wiedziała o kochance Patersona w Nowym Jorku i zupełnie wbrew logice miała mu to za złe. Kiedy Rachel powtórzyła, w jaki sposób mąż wyjaśnił tę rozmowę, stanowiło to dla Margaret taki szok, że przez chwilę nie mogła wymówić słowa. Potem, w ciągu kilku minut, gdy jej towarzyszka rozpląkała się i chaotycznie opowiadała dalszy ciąg, bystra inteligencja Margaret, wyszkolona przez całe życie obcowania z dyplomacją, dostrzegła sens tej jednej przerażającej informacji i jej możliwe konsekwencje. Poradziła sobie z tą rewelacją tak jak ze wszystkim o rzeczywistym znaczeniu - na zewnątrz pozostała nie zmieniona, spokojna i opanowana.

Ktoś z ambasady sowieckiej ma zamiar przejść na stronę Anglików - ten jeden fakt liczył się w całej skomplikowanej opowieści Rachel o jej małżeńskich kłopotach. Na chwilę wzięła Rachel za rękę.

- Wiem, że nie spędził nocy w Nowym Jorku - mówiła Rachel. -

Powiedział mi, że wrócił do

Waszyngtonu i spotkał się tego wieczoru z ambasadorem. Nie był więc z nią...

- Oczywiście, że nie. Skoro poszedł do ambasadora, to dowód, że tamta historia była prawdziwa. Czy mówił, że ten Rosjanin jest kimś ważnym?

Rachel zawahała się z odpowiedzią, ponieważ nie widziała związku tego pytania z jej opowieścią.

- Naprawdę nie pamiętam. Tak, chyba powiedział coś takiego, kiedy wrócił, ale nie przywiązywałam do tego wagi.

Byłam tak zaskoczona odkryciem istnienia tej dziewczyny.

Przysiągł, że nigdy z nią nie spał; czy myśli pani, że mówił prawdę?

- Bardzo możliwe - odparła

Margaret. Skoro poszedł do ambasadora, to cała ta historia jest prawdziwa; nie wplątywałby w nią szefa placówki waszyngtońskiej, gdyby chodziło o byle kogo. Jeśli ten Rosjanin jest znaczącym dyplomata, niebezpieczeństwo było spore. - Jestem pewna, że cię nie zdradził. Zabranie kogoś na kolację nie jest przestępstwem.

- Mówiła to mechanicznie, a jej myśli błądziły daleko od zazdrośnych podejrzeń Rachel Paterson, biegnąc do nieodwołalnego wniosku, jak chart ścigający zająca. Jeśli ktoś przechodził na drugą stronę, jego ochrona kosztowała masę pieniędzy. Ceną była zdrada tajemnic, wskazanie agentów.

- Chyba zareagowałam zbyt emocjonalnie. - Rachel zyskała w oczach Margaret dzięki temu, że sama doszła do tego wniosku.

Margaret spojrzała na zegarek: jedenasta piętnaście. Gdzie, do diabła, może się teraz podziewać Fergus? Czy jest w swoim biurze?

Na jakiejś naradzie?

- Musisz się wziąć w garść - nadała swemu głosowi zdecydowany ton. - Masz atrakcyjnego męża, a nie ma nic głupszego niż podejrzewanie go o coś, gdy on nic złego nie robi. Mówisz, że martwisz się zaproszeniem na obiad seniorzy Fuentes Gargano?

- Tak; ona podoba się

Richardowi i jest bardzo piękna, i zabawna. A ja w tym stanie wyglądam jak kloc.

- Już niedługo. - Margaret wstała. Czas pozbyć się gościa.

Muszę znaleźć Fergus, pomyślała. - Posłuchaj mojej rady, moja droga. Napisz do państwa Gargano i sama ich zaproś. Bądź dla niej miła i powiedz swemu mężowi, że uważasz ją za istotę czarującą i przemiłą. Obiecuję ci, natychmiast straci dla niej zainteresowanie. A teraz niestety muszę cię pożegnać, mam za dziesięć minut gości.

Odesłała Rachel do domu swoim samochodem; uściśnęła jej rękę i pocałowała w policzek, po czym pobiegła do saloniku trzaskając za sobą drzwiami. Poderwała słuchawkę z widełek i wykrciła numer służbowy męża. Telefon odebrała sekretarka. Margaret załatwiała krótko

sprawy z sekretarkami, kiedy chciała rozmawiać z Fergusiem; nie cieszyła się sympatią żadnej dziewczyny pracującej u niego.

- Chcę rozmawiać z panem

Stephensonem. Mówi jego żona.

- Obawiam się, że ma w tej chwili naradę z panem Hopkirkiem.

- To bardzo ważna sprawa - przerwała jej Margaret ze złością. - Proszę mu przekazać, by jak najszybciej do mnie zadzwonił. - Odłożyła słuchawkę.

Niech go wszyscy diabli! Oby go trafił szlag! Wściekłość na niego za to, że jest nieosiągalny, ustępowała miejsca poczuciu, jakie miała szczęście, że los zesłał jej Rachel Paterson z jej zwierzeniami.

Czysty zbieg okoliczności wywołany kaprysem, skutek którego polubiła tę dziewczynę. Łaskawość, oznaki sympatii, jakie okazała żonie attach~e do spraw lotniczych i szczerze współczucie dla tej lekko wstawionej i nieszczęśliwej kobiety poprzedniego wieczoru u Brazylijczyków - wszystko to przyczyniło się do odkrycia czegoś, co mogło przyczynić się do całkowitej zguby jej męża i jej samej. Może nie ma żadnego niebezpieczeństwa; zmusiła się do rozważenia tej możliwości i stłumienia wściekłego dzwonienia ostrzegawczych dzwonek w głowie. Ten Rosjanin, bez względu na to, kim jest, pewnie nic nie wie o Fergusie; może nawet nie jest świadomy istnienia takiego agenta. Może tak, może nie. Ich bezpieczeństwo zależy od tych słów. Powiedziała mężowi prawdę, że jego hańba i kara sprawiłyby jej osobistą przyjemność. Jej uczucia do niego charakteryzowało niezwykle okrucieństwo i chęć zemsty, doprowadzone do szczytu odkryciem, że wystawił ją i wszystko, co tak wysoko ceniła, na straszliwe ryzyko. Bardzo ceniła swą pozycję społeczną; cieszyła się z przysługujących jej z tego tytułu przywilejów i poczucia władzy, jakie towarzyszyło najwyższemu stanowiskom dyplomatycznym.

Chciała zakończyć swą karierę spektakularnym sukcesem, zostać panią jednej z trzech głównych ambasad: w Paryżu, Moskwie lub Nowym Jorku. Najbardziej zależało jej na Paryżu. Cień wspaniałej Diany Norwich wciąż królował w pałacu Borghese na Fauburg St. Honore.

Ona, Margaret Stephenson, chociaż pozbawiona urody legendarnej piękności, miała pochodzenie, osobowość i aurę kobiecej determinacji innego rodzaju, które czyniły z niej jedyną żonę dyplomaty zdolną zająć miejsce jednej z najslawniejszych kobiet jej czasu. Byłoby to uwieńczenie jej ambicji, zadośćuczynienie za paskudne małżeństwo, za małżeńskie zdrady bez krzty uczucia, za przyjęcie przez nią roli twardego gangstera zdecydowanego osiągnąć zamierzony cel.

Dlaczego, do cholery, nie dzwoni?... Nagle opanowało ją zmęczenie. Paterson poleciał do Nowego Jorku w sobotę i tego samego wieczoru spotkał się z ambasadorem. Teraz był piątkowy ranek. Może Rosjanin zdołał już oddać się w ręce Anglików.

Złapała ponownie za telefon. -

Chcę mówić z moim mężem. Proszę mnie natychmiast z nim połączyć.

Fergus wydał się zaskoczony; miał łagodny głos, który telefon jeszcze podkreślał. - Margaret?

Jestem dość zajęty w tej chwili.

- Musisz przyjechać do domu - przerwała mu starając się mówić cicho. - Stało się coś strasznego. To dotyczy twojej zapalniczki.

Po drugiej stronie rozległo się coś w rodzaju chrząknięcia, które przerodziło się w krótki kaszel; słyszała go wyraźnie.

- O Boże! W porządku, nic się nie martw. Wpadnę za jakiś kwadrans; już prawie skończyliśmy z Erykiem.

- Jezu! - wykrzyknął Loder. -

W piątek - znaczy w ten piątek?

To trochę krótki termin!

- Powiedziałam mu to samo - głos Judith Farrow zdradzał napięcie i zdenerwowanie. - Ale to miałam panu przekazać. Polecę z nim na Barbados i zatrzymamy się w hotelu "Plażowym" w St.

James. On chce jak najszybciej się stąd wydostać; jest pewien, że go śledzą. Zdąży pan wszystko załatwić na czas?

- Będę musiał, do cholery, nie mam innego wyjścia - odburknął jej. Irytowało go jej podejście; wprawdzie nie zdawała sobie z tego sprawy, ale jej niepokój o Rosjanina wyrażał się agresywnością; Loder nie zapomniał też, jak ostro stawiała mu się za pierwszym razem. - Czy to wszystko, co powiedział?

- Będzie miał ze sobą te dokumenty - przypomniała sobie w końcu. - Prosił też bardzo, by przewieźć go do Londynu w sobotę, najpóźniej w niedzielę.

Może uda się to przeprowadzić w piątek wieczorem? Uważam, że to szaleństwo, ale on twierdzi, że jest kryty, jeśli chodzi o jego ambasadę.

- Jestem pewien, że tak jest.

Skoro wybrał Barbados, wie, co robi - lepiej od innych. Jeśli chodzi o piątkowy wieczór, proszę mu powiedzieć, że nie ma mowy. Nie zdobędę w tak krótkim czasie samolotu mogącego polecieć bez lądowania do Londynu. Mógłbym przejąć kontrolę nad samolotem regularnych linii lotniczych, ale potrzeba mi dwudziestu czterech godzin na uzyskanie zgody na coś takiego. Mogę wywieźć go dopiero w sobotę.

Proszę mu powiedzieć, że w hotelu będziecie mieli ochronę; nie wychodźcie z pokoju, gdy już tam będziecie. Zrozumiała pani?

Proszę siedzieć w środku do czasu, gdy nasi ludzie przyjdą po was. Okay?

- Dobrze, powtórzę mu to. No proszę się nie martwić, dopilnuję, by nie wychodził z pokoju.

- Niech pani się tym zajmie.

Bardzo zależy mi na tych cholernych papierach bez względu na to, co się stanie. Nie zamierza pani z nim lecieć do Anglii, prawda? Tego nie ma w umowie, chciałem panią o tym ostrzec.

- Niepotrzebnie się pan trzusi - weszła mu w słowo Judith. - Jadę na Barbados, ponieważ potrzebuje mnie jako alibi. Nie mam zamiaru lecieć do Londynu, panie Loder. Pragnę jedynie wrócić tutaj i dla odmiany zająć się własnymi sprawami. O ile oczywiście nie stracę pracy przez ten wyjazd.

Judith odłożyła słuchawkę, a

Loder pozwolił sobie strzelić z palców w powietrzu. Dopiekł do żywego tej zarozumiałej dziwce - udawała, że nic ją nie łączy z tym Rosjaninem. Postarał się o niej zapomnieć. Sobota lub niedziela. Poleciał swej sekretarce przynieść listę sobotnich regularnych lotów z Barbadosu do Londynu. Napisał telegram do Londynu, kazał go zaszyfrować i wysłać; żądał w nim, by na ręce ambasadora przesłano mu "zielone światło".

Da mu to pełną władzę, możliwość robienia wszystkiego, co uzna za konieczne, bez pytania się o zdanie ambasadora lub Stephensona, gdyby szefa placówki nie było na miejscu.

Mając w kieszeni taki dokument mógł opanować cały samolot Vc 10, jeśliby chciał: mógł wziąć z sobą tylu ludzi z ochrony ambasady, ilu mu było potrzeba oraz liczyć na pełną współpracę służby bezpieczeństwa Barbadosu.

Na wyspie będzie mu też zapewne potrzebna pomoc Kanadyjczyków.

Zastanawiał się próbując zdecydować, czy uda mu się wywieźć Swierdłowa z wyspy bez ich udziału. Grupa kanadyjskich tajniaków kręcąca się po hotelu "Plażowym" będzie

wyglądała cholernie podejrzanie; mógłby wysłać paru ludzi jutro, tym samym samolotem, którym polecą Swierdłowa; mogliby mieć na oku hotel. Postanowił, że obędzie się bez pomocy Kanadyjczyków.

Wróciła jego sekretarka z informacją, że jest tylko jeden lot non stop do Londynu z Barbadosu, o dziewiętnastej trzydziści. O jedenastej w niedzielę odlatuje samolot Alitalii i ma cztery przystanki: na Trinidadzie, w Nassau, na Bermudach i w Londynie, a potem leci do Rzymu. Miejsca na oba samoloty zostały wykupione; podobnie było z nocnym lotem liniami brytyjskimi. Loder zaklął, a dziewczyna udała, że tego nie słyszy. Musi być naprawdę wściekły, ponieważ te soczyste epitety kierował pod swoim adresem. - Proszę się połączyć z szefem brytyjskich linii lotniczych Boac w Nowym Jorku; chcę z nim porozmawiać.

Nic z tego nie wyszło, ponieważ potrzebny mu facet wyjechał z miasta. Następny telefon wyciągnął skądś jego asystenta, który nie mógł wprawdzie udzielić mu potrzebnego zezwolenia, ale zdradził numer, pod którym można złapać szefa. Po półtorej godziny udało się Loderowi go złapać. Za trzecim razem.

Przedtem nie dotarł jeszcze na miejsce, ponieważ utknął w korku drogowym, a później Loder wściekł się, gdyż kazano mu zadzwonić za jakiś czas, jako że facet siedział w wannie, a energiczna Amerykanka odbierająca telefon nie miała zamiaru go stamtąd wyciągać.

Kiedy Loder w końcu uzyskał połączenie, był niepotrzebnie obcesowy, żądając trzech miejsc w pierwszej klasie na nocny lot z Barbadosu do Londynu.

Przyznał, że zdaje sobie sprawę, iż żąda rzeczy prawie niemożliwej i rozumie trudność, jaką jest odebranie ludziom biletów w całkowicie wykupionym samolocie, niemniej on nie prosi o te miejsca, tylko ostrzega, że zostaną one zarekwirowane w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości. Jutro przedstawi odpowiednie zezwolenie i jeśli firma nie udzieli mu poparcia, zajmie cały samolot. Odwiesił słuchawkę. Po chwili zadzwonił telefon na jego biurku. Wciąż jeszcze w myślach toczył boje z Boac, kiedy zdał sobie sprawę, że to Fergus Stephenson.

Od miesiąca nie byli razem na obiedzie; Loder zamierzał zaproponować mu jakiś termin, ale kiedy telegram odwołał go do Londynu, pilna potrzeba odszukania "Błękitnego" i perspektywa przejścia na ich stronę Swierdłowa usunęły wszystko na plan dalszy. Był przede wszystkim wysokiej klasy profesjonalistą; to fanatyczne oddanie pracy przyczyniło się do fiaska jego małżeństwa; nie pozwalało, by ten najbardziej wartościowy związek zabrał trochę cennego czasu należnego w momencie kryzysu jego służbie.

Po raz pierwszy odrzucił zaproszenie Fergusa, który sprawiał wrażenie zawiedzionego, ale powiedział tylko coś uprzejmego i odłożył słuchawkę.

Loder zamówił kanapki i sok pomarańczowy do swego gabinetu; zapowiedział też sekretarce, że będzie jej potrzebował przez prawie cały wieczór. Narzekała trochę, ale nie miała do niego żalu: zaczynało się coś, co w slangu Lodera nosiło nazwę "ruchawki", a ona lubiła, gdy coś się działo. Dobrze jej się z nim pracowało; on nigdy nie próbował się do niej dobrać, co potrafiła docenić, ponieważ wydawał się jej odrażający. Był dość wyrozumiały, a kiedy natłok pracy osiągał tak wysoki poziom jak obecnie zawsze później pamiętał o podziękowaniu jej.

Nie mogła powiedzieć, że go lubi albo nie lubi; była bardziej podobna do niego niż zdawała sobie z tego sprawę. Ona również lubiła swoją pracę.

- Co teraz zamierzasz? - spytała ostrym tonem Margaret Stephenson. - Loder nie chce cię widzieć. I co teraz?

Jej mąż nalał sobie kieliszek sherry; wybór tego właśnie trunku doprowadził ją do furii.

Odpowiednim antidotum na szok, jaki go spotkał, byłaby brendy.

Ten kieliszek sherry był tak dobitną oznaką zniewieścienia, że miała ochotę wytrącić mu go z ręki. Fergus był wstrząśnięty; wrócił z biura i na stojąco wysłuchał tego, co opowiedziała jej Rachel Paterson. W pewnej chwili wyglądało na to, że chce jej przerwać; Margaret uciszyła go mówiąc, że skoro Paterson spotkał się z ambasadorem, nie ulegało wątpliwości, iż ta historia jest prawdziwa. Potem zadała mu najważniejsze pytanie.

Czy ten sowiecki uciekinier może coś o nim wiedzieć? Fergus odpowiedział zgodnie z prawdą, że nie ma pojęcia. Żaden drobny urzędnik nie miałby dostępu do tajemnic tej klasy, więc nie muszą się obawiać niczego ze strony jakiegś płotki. Ale urzędnik wyższego szczebla może wiedzieć o istnieniu agenta w kręgach zachodnich dyplomatów, chociaż nie ma pojęcia, kto nim jest. Ale kiedy zachodnie wywiady postawi się w stan pogotowia, będą ryc jak teriery.

Nie ulega wątpliwości, że znajdzie się w poważnym niebezpieczeństwie, kiedy dochodzenie ruszy na całego.

Przypomniał żonie, że wykrycie

Macleana trwało dwa lata.

Pracowali wolno, ale w końcu mogli pochwalić się wynikami.

Pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić, to zdobyć szczegóły tej ucieczki, a zwłaszcza poznać stanowisko i - o ile to będzie możliwe - tożsamość Rosjanina.

Zatelefonował do Lodera w obecności żony, która stała i zagryzała do krwi wargi. Potem ponownie zadała mu to pytanie:

- Co masz teraz zamiar zrobić?

Twój bezcenny policjant nie chce cię widzieć - o, Boże, nie przypuszczasz chyba, że...

- Nie, nie - uspokoił ją

Fergus. - Przestań panikować; nic się jeszcze nie stało. Takie rzeczy długo trwają. Wydostanie tego Rosjanina może potrwać tygodnie. Ale muszę dowiedzieć się, kto to jest.

Margaret stała w słonecznym pokoju, który był uważany za jeden z triumfów jej sztuki dekoratorskiej. Dominował w nim wspaniały obraz Casteelsa przedstawiający na pierwszym planie przepięknego dumnego pawia. Używała tego pokoju na skromniejsze przyjęcia; ktoś sprawił jej kiedyś przyjemność twierdząc, że doskonale odzwierciedla on jej osobowość.

Spojrzała na Fergusa, który stał przy kominku, wysoki i odrobinę za chudy, popijając Tio Pepe, podczas gdy ziemia usuwała mu się spod nóg.

- A kiedy już się dowiesz? -

Nie zastanawiała się nad konsekwencjami - mgliście myślała jedynie o podaniu się do dymisji, powrocie do Anglii i dobrowolnym wygnaniu do kraju, z którym Anglia nie zawarła układu o ekstradycji. Przyszłość przedstawiała się chaotycznie, bez żadnego rozsądnego wyjścia.

Nagle jednak dojrzała jedyne praktyczne rozwiązanie.

- Ostrzegę ambasadę sowiecką i oni go powstrzymają - powiedział Fergus. - Powinienem to zrobić, nawet gdyby nie miało to związku z moim bezpieczeństwem.

Kimkolwiek jest ten człowiek, okazał się zdrajcą. Zasługuje na to, co go spotka.

Margaret nic nie powiedziała.

Mówił to zupełnie poważnie; nic w jego głosie nie sugerowało żartu ani ironicznego nawiązania do swej własnej sytuacji.

Szczerze był o tym przekonany.

- Z twojego punktu widzenia - powiedział cicho - wybór jest prosty: albo ten Rosjanin, albo ja. A przecież dokonałaś już wyboru. Tak więc lepiej zostaw tę sprawę mnie, a ja wszystko załatwię. Dzięki Bogu, że ostrzeżenie przyszło w porę.

Wracam teraz do biura, pójdę zobaczyć się z ambasadorem. Nie martw się; wszystko będzie dobrze.

Po jego wyjściu zauważyła, że kieliszek sherry jest tylko w połowie opróżniony. Po raz pierwszy w życiu poszła na górę i zwymiotowała.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała Judith. - Nie mogę uwierzyć, że w piątek już nas tutaj nie będzie. - Swierdłow obejmował ją. Zadzwoił wieczorem do jej mieszkania, i zaproponował spędzenie razem wieczoru w nocnym klubie. Judith nie miała ochoty iść, była krańcowo wyczerpana. Nancy poszła na randkę, a ona usiadła przed telewizorem; po jakimś czasie banalność programu zaczęła jej działać na nerwy i wyłączyła go. Swierdłow był tak wesoły przez telefon, że z przykrością go słuchała. Jako kompromisowe rozwiązanie wobec proponowanej przez niego wizyty w klubie powiedziała mu zmęczonym głosem, że może wpaść do niej do domu na drinka.

Kiedy tylko wszedł, złość jej przeszła. Telefon kłamał: był blady i wyglądał na zmęczonego.

- Co to za pomysł z nocnym klubem? - spytała go. - Wyglądasz na całkowicie wykończonego. Siadaj.

- Nie wiedziałem, że będę mógł tu przyjść. Chciałem się z tobą zobaczyć; pomyślałem, że trochę muzyki dobrze nam zrobi. Ale to jest jeszcze lepsze. O wiele lepsze. - Zwrócił jej twarz ku swojej i pocałował ją.

Podawała mu drinka i przygotowała kawę dla obojga.

Rozejrzał się po salonie.

Siedzieli we dwoje na kanapie, którą Nancy kazała zrobić na zamówienie. - Bardzo tu wygodnie - stwierdził. I robisz dobrą kawę. To lepsze niż szwendanie się po mieście. Sądzę, że oboje jesteśmy zmęczeni, zwłaszcza ty.

To był dla ciebie okres dużych napięć. Przepraszam.

- To bez znaczenia. - Nie chciała go widzieć, a teraz cieszyła się z jego obecności.

Miło było siedzieć obok niego, a ramię, które ją obejmowało, było ciepłe i dodawało otuchy. - Chciałabym, byśmy mieli już te dwa dni za sobą, to wszystko. A ty siedziałbyś sobie wygodnie w samolocie do Anglii.

- Będziesz za mną tęsknić?

- Tak. Będę. Ale to nie jest ważne. Liczy się bezpieczne wydostanie cię stąd, a później z Barbadosu. Fiodor, nadal jesteś pewien, że to najlepszy sposób?

- Tak - uwierz mi. Jest również najmniej niebezpieczny.

Nie zabierałbym cię ze sobą, gdyby istniało jakieś ryzyko.

Chodzi tylko o to, by pan Loder zajął się finalizacją tej sprawy.

- Zrobi to - powiedziała

Judith. - Zapewnił mnie, że wszystko jest załatwione. To zjadliwy typ, ale jestem przekonana, że dobrze wykonuje swoją pracę.

Swierdłow spojrział na nią. - I nie czujesz do mnie pogardy za to, co robię? Nie uważasz mnie za zdrajcę i tchórza? To niezbyt angielskie i pozbawione dostojeństwa, taka ucieczka, prawda?

- Skoro tak uważasz, to jedź do domu i daj się zastrzelić - odsunęła się od niego ze złością.

- Czasami doprowadzasz mnie do białej gorączki takim gadaniem po tym, przez co przeszliśmy w zeszłym tygodniu; i to wtedy, kiedy wszystko jest już załatwione! - Zdziwiła się, gdy się roześmiała.

- Złościsz się tak, że aż iskry lecą, wiesz o tym?

Uwielbiam ogniste kobiety. Co ja pocznę w Anglii bez ciebie?

- Nie wiem. - Wciąż była zła; nigdy przedtem nie dawała się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Równie dobrze mogła się za chwilę rozpłakać. On zdawał się o tym wiedzieć,

ponieważ przestał się z niej naigrawać. Zapalił rosyjskiego papierosa i podał go jej; przez kilka chwil siedzieli w milczeniu. Potem odezwała się Judith:

- Myślałam dzisiaj, że gdybym nie dała kosza Richardowi, nigdy nie pojechałabym na Barbados i nie spotkała ciebie; jak postąpiłbyś, gdyby rozpetęła się ta afera? Czy też przeszedłbyś na naszą stronę?

- Nie jestem pewien - przyznał

Swierdłow. - Teraz mogę powiedzieć, że tak, ponieważ tak to się ułożyło. Ale gdybym ciebie nie spotkał, mógłbym wybrać to drugie wyjście - to łatwiejsze. Na pewno nie dałbym się aresztować własnym ludziom.

Nie byłoby żadnego pokazowego procesu ani egzekucji zdrajcy.

Skoro mam umrzeć, nie chcę swoją śmiercią podpierać jakiegoś politycznego kłamstwa. Prawda ma swoją wartość; chyba tego się od ciebie nauczyłem.

- Wiara również. Modliłam się za ciebie, Fiodor, chociaż możesz się z tego śmiać.

- Wcale się nie śmieję.

Potrzebuję jakich się tylko da sprzymierzeńców, nawet twojego nie istniejącego Boga. Nie złość się, proszę. Cieszę się, że się modliłaś. Może Bóg istnieje.

Może był tamaryndowiec, który wyłamał się spod praw natury z powodu niewinności jakiegoś człowieka. Ty wierzysz w takie rzeczy; ja nie. Może wiara w nie uczyniła cię taką, jaka jesteś.

Skoro tak jest, nie mogę przeciwko nim występować. Gdybym powiedział ci, że cię kocham, też byś mi uwierzyła?

- Wolałabym, byś tego nie mówił. Proszę cię, nie mów tego.

- Dobrze. Odwołam to po to, by móc ci to powiedzieć innym razem. Wracam do swojej siedziby trochę pospać.

- Wiesz, że możesz tu zostać.

Mamy wolne łóżko.

- Nie. Tak nie chcę. Wracam do siebie. Pocałujesz mnie? Za nasze jutrzejsze szczęście.

- O Boże - wyszeptęła. - Mam jakieś nieprzyjemne uczucie, że będzie nam ono potrzebne.

Rozdział dziewiąty

To ambasador posłał po

Fergusa. We wczesnych godzinach rannych nadszedł zaszyfrowany telegram z Londynu; wręczono go ambasadorowi, gdy tylko wszedł do biura, ponieważ nosił adnotację "Niezwykle pilne".

Przeczytał go, zanim zabrał się za resztę oficjalnej korespondencji, i odkładając go skrzywił się. Telegram zawierał takie wiadomości, jakich człowiek na jego stanowisku zdecydowanie nie lubi; jego ambasada będzie miejscem poważnej operacji wywiadowczej.

Wymagana jest jego pełna współpraca; sformułowano to w sposób uprzejmy, ale zdecydowany. Loder, ten chytry agent_intelektualista, którego nasłało mu Mi#6, otrzymał nieograniczoną władzę i wszyscy w ambasadzie byli proszeni o udzielenie mu wszelkiej pomocy, jakiej zażąda. Ta prośba, jeśli tak to można było nazwać, odnosiła się również do brytyjskich firm i obywateli, którzy mogą oczekiwać potwierdzenia tego faktu od ambasady. Innymi słowy, gdyby Loder zażądał gwiazdki z nieba, należałoby mu ją dać.

Ambasador był zawodowym dyplomatą, wykształconym dla służby publicznej, o odbiegającym od przeciętnego przygotowaniu intelektualnym i społecznym. Swoje obowiązki darzył staroświeckim szacunkiem, a jego lojalność wobec kolegów była bezgraniczna. Nie znosił wszystkiego, co mogłoby rzucić na jego ambasadę lub kogokolwiek z nią związanego cień podejrzenia o tanią intrygę lub wulgarny skandal. Telegram z Londynu donosił, że Loder ma przejąć uciekiniera z Zsrr i dlatego otrzymał carte blanche na wszelkie działania. Ambasador wiedział, że zgadzało się to z informacją przekazaną mu przez jego własnego attach~e do spraw lotniczych. Natychmiast odesłał tę sprawę do Lodera mając nadzieję, że

chodzi o jakąś płotkę i ambasada nie zostanie bezpośrednio wciągnięta do żadnych działań. Okazało się teraz, że kimkolwiek był człowiek ubiegający się o azyl, uznano go za osobę o pierwszorzędym znaczeniu.

Chociaż tak bardzo tego pragnął, ambasador nie mógł utrzymać smrodliwej sprawy, za jaką uważał szpiegostwo, z dala od swojej placówki. Dyplomacja była profesją wymagającą poczucia honoru i umiejętności; szpiegostwo uważał za nędzne zajęcie, w czasach pokoju niegodne dżentelmena.

Nienawidził go przede wszystkim dlatego, że pracownicy służby dyplomatycznej dawali mu się nieraz w przeszłości uwieść; popełniali wówczas niewybaczalną zdradę i okrywali się hańbą, poddając w ten sposób swych kolegów odrażającej wścibskości takich Loderów. W ciągu godziny uporał się z najpilniejszymi sprawami, po czym wezwał Stephensona.

Miał o nim bardzo dobrą opinię jako o dyplomacie, a także osobiście darzył go szacunkiem.

Lubił jego żonę, która zawsze była czarująca i nigdy nie zrobiła błędu pozwalając, by jej osobowość przytłoczyła jego własną małżonkę podczas wykonywania przez nie swych funkcji publicznych. Uważał Stephensona za człowieka ulepionego z tej samej gliny co on sam i nigdy nie przyszłoby mu do głowy zapoznać go ze wszystkimi szczegółami dotyczącymi telegramu dającego "zielone światło" szefowi wywiadu ani z własnymi przemyśleniami na temat wagi tych zaleceń. Musiał zapoznać swego zastępcę z faktami, ponieważ prawdopodobnie w oparciu o nie przyjdzie mu działać. Ambasador przyjął zaproszenie, by spędzić długi weekend w Kalifornii, toteż odpowiedzialność za udzielenie pomocy Loderowi i wszystko inne, co może się wydarzyć poprzez najbliższe trzy dni, spadnie na Fergusa.

- Nie muszę ci mówić, jak bardzo nie znoszę takich rzeczy - powiedział ambasador. - Powinienem złożyć protest. Nie jesteśmy częścią organizacji wywiadowczych i oni nie mają prawa wciągać nas w swoje nieprzyjemne wybryki. Na pewno wyjdzie na jaw, że całą sprawą kierowała nasza placówka i mnie uzna się za współnika tej operacji! Złożę protest, choć to i tak nic nie da.

- To bardzo ostro sformułowany telegram - zauważył Fergus. - Ten Rosjanin musi być jakąś ważną szychą. Powinni okazać odrobinę kurtuazji i podać ci jego nazwisko. Tego najbardziej nie znoszę - domagają się pomocy, a jednocześnie nie w pełni nam ufają.

- Nie chcę nic o nim wiedzieć - stwierdził ambasador. - Kiedy Dick Paterson zaczął mi o tym wszystkim opowiadać, natychmiast zamknąłem mu usta. Azylanci polityczni i podwójni agenci to nie moja sprawa. On był tym wszystkim bardzo zaaferowany; pewnie myślał, że jeśli będzie pośrednikiem tego Rosjanina, doda mu to splendoru. Kazałem mu natychmiast przekazać całą sprawę Loderowi.

I właśnie wtedy, gdy ambasador ciągnął swój wywód, zasłona spadła z oczu Stephensona. Kiedy po raz pierwszy usłyszał tę historię od swojej żony, znajdował się jeszcze pod wpływem szoku, jakiego doznał, gdy wspomniała przez telefon o jego zapalniczce; był trochę oszołomiony, zupełnie jakby jakaś część jego umysłu nie funkcjonowała prawidłowo.

Richard Paterson dowiedział się o istnieniu Rosjanina pragnącego uzyskać azyl. Fergus przyjął to do wiadomości, ale oprawa tego pojedynczego faktu utonęła w nic nie znaczących szczegółach o zazdrości Rachel Paterson, jej łzach itp. Skoncentrował się na tym fakcie nie zdając sobie sprawy, że klucz do wszystkiego leży w szczegółach. Patersonowi powiedziała o Rosjaninie jego dawna kochanka, dziewczyna, którą odwiedzał w Nowym Jorku, dopóki on sam, za namową Lodera, nie kazał mu z nią skończyć.

Chodziło o to, że ta kobieta zadaje się z jakimś Rosjaninem.

Rozmawiali o tym z Loderem podczas jednego ze wspólnych obiadów; Loder zdradził mu nazwisko faceta podejrzanego o próbę zwerbowania dziewczyny - jak ona się nazywała - Farrant, Farrow - a uciekinierem był Swierdłow, Fiodor Swierdłow, pułkownik Armii

Czerwonej, asystent starego generała Kgb Golicyna. Prawda ta przedarła się gwałtownie do jego świadomości; całe jego ciało oblało się potem. Swierdłow, człowiek podejrzewany o to, że jest rzeczywistym szefem wywiadu sowieckiego w Usa, najważniejszy człowiek w całej ambasadzie. Człowiek, do którego bezpośrednio od opiekuna trafiają tajne raporty "Błękitnego". Wydawało mu się, że jeśli zaraz nie wyjdzie z pokoju, zemdleje.

Ambasador nic nie zauważył.

Nadal mówił do niego, a Fergus starał się ze wszystkich sił zachować spokój i zdołał wymamrotać coś, co można było uznać za odpowiedź.

W końcu usłyszał słowa ambasadora: - No cóż, mój drogi, jadę na weekend do Vanderholdenów, tak więc będę musiał pozostawić tę przekłętą sprawę w twoich rękach. Będziesz zobowiązany dać Loderowi wszystko, czego zechce, ale nie muszę ci przypominać, by ambasada pozostała jak najdalej od całej afery.

- Oczywiście - Fergus usłyszał swój własny głos. - Nie martw się o to.

Wyszedł z gabinetu ambasadora i wpadł do ogólnie dostępnej toalety po drodze do swego pokoju. Umył ręce i twarz w zimnej wodzie, wytarł i spojrzał w lustro. Był trupio blady, a oczy miał szeroko rozwarłe.

Swierdłow. Nic dziwnego, że

Londyn wysłał "zielone światło" pozwalające Loderowi przejąć kontrolę nad ambasadą, gdy miał na to ochotę. Nic dziwnego, że Loder jest zbyt "zajęty", by zjeść z nim obiad, podczas którego mógłby wydobyć od niego więcej informacji. Nic dziwnego.

Swierdłow był grubszą rybą od

Pienkowskiego; przy nim nawet taki uciekinier jak Dałmycin wyglądał niczym chłopiec na posyłki. Gdyby przeszedł na stronę Anglików, mógłby doprowadzić do wpadki połowy sowieckich siatek wywiadowczych na Zachodzie. W tym momencie, w obliczu osobistej klęski, Fergus zdołał spojrzeć szerzej na tę sprawę i wyobraził sobie katastrofalne konsekwencje ucieczki Swierdłowa dla wybranego przez siebie systemu ideologicznego. Będzie to poważny cios dla prestiżu Zsrr w świecie, nie wspominając o dezorganizacji działalności wywiadowczej.

Nawet gdyby on sam nie był w to zamieszany, trzeba było przeszkodzić ucieczce Swierdłowa. Nadejście "zielonego światła" dla Lodera oznaczało, że termin operacji jest bliski.

Nie mógł więc zwlekać, chociaż wiązało się to z osobistym ryzykiem. Miał numer telefonu, którego mógł używać tylko w sytuacjach awaryjnych. Normalnie przekazywał informacje przez skrzynkę kontaktową; często bywał w pewnym sklepie płytowym w centrum miasta; jego zainteresowanie rzadkimi nagraniami klasycznymi było powszechnie znane i kupował tam płyty od początku swego pobytu w Waszyngtonie. Metoda była prosta. Odwiedzał sklep regularnie raz w tygodniu, kupował jakąś płytę lub taśmę, a kiedy miał coś do przekazania, wchodził do budki posłuchać nagrania i wkładał miniaturowy cylinder zawierający film z jego aparatu zapalniczki w otwór w dźwiękoszczelnej ścianie, nad wejściem. Czas wizyty w sklepie był ściśle określony, chociaż zmieniał się z tygodnia na tydzień; osoba kontaktowa, której nie znał, przebywała niekiedy w sklepie w tym samym czasie i po wyjściu Fergusa z budki wchodziła do niej i zabierała mikrofilm. Ryzyko, że ktoś zobaczy mały cylinderek wsunięty wysoko w szczelinę pofałdowanej ściany, było minimalne. W ten sam sposób Fergus mógł zostawić wiadomość dla swego opiekuna, którego znał tylko z kryptonimu - Paul. Ten sposób przekazywania informacji był jednak w tym przypadku zbyt powolny. Miał w rezerwie numer telefonu; zawsze podawano mu taki awaryjny numer bez względu na to, w jakiej placówce dyplomatycznej pracował. Znał go na pamięć.

Wyszedł z toalety; był już o wiele spokojniejszy. Spojrzał na zegarek. Tego ranka był umówiony z dwoma osobami; pierwsze spotkanie czekało go za kwadrans. Ostrożność nakazywała, by tę rozmowę przeprowadzić z telefonu spoza ambasady, tak by nie można jej

było podsłuchać ani wysledzić. Oznaczało to dalsze opóźnienie. Dochodziła jedenasta; musi poczekać do południa i wtedy opuścić gmach ambasady. Mógłby pójść do sklepu z płytami; znajdował się tam automat telefoniczny. Opóźni to wprawdzie jeszcze bardziej kontakt z Rosjanami, ale lepsze to od lekceważenia reguły ostrożności, której przestrzegał przez całe swe życie podwójnego agenta: nigdy nie rób nic w obrębie ambasady, nic co mogłoby naprowadzić na twój ślad. Wrócił do swego gabinetu. Południe; mógł wyjść wcześniej z pracy i pojechać samochodem do centrum.

Nie było powodów do paniki.

Ponieważ jest piątek, łatwo im będzie unieszkodliwić Swierdłowa podczas weekendu; większość ludzi wyjeżdżała w tym czasie ze stolicy, ponieważ robiło się już gorąco. Można go będzie wsadzić na pokład Iljuszyna i wywieźć do kraju; nikt tego nie zauważy.

Dokonywano już takich operacji przedtem. Fergus usiadł w swoim gabinecie oczekując przybycia pierwszego gościa. Palił bardzo dużo podczas półgodzinnego spotkania, a palce lekko mu drżały. Poza tym jednak wyglądał normalnie.

Judith zadzwoniła rano do domu

Nielsona. Wiedziała, co chce powiedzieć. Sam zaczynał się coraz bardziej niecierpliwieć jej nieustannymi prośbami o dni wolne lub pozwolenie na wcześniejsze wyjście z pracy.

Nie zniósłby kolejnej takiej prośby. Starła się nadać swemu głosowi zachrypnięte brzmienie i powiedziała jego żonie wierutne kłamstwo; że ma zapalenie gardła i gorączkę, i dlatego nie przyjdzie tego dnia do pracy, ale ma nadzieję, że w poniedziałek będzie się już czuła dostatecznie dobrze, by wrócić do biura. Przepraszyła za kłopot i zakończyła rozmowę tak, by jej mąż nie mógł podejść do telefonu. Nancy wyjechała na weekend, tak że nikt nie odkryje jej kłamstwa. Miała za sobą fatalną noc; rano nałożyła makijaż stwierdzając, że znajomość z Fiodorem Swierdłowem postarzyła ją o dziesięć lat.

Zapakowała trochę rzeczy, na jedną lub dwie noce, do małej torby. Nie zdecydowała jeszcze, jak wróci, kiedy Fiodor odleci do Anglii, ale pewnie jest kilka lotów do Stanów. Nie miała ochoty snuć tak odległych planów; w porównaniu z jego ucieczką nie miało to wielkiego znaczenia. Nie zjadła śniadania; kawa smakowała cierpko i wywoływała nudności. Napila się trochę soku zastanawiając się, czy ustawiczne poczucie grozy, jakie jej towarzyszyło, było czymś więcej niż objawem napięcia nerwowego. Nie było to coś, co dałoby się logicznie wytłumaczyć. Wszystko układało się dobrze. Loder panował nad sytuacją, a ona miała zaufanie do jego profesjonalnej sprawności. Swierdłow również wydawał się pewny siebie; pierwszy krok mieli uczynić już za parę godzin. Poczucie się lepiej, gdy już znajdą się na pokładzie samolotu wiozącego ich na Barbados. Dwa razy podczas tego przedłużającego się w nieskończoność ranka o mały włos nie zadzwoniła do Swierdłowa w jego nowojorskim biurze.

Spotkanie z nim wczoraj wieczorem dodało jej odwagi; nie wiedziała, czy płynęła ona z jej wnętrza, czy też zmobilizowało ją do niej poczucie, że jemu potrzebne jest wsparcie. Ale rano pewność siebie rozplynęła się gdzieś, pozostawiając mdlące uczucie zbliżającej się katastrofy. Chciała powiedzieć mu o tym, zanim pocałował ją na dobranoc, ale nie było na to czasu.

Powiedział, że ją kocha.

Całował ją tak, jakby naprawdę tak było. Po jego wyjściu czuła się przez to zdeorientowana.

Zostały jeszcze dwie lub trzy godziny, mimo że robiła wszystko, by zabić czas - sprzątała mieszkanie, a nawet wyprasowała rzeczy Nancy. Bała się jednak wyjść z domu.

Swierdłow może zatelefonować;

Loder też; w ostatniej chwili może nastąpić jakaś zmiana planów. Nawet Sam może postanowić sprawdzić osobiście, jak poważnie jest chora.

Mieszkanie stało się dla niej więzieniem; przygotowała kanapkę i zmusiła się do zjedzenia, po czym usiadła i próbowała czytać.

Telefon zadzwonił raz i zerwała się, by go odebrać. Jakiś mężczyzna chciał rozmawiać z Nancy. Nikt więcej nie dzwonił.

O piętnastej wyniosła torbę do korytarza. Swierdłow nigdy się nie spóźniał; lada chwila po nią przyjdzie. Byli przecież dwojgiem kochanków wybierających się na wspólny weekend; powtarzał jej kilka razy, że musi sprawiać wrażenie szczęśliwej i wypoczętej. Nie przypominał jej o tym zeszłej nocy. Zachowywał się powściągliwie, był niemal smutny. Ponownie spojrzała na zegarek: dziesięć po trzeciej.

Nigdy przedtem się nie spóźnił, ani razu...

W minutę później zadzwonił dzwonek u drzwi.

Generał Golicyn spał na krześle; zjadł obfity obiad i wczesnym popołudniem poczuł rozleniwienie i zmęczenie.

Powietrze było wilgotne, a promienie słońca wpadały przez okna. Opuścił żaluzje i włączył klimatyzację. Spoczął na krześle, głowa opadła mu na pierś, chociaż oczy miał wciąż otwarte niczym jaszczurka przyczajona na skale. Potem je zamknął i zachrapał cicho, jak starzy ludzie zasypiający na siedząco.

Kiedy nadeszła wiadomość przekazana przez Fergusa Stephensona, właśnie się obudził i popijał herbatę. Trudniej było mu się otrząsnąć z tak krótkiego snu; w młodości z dużym powodzeniem stosował metodę krótkotrwałych drzemek.

Półgodzinny sen w pociągach, samochodach, ciężarówkach podskakujących na wybojach; na blacie biurka, przy którym przepracował całą noc - w samolotach, a nawet na koniu, w pierwszych dniach rewolucji - pozwalał Golicynowi odzyskać energię. Ale teraz był roztrzęsiony, próbował rozluźnić mięśnie twarzy i mrużył swoje gadzie oczy, usiłując odzyskać jasność spojrzenia. Kiedy otrzymał wiadomość, nie zrozumiał jej właściwie w pierwszej chwili. Zbyt szybko i zbyt wiele wymagała ona od niego. Przeczytał ją powtórnie, a potem jego asystent i sekretarz usłyszeli ryk, po którym nastąpiła wiązanka najgorszych przekleństw.

Asystent wszedł do niego, sekretarz nie ośmielił się.

Generał stał na środku pokoju trzymając w prawej ręce kartkę z informacją, twarz miał czerwona jak burak i ryczał, i przeklinał, niczym człowiek młodszy o dwadzieścia lat.

Kilka minut później stała przed nim Anna Skriabin, blada jak płótno i roztrzęsiona, wyjaśniając mu każdy szczegół lotów Swierdłowa z Waszyngtonu do Nowego Jorku i stamtąd na Barbados. Miał wykupiony bilet na samolot odlatujący o szesnastej trzydzieści. Golicyn rzucił okiem na zegarek; była już siedemnasta trzydzieści. A więc był już w drodze na Barbados. Nagle zwrócił się w stronę dziewczyny i ryknął na nią. Kazał jej obserwować i donosić o każdym słowie i ruchu Fiodora Swierdłowa. Jeszcze tego ranka przyszła do gabinetu generała mówiąc, że chyba podoba się Swierdłowowi i że ten chce zaprosić ją na kolację. Golicyn uderzył ją z całej siły w twarz.

Nie dość, że zawiodła go, ryknął na nią, ale dała się całkowicie wyprowadzić w pole i z kolei wystrychnęła na dudka jego, Golicyna. Stała zakrywając obiema rękami twarz i płacząc ze strachu. Stary generał rzucił jej groźne spojrzenie i kazał wrócić do swego pokoju i tam czekać. W ciągu następnej pół godziny w sekcji telegramów panowało duże poruszenie. Jeden z ludzi Stiukałowa był już w drodze na Barbados, by obserwować Swierdłowa; wyleciał

wcześniej i miał przesiąść się na Trynidadzie i wylądować dwie godziny wcześniej od pułkownika.

Ale jeden człowiek nie był w stanie poradzić sobie z nową sytuacją. Nie miał on rozkazu likwidacji Swierdłowa, a tylko obserwowania go i donoszenia o jego posunięciach. Sytuacja przerosła starego generała, podobnie jak większość pracowników ambasady. Wyprawa Swierdłowa na Barbados była uważana za operację związaną z jego zadaniem, przeprowadzoną zupełnie otwarcie przy całkowitej akceptacji i współudziale ambasady. Nikt nie miał pojęcia, że to wstęp do jego ucieczki i że musi się za tym kryć poparcie wywiadu brytyjskiego. Wiadomość otrzymana przez Golicyna od "Błękitnego" stwierdzała wyraźnie, że Swierdłow jest w kontakcie z ambasadą brytyjską, która przedsięwzięła kroki, by go przejąć. Ton tego ostrzeżenia nakazywał pośpiech, ale człowiek przesyłający je nie miał pojęcia, że pułkownik zdołał już opuścić Stany i udać się do byłej kolonii brytyjskiej.

Golicyn szalał z wściekłości;

Swierdłow wymknął im się stosując się do najśmielszej zasady szpiegów, według której uciekając przed prześladowcą należy to zrobić przy świetle dziennym i w obecności jak największej liczby świadków.

Swierdłow wydostał się ze

Stanów, gdzie łatwo byłoby pojmać go i unieszkodliwić. Był w drodze na małą karaibską wyspę, na której trudno, o ile w ogóle możliwe, będzie to przeprowadzić bez wywołania międzynarodowego skandalu. W dodatku była ona tak odległa i miała tak zaniedbany system łączności, że nagła zmiana planów była niezwykle trudna do przeprowadzenia. Golicyn najpierw zadepeszował do Moskwy przekazując Paniuszkinowi szczegóły ostrzeżenia od "Błękitnego" i prosząc o jak najszybsze przesłanie instrukcji. Golicyn widział dwa lub trzy sposoby działania, ale nie śmiał podjąć decyzji bez zezwolenia najwyższych władz.

Nikt nie mógł mieć do niego pretensji o to, że czeka na rozkazy przełożonego.

Można by wycarterować samolot, który przewiozłby ekipę operacyjną na Barbados. Człowiek Stiukałowa otrzymałby depezę nakazującą mu szukać pomocy u nielicznych sympatyków zsrz na wyspie i razem z nimi ująć Swierdłowa i przytrzymać go do czasu przybycia grupy operacyjnej. Potem mogliby przewieźć go etapami do Europy.

Gdyby znalazł się w którymś z krajów Europy Wschodniej, byłby już prawie w Zsrz. Ręce generała trzęsły się z wściekłości i strachu. To on rozpoczął działania mające doprowadzić do aresztowania Swierdłowa; on oddał naszprycowanego narkotykami przez lekarza ambasady Kalinina w ręce specjalistów z Łubianki.

On, Golicyn, rozpoczął śledztwo w sprawie Swierdłowa, ryjąc pod nim niby zajadły pies w poszukiwaniu smacznej kości i bojąc się o swoją skórę. On rzucił cień podejrzania na pułkownika i podjął się oddać sprawcę w ręce sprawiedliwości.

Zamiast tego pozwolił mu zbiec na stronę wrogów Związku Radzieckiego. MOże wprawdzie ukarać Annę Skriabin za niedopatrzenie, ale zemsta Paniuszkina będzie zbyt straszna, by można ją sobie wyobrazić.

Skontaktował się ze

Stiukałowem w Nowym Jorku, zwalając na niego część winy; rozmawiał z radzieckim ambasadorem przy Onz, a następnie powlókł się na rozmowę z własnym ambasadorem, któremu chciał wyjaśnić dokładnie, przed jakim kryzysem stoją w tej chwili. To właśnie ambasador zaproponował coś, o czym sam powinien był pomyśleć. Skoro Swierdłow miał zamiar uciec do Brytyjczyków, zapewne zabrał dla swoich dobroczyńców jakiś prezent. Czy nie brakuje jakichś tajnych akt?... Jeszcze zanim pojawił się przed nim szef archiwum, jękając i pocąc się obficie, Golicyn znał odpowiedź.

Zeszli razem na dół i ambasador otworzył sejf mając u boku generała. Podał mu teczkę, którą według słów archiwisty Swierdłow przeglądał tego ranka. Golicyn znalazł plik

papierów, które włożył pułkownik: notatkę służbową od szefa kadr, plan urlopów dla wyższych oficerów Kgb z Waszyngtonu i Nowego Jorku.

Brakowało ostatniego raportu

"Błękitnego". Oznaczało to, że

Swierdłow zamierza przejść na drugą stronę na Barbadosie.

Ambasador miał rację: pułkownik wiozł dla Anglików prezent.

Jeśli mu się powiedzie, Kgb straci swego najważniejszego agenta od czasu Philby'ego.

Golicyn miał ochotę zawyć, jakby przeszył go przenikliwy ból; tymczasem grupkę mężczyzn w archiwum otaczała przenikliwa cisza, bardziej wymowna od słów.

Przerwał ją generał.

W całym swoim życiu tylko dwa razy podjął znaczące decyzje bez odwoływania się do wyższych władz: kiedy schował książki aresztowanego nauczyciela i kiedy wznosił czerwony sztandar nad swoim oddziałem i dał sygnał do marszu na Petersburg.

Ta decyzja była trzecia z kolei i zapewne ostatnia.

- Nie mogę czekać na instrukcje generała Paniuszki - powiedział. - Swierdłow wykradł akta "Błękitnego".

Należy go powstrzymać. - Nikt nic nie powiedział, ambasador odsunął się chcąc pozwolić mu przejść i Golicyn wrócił do swego biura.

Kilka godzin później z San

Francisco wyleciał mały wycarterowany samolot odrzutowy z czterema ludźmi na pokładzie, lądując na lotnisku Seaways na Barbadosie o piątej rano.

Czterej pasażerowie, sami mężczyźni, legitymowali się kanadyjskimi paszportami.

Poinformowali zaspanego celnika, że zwiedzają wyspy w tym rejonie. Sprawiali wrażenie ludzi bardzo zamożnych, a jeden wydawał się lekko podpity. Po długim okresie oczekiwania, podczas którego narzekali głośno, odjechali wynajętym samochodem, podając adres najbardziej ekskluzywnego hotelu na atlantyckim wybrzeżu wyspy, będącego dawniej pałacikiem zbudowanym przez Sama Lorda, znanego w historii Barbadosu właściciela niewolników i przemytnika. To usłyszeli obecni na lotnisku przedstawiciele miejscowych władz. Dopiero później, kiedy rozpoczęło się śledztwo, okazało się, że nikt w "Zamku Sama Lorda" nic o nich nie słyszał.

Kiedy wylądowali na lotnisku

Seaways, panowały ciemności. Noc była niezwykle mroczna, bez błyszczącego księżyca, jaki pamiętała Judith; za to gwiazd było bez liku. Wiał łagodny pasat, owiewając ich chłodnym powietrzem i poruszając gałęzie drzew. Na ziemi stały kałuże wody. Rozpoczęła się pora deszczowa, o czym zapomniała.

Swierdłow trzymał ją pod rękę stawiając długie kroki i zmuszając się do szybkiego marszu. Podróż dłużyła się straszliwie, a wskutek krótkiego sztormu nad Karaibami podejście do lądowania było nieprzyjemne.

Była to najgorsza podróż w jej życiu, gorsza nawet od krótkiej jazdy samochodem policyjnym do kostnicy, gdzie miała zidentyfikować pokiereszowane zwłoki swego męża po wypadku samochodowym. Przyglądała się podejrzliwie każdej twarzy: nielicznym biznesmenom rozsianym pośród grup ludzi najwidoczniej udających się na wyspę na urlop, zastanawiając się, którzy z nich podróżują na koszt Kgb.

Pochyliła się ku Swierdłowowi przyznając mu się szeptem do swoich lęków.

- Nic się nie martw - powiedział. - Nawet jeśli ktoś z nich tu jest, to nic nie robi.

Uspokój się; poczytaj "Look" i pozwól mi trzymać cię za rękę. - Kiedy się spotkali, był jak zwykle w nastroju ironicznym; w drodze na lotnisko im.

Kennedz'ego naigrawał się z niej. Po raz pierwszy skorzystał ze służbowego samochodu ambasady z szoferem. W samolocie jednak jego nastrój uległ zmianie.

Usiedli w fotelach i przez chwilę trzymał dłoń na jej ramieniu. Nie było w tym geście drwiny ani przekornej pewności, że go nie odtrąci. Patrzył na nią łagodnym wzrokiem, którego bała się bardziej niż figlarnego i kuszącego spojrzenia, jakie ścigało i oczarowywało ją w czasie jej pierwszej wizyty na Barbadosie.

Teraz, stojąc w hali recepcyjnej, przechodząc przez kontrolę celną, podając paszport policjantowi w białym mundurze, Judith miała poczucie osiągnięcia ostatecznego celu, jak gdyby wyspa oznaczała dla nich obojga kres podróży. Trudno było poczuć się tu jak w domu, w miejscu, w którym spędziła zaledwie dwa tygodnie i to prawie dwa miesiące temu. Ale miękkie powietrze, nieuchwytny zapach tropiku, nie słabnący wietrzyk - szorstki miejscowy akcent wywodzący się z zachodniej Anglii i przejęty przez niewolników, przodków obecnych mieszkańców wyspy, kiedy uczyli się angielskiego - to wszystko było jej znajome.

Było również nielogiczne; nieufnie odnosiła się do wszystkiego, co wiązało się z nerwami, a po trzech latach życia w Stanach określenie "neurotyczny" było tak powszechnie i bez zastanowienia stosowane, że straciło jakiegokolwiek znaczenie. Teraz jednak jej reakcje były zdecydowanie neurotyczne; nie kierował nimi rozum, tylko emocje, które zepchnęły zdrowy rozsądek na plan dalszy. Byli tu przejazdem, zwłaszcza Swierdłów, i mieli spędzić najwyżej jeden dzień i noc. Trudno było mówić o dotarciu do bezpiecznej przystani, dla niego to dopiero pierwszy etap podróży. Jechali do hotelu w milczeniu. Swierdłów odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Pomyślała nagle, jak bardzo jest zmęczony; napięcia ostatnich dwóch tygodni postarzyły go. Zawsze był szczupły i dobrze umięśniony, ale teraz był odrobinę za chudy.

Jakiś impuls kazał jej wsunąć mu rękę pod ramię; natychmiast otworzył oczy i uśmiechnął się do niej.

- Nie martw się - powtórzył. -

Teraz, kiedy już tu jesteście, mam wrażenie, że wszystko potoczy się gładko.

Ona nie. Niewiele brakowało, by powiedziała to na głos. Może była przewrażliwiona i ulegała neurotycznym lękom, ale nic na to nie mogła poradzić; nie uważała, by wszystko było w porządku, ale nie potrafiła wytłumaczyć, skąd brało się to uczucie...

Wpisali się do księgi hotelowej; recepcja wyglądała inaczej w elektrycznym świetle; chociaż nie było ich tu tylko przez kilka tygodni, dekoracje wydawały się wyblakłe, a prowadzący hotel mężczyzna wyglądał starzej; afisz reklamujący rejs repliką pirackiego statku "Jolly Roger" wciąż wisiał na swoim miejscu, trzymając się na trzech pinezkach. Gdy Swierdłów wpisywał się do księgi, ona zaczęła czytać reklamę na plakacie. "Kanapki i poncze rumowe w barze - autentyczna atmosfera karaibskiego statku korsarskiego". Ogarnęło ją przerażenie. Reklama przywołała jej na myśl obraz podtatusiałych biznesmenów z brzuchami wylewającymi się z nad ohydnych szortów, upijających się w "autentycznym" barze wśród podrabianych kul armatnich i produkowanych masowo kordów pirackich. Wszędzie krzyki, rozbrykane dzieci i znużone żony. Swierdłów stanął obok niej.

- Nie mów mi, że chcesz nim popłynąć.

- O nie, dziękuję. - Odwróciła się w stronę recepcji, przywitała z zarządcą i wpisała do księgi. - Nie, nie przepadam za tego rodzaju rozrywkami.

Poczuła, jak manager hotelu przygląda się jej próbując dociec, co też ona i jej rosyjski przyjaciel uważają za zabawne. Jezu, pomyślała, gdybyś ty tylko wiedział, po co tu przyjechaliśmy, ty obrzydliwy stary rozpustniku...

Bungalow był identyczny z tym, jaki zajmowała poprzednio; był tu taki sam ogromny salon z dużym stołem i krzesłami, mała kuchenka z boku, wąski korytarz prowadzący do drzwi wejściowych, wiszące schody prowadzące do sypialni i łazienki na piętrze.

Rozsuwane szklane drzwi były zamknięte; słychać było fale napierające na piaszczystą plażę i stłumiony chór cykad dochodzący z drzew. Swierdłow dał napiwek portierowi, który przyniósł ich bagaże, po czym podszedł do Judith.

- Chcesz trochę popływać?

Dobrze by nam to obojgu zrobiło.

- Nie - powiedziała szybko. -

Nie. Loder mówił, byś nie wychodził z bungalowu! Masz siedzieć w środku.

- Przez dwa dni? Mam nie wychodzić z pokoju przez dwa dni?

- Fiodor, na miłość boską, nie sprzeczasz się. Tak właśnie powiedział. "Siedźcie w środku, dopóki ktoś nie przyjdzie, by zabrać go do samolotu".

Swierdłow ruszył po schodach do sypialni.

- Jestem zmęczony i jest mi gorąco. Popływam trochę w basenie, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy. - Judith pobiegła za nim.

- Nie bądź takim upartym głupcem! Dlaczego nie zastosujesz się do zaleceń Lodera?

Słyszała, jak chodzi po pokoju na górze i przebiera się. Drżała ze strachu. W bungalowie był bezpieczny; Loder nie wydawałby takich poleceń bez powodu.

Dlaczego Swierdłow nie może być rozsądny i nie wychodzić na dwór; dlaczego kusi niebezpieczeństwo? Pobiegła na górę. On stał już na szczycie schodów; był w slipach, a na ramieniu miał ręcznik.

- Skoro się o mnie martwisz, chodź ze mną.

Kiedy dotarła do basenu, on był już w wodzie, płynąc leniwie na plecach. - Woda jest bardzo ciepła - zawołał do niej. - Kąpiel dobrze ci zrobi.

JUDITH rzuciła mu wściekłe spojrzenie i zanurkowała.

Popłynął dalej i objął ją ramieniem pod wodą. Znajdowali się blisko krawędzi basenu; on jedną ręką trzymał się barierki, utrzymując ich oboje w zawieszaniu.

- Wiem, co robię - powiedział.

- To pewne, że moi ludzie mnie śledzą; ktoś tu za nami przyjechał. Moja jedyna nadzieja na bezpieczne dotarcie do samolotu Lodera, to naturalne zachowanie. Muszę się zachowywać tak, jakbym po prostu przyjechał tu z tobą na weekend. Przestań mnie kopać.

- Nie przekonasz mnie - szepnęła; przyciskał ją do swej nagiej piersi. - Loder mówił, byś siedział w środku...

Swierdłow nagle puścił się krawędzi basenu i oboje zanurzyli się pod wodą. Po chwili wyniósł ją na powierzchnię i obejmując jej ciało ramionami pocałował ją.

- Znam się na tym lepiej od

Lodera. O wiele lepiej. Nigdy jeszcze nie byłem tak blisko ciebie. Popłyn kawałek, a ja opowiem ci, jak zakradałem się tutaj, by cię obserwować, gdy pływałaś sama w środku nocy...

Upał się, by przed pójściem do bungalowu wypić jeszcze jednego drinka. W sypialni na górze stały dwa pojedyncze łóżka. Na jednym z nich leżała jego otwarta walizka. Swierdłow wszedł za nią po schodach, a ona odwróciła się w drzwiach sypialni. W basenie objął ją obiema nogami, zamknął w stalowym uchwycie swych ramion i wciągnął pod wodę. Jeśli wejdzie za Judith do sypialni, zanim uda się jej pozbierać, nie zdoła go już stamtąd wyrzucić.

- Nie - powiedziała. - Proszę, Fiodor, nie po to tu przyjechaliśmy.

Nie zamknęła mu drzwi przed nosem, lecz czekała, aby sam wyszedł. Przez chwilę stali wpatrując się w siebie; oboje byli mokrzy, krople wody ciekły mu po piersi i pod nogami miał małą kałużę; było jej zimno, jakby nie miała na sobie kostiumu, tylko stała przed nim naga.

- Gdybym cię poprosił, naprawdę potrafiłabyś odmówić?

- Nie prosz, błagam cię. Jest mi zimno, mokro i okropnie się boję...

Położył rękę na jej karku; przypomniała sobie, że robił to podczas ich poprzedniego pobytu na wyspie. Jego usta były bardzo ciepłe. Jego pocałunek mówił: nie teraz, ponieważ mam dla ciebie wiele czułości i potrafię czekać. Ale ten czas nadejdzie; oboje o tym wiemy.

- Idź wziąć gorący prysznic - poradził jej. - Jeśli masz ochotę, zamówię coś do jedzenia.

Dziś w nocy będziemy siedzieć w bungalowie, tak jak kazał pan Loder.

Przy barze siedzieli dwaj faceci, popijali piwo i palili papierosy, pozornie całkowicie pochłonięci podziwianiem spokojnej tropikalnej nocy.

Wprowadzili się do hotelu poprzedniego dnia; nie mieli rezerwacji, po prostu pojawili się tu i po prywatnej rozmowie z zarządcą otrzymali bungalow obok tego zajmowanego przez Swierdłowa. Manager nie pofatygował się nawet, by im wyjaśnić, że ten akurat domek był zarezerwowany dla pary Kanadyjczyków w średnim wieku, którzy co roku przyjeżdżali do hotelu poza sezonem i uważali ten bungalow za swój. Obejrzał tylko uważnie ich legitymacje, zadzwonił zgodnie z ich sugestią do szefa policji, powiedział do telefonu "Tak, oczywiście, jasna sprawa, udzielę im wszelkiej niezbędnej pomocy" i odłożył słuchawkę. Gdy Judith zauważyła jak zarządca przygląda im się zaraz po przyjeździe, zupełnie niewłaściwie zinterpretowała to spojrzenie. On także zatrudnił dwóch dodatkowych ludzi, tubylców, którym zlecił sprzątanie obu bungalowów, co zwykle należało do pokojówki.

Wywołało to liczne komentarze wśród personelu, ponieważ hotel był tylko w połowie zajęty i nie było aż tyle pracy, by usprawiedliwić tę decyzję.

Obsługa hotelu przeżyła kolejny szok, kiedy jeden z nowych pracowników zaczął wyrywać chwasty na klombach przed bungalowami; ogrodnictwem na wyspie zajmowały się wyłącznie kobiety; pod koniec dnia zarządca nie miał innego wyboru, jak wypłacić tygodniówkę pokojówce, szefowi kelnerów i ogrodnicze, która podejrzewała, że zostanie zwolniona, i kazał im trzymać buzię na kłódkę, jeśli nie chcą wylecieć z pracy.

Ponieważ powiedziano mu, że te specjalne środki obowiązywać będą tylko w czasie weekendu, uważał, że będzie mógł na nich polegać i postąpią zgodnie z jego zaleceniami. Tej nocy, kiedy Judith i Swierdłow wprowadzili się do hotelu, leżał w łóżku obok swej kobiety, która była na niego zła, ponieważ nie chciał się z nią kochać.

Zastanawiał się, czy uda mu się sprzedać tę historię którejś z amerykańskich gazet, kiedy już będzie po wszystkim. Nie miał wprawdzie pojęcia, o co chodzi - nie wiedział, dlaczego dwóch agentów brytyjskiej służby bezpieczeństwa obserwuje Rosjanina ani dlaczego dwóch ludzi z barbadoskich służb specjalnych pracuje pod tym lub innym pretekstem za jego oknem.

Nie chce tego wiedzieć, dopóki ten weekend się nie skończy i wszystko nie odbędzie się bez specjalnych problemów. Odwrócił się na bok szykując się do snu.

Wczesnym rankiem, gdy słońce pojawiło się już na niebie, a czarne deszczowe chmury zbierały się nad zachodnim wybrzeżem, mały jacht opłynął cypel osłaniający od morza najbardziej ekskluzywny na wyspie hotel z jego piaszczystymi plażami.

Płynął pod żaglami, chociaż zaopatrzony był też w mały, ale potężny silnik. Wiatr pchał go szybko naprzód i jego dziób pruć pofalowany błękit wody.

Znajdował się blisko ćwierć mili od hotelu w St. James, kiedy żagle zwinięto i rzucono kotwicę. Dwóch ludzi wskoczyło do wody i pływało, wołając coś do siebie i wybuchając śmiechem.

Trzeci mężczyzna łowił ryby. Ze szczytu masztu czwarty z mężczyzn, solidnie zbudowany, o krótko przyszyżonych siwiejących włosach, przyglądał się bungalowom przez lornetkę.

Co pół godziny zamieniał się miejscami z którymś z rybaków.

Dwaj pływacy wrócili na pokład i opalali się.

Ku swemu zaskoczeniu Judith spała bardzo mocno. Swierdłow poprosił ją, by poszła spać na górę przed nim, zaraz po tym jak zjedli kolację. Zamówił butelkę whisky, co niezbyt jej się spodobało i zaproponował, by od razu położyła się do łóżka. Żadne z nich nie sugerowało, że

kiedy przyjdzie na górę to ją obudzi. Kiedy otworzyła rano oczy, łóżko obok było puste i wyglądało, jakby nikt w nim nie spał. Ogarnęła ją panika.

Poderwała się i pobiegła na schody.

- Fiodor! Fiodor?

- Dzień dobry. - Znajdowała się w połowie schodów, kiedy go zauważyła. Kanapa w salonie była rozłożona. Zapomniała o tym, że można z niej zrobić łóżko.

Swierdłow leżał przykryty płaszczem.

- Pomyślałam, że wyszedłeś na dwór. - Zeszła ze schodów; rozboleła ją głowa. Swierdłow wstał i podszedł do niej.

Jednocześnie zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że jej nocna koszula jest dość zwiewna i widać przez nią wyraźnie jej piersi, oraz że butelka whisky jest w trzech czwartych opróżniona.

- Nie jestem już pijany. Ale idź coś założyć na siebie i nie pokazuj mi się w takim negliżu.

- Pobiegła na górę; ubierając się słyszała, jak on krząta się po kuchni. Kiedy wróciła na dół, miała na sobie spodnie i koszulę; on wniósł do salonu tacę z kawą i talerzem owoców.

- Dobrze spałaś - powiedział.

- Poszedłem raz na górę i przyglądałem ci się. Sen był ci potrzebny; byłaś bardzo zmęczona.

- A ty się upiłeś. Dlaczego to zrobiłeś - co byłoby, gdyby coś się stało, a ty byłbyś odurzony alkoholem?

- Nigdy nie jestem odurzony. -

Napił się kawy. Włosy miał nastroszone, a czarne worki pod oczami wyglądały jak górnicze szyby.

- Strasznie tu duszno - zauważyła Judith. - Otwórzmy drzwi i wpuśćmy trochę świeżego powietrza.

POdszedł do niej od tyłu, gdy zmagala się z zamknięciem przy rozsuwanych drzwiach. - Wyglądasz bardzo pięknie podczas snu. Pocałuj mnie na powitanie i nie gniewaj się o whisky; powstrzymała mnie przed dobieraniem się do ciebie.

Na pokładzie jachtu siwy mężczyzna regulował ostrość w lornetce, tak by wyraźnie widzieć dwie postacie stojące obok przeszklonych drzwi.

Sylwetka mężczyzny nabrała ostrości, kiedy oderwał się od mniejszej postaci, chociaż przez tafelę szkła nie można było dojrzeć jego rysów. Obserwator czekał bez ruchu. Nagle przygryzł dolną wargę.

Przeszkłone drzwi powoli otwierały się. Podregulował trochę ostrość i przez jakieś dwie sekundy ujrzał wyraźnie mężczyznę w bungalowie. Opuścił lornetkę i zwrócił się cicho do pozostałych mężczyzn na pokładzie.

- To on. Drugi bungalow od końca. - Człowiek łowiący ryby odłożył wędkę, biorąc do rąk lornetkę i obserwując hotel przez minutę. - Otworzyli drzwi.

- Cała czwórka stała teraz razem i po kolei każdy z nich brał do rąk lornetkę. - Bardzo nieostroźnie - stwierdził siwy mężczyzna. - Bardzo, ale to bardzo nieostroźnie. Spuśćcie łódkę; musimy się pospieszyć.

- Pada deszcz - zauważyła

Judith. - Wygląda, jakby zanosilo się na prawdziwy sztorm. Popatrz, tam płynie mała łódka - cieszę się, że mnie nie ma na tej łupince!

- Jesteś kiepskim żeglarzem?

Spojrzał w stronę, którą wskazała; mały jacht połyskiwał na falach niczym zabawka. - Nie lubię wzburzonego morza. Mój mąż uwielbiał żeglarstwo bez względu na pogodę.

- Wiesz co - nigdy nie opowiadałaś mi o swoim mężu. O swoim kochanku tak, ale o nim nigdy. Dlaczego?

- Może dlatego, że czuję się winna. Spójrz, wiatr wieje z tej strony, lepiej zamknijmy drzwi.

Ja to zrobię; czuję się nieswojo; jesteś tak bardzo widoczny. - Pozwolił jej to zrobić; nie chciał się z nią kłócić ani powiększać zdenerwowania, jakie najwyraźniej odczuwała z jego powodu. Usiadł na kanapie i przyglądał się, jak zamyka drzwi. Nie stawiały oporu, ale ostatnie dziesięć centymetrów szyny było trochę wykrzywione.

Dociągnięcie drzwi do końca wymagało wysiłku. Judith pociągnęła je mocno i wydawało się jej, że zatrząsk wskoczył na miejsce.

- Dlaczego winna? Powiedz mi, co takiego zrobiłaś?

Podeszła do niego i usiadła obok; zapalili i pozwoliła mu objąć się ramieniem.

- Chodzi bardziej o to, czego nie zrobiłam. Powiedziałam ci, że zginął w wypadku. Byliśmy małżeństwem przez trzy lata, ale przez ostatnie dwa już go nie kochałam. Niewielu facetów mam na koncie, prawda - jego i Richarda...

- Ja nie narzekam. Odpowiadasz mi. Skoro kochałaś go przez rok, to z pewnością miał poczucie, że ofiarowałaś mu bardzo wiele; musiał być bardzo szczęśliwy.

- Był szczęśliwy. -

Obserwowała deszcz uderzający o piasek na plaży, podrzucał drobinki do góry niczym pociski.

- Jemu sprawiało przyjemność wszystko, co robił; był człowiekiem zupełnie nieskomplikowanym. To przynajmniej powtarzałam sobie już potem, bo przecież nie miał pojęcia, jak niewielki mieliśmy ze sobą kontakt. Życie było jedną wielką zabawą, przyjęcie za przyjęciem, non stop. Kiedy na to teraz patrzę, to było to piekło na ziemi po pierwszych ośmiu miesiącach, może po roku.

Gdyby nie zginął wtedy, biedaczek, to pewnie bym go opuściła.

- Ja nie pozwolę ci odejść - stwierdził Swierdłow. - Popatrz na deszcz; pamiętasz, że padało, gdy po raz pierwszy rozmawialiśmy, o tam? Ostrzegłem cię, byś nie siedziała pod trującym drzewem.

- Konisza! - powiedziała. -

Pamiętam. Chciałam czytać i leczyć swe rany, a ty nie chciałeś odejść. Jesteś najbardziej upartym mężczyzną, jakiego znam. Powiedz mi: żałujesz, że to tak się ułożyło, że będziesz musiał żyć na wygnaniu, ukrywać się i uciekać?

- Wcale się nie ukrywam - uśmiechnął się. - Czekam tylko, aż przestanie padać, a wtedy pójde popływać. A co do tego, czy mi przykro... - Wzruszył ramionami, a potem ścisnął ją mocniej. - Jestem Rosjaninem, a my wierzymy w Przeznaczenie. W gruncie rzeczy to my je wymyśliliśmy, podobnie jak bajki. Dzięki temu, jeśli coś wyjdzie nie tak, to nie nasza wina, to Przeznaczenie. Nie jestem zachwycony, że muszę wyjechać i mieszkać z panem Loderem, ale cieszę się, że nie znajduję się w tej chwili na Łubiance. Wielu ludzi, z którymi pracowałem, nie będzie miało takiego szczęścia. Kiedy przyjedziesz do Anglii? Za miesiąc? Możesz dać Nielsonowi trochę czasu na znalezienie nowej sekretarki.

- Fiodor, ja nie przyjadę.

Dobrze wiesz o tym, więc przestań żartować na ten temat.

Chciałabym otrzymać jakąś informację od Lodera. Obiecał załatwić przelot na sobotę wieczór; dlaczego nie czekała tu na nas żadna wiadomość?

- Na pewno przyjdzie. A ja jestem gotów. Mam to, co obiecałem, w tamtej teczce.

- Mówisz o tych aktach, o których wspominałeś. W sprawie "Błękitnego". Pamiętam, jak spytałeś mnie o to określenie tego wieczoru, kiedy rozmawialiśmy z Piotrem Nlemenowem. Prawdziwy błękit.

Sądę, że masz rację; to może być Anglik posiadający bardzo specyficzne poczucie humoru.

Dokąd idziesz?

- Przestało padać. Idę na górę ogolić się, a potem idziemy na basen i będę kochał się z tobą w wodzie. Nie mów mi, że nie powinienem wychodzić, bo tak kazał Loder. Kiedy znajdziemy się w Anglii, będzie mógł traktować mnie jak więźnia, ale nie przedtem.

Poszedł na górę, zanim Judith mogła podjąć ten temat. Po chwili zadzwonił telefon.

- Pani Farrow?

- Tak. Kto mówi? - Na górze zaczął szumieć prysznic; słyszała, jak woda uderza o kafelki, a Swierdłow podśpiewuje coś, fałszując niesamowicie.

- Mamy miejsce w samolocie odlatującym o dziewiętnastej trzydzieści dziś wieczorem.

Proszę przekazać swojemu przyjacielowi, by był gotowy o osiemnastej. Przyjedziemy po niego.

- O, dzięki Bogu - wykrzyknęła. - Całe szczęście.

Zaczynałam już myśleć, że coś się nie powiodło. Niech pan posłucha, on nie chce siedzieć w bungalowie - nic na to nie mogę poradzić, po prostu nie chce. Za kilka minut wybiera się popływać w basenie...

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza. Głos mężczyzny, który przekazał te informacje stał się przytłumiony; zasłaniał ręką słuchawkę mówiąc coś do kogoś innego.

- Czy wyjaśniła mu pani, że takie są nasze polecenia?

- Tak. Powiedziałam mu wszystko zgodnie z tym, co od was usłyszałam. Ale zeszłej nocy też nie chciał mnie słuchać. Za chwilę tu zejdzie. Niech to szlag, a teraz wychodzi słońce...

- W porządku, pani Farrow, proszę się nie martwić. Będziemy mieli na niego oko. - Był to głos człowieka wykształconego, młodego, przyzwyczajonego do wydawania rozkazów.

Odwróciła się i spojrzała na plażę. Była wciąż pogrążona w ciemności, a piasek był poznaczony przez krople deszczu, ale zza chmur wychodziło już słońce, przypominając na tle jasnego błękitu iskrzący się klejnot. Brzegiem szło trzech mężczyzn; mieli z sobą piłkę, którą rzucali do siebie. Judith skierowała wzrok z powrotem na pokój. Woda w prysznicu przestała lecieć i ustał też śpiew. Poczula wielką ulgę; samolot był zaklepany, ludzie Lodera znajdowali się w pobliżu, musieli jeszcze tylko przeczekać sześć godzin. Weszła na górę i zapukała do drzwi łazienki.

- Zadzwonili. Wszystko przygotowane. Przyjadą po ciebie o osiemnastej i zawiozą na lotnisko. - Nagle oparła się plecami o drzwi; zrobiło jej się słabo. - Byłam taka zdenerwowana. Bardzo się o ciebie bałam. Dzięki Bogu, to już prawie koniec.

- Zjemy dobry obiad -

Swierdłow zawołał przez drzwi. W jego głosie też dała się słyszeć ulga, prawie tak wielka jak jej.

- Napijemy się szampana.

Przygotuj się i zejdź szybko na dół. Duszeńko - byłaś bardzo dzielna.

Nagle drzwi otworzyły się i pojawiła się ociekająca wodą ręka.

Judith ujęła ją w swoją dłoń i ścisnęła przez chwilę. Żadne z nich nic nie mówiło. Ze wszystkich rzeczy, jakie później sobie przypominała, ta chwila porozumienia bez słów była wspomnieniem najbardziej bolesnym.

Poszła do swego pokoju, zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Słyszała, jak Swierdłow wychodzi z łazienki i schodzi na dół. Z wysiłkiem zaczęła się przebierać w kostium kąpielowy.

Za kilka godzin on znajdzie się w samolocie do Anglii. Ludzie Lodera są w pobliżu i mają go na oku. Swierdłow miał rację; jej lęki były przesadne i niepotrzebne. Nie było żadnego powodu, dla którego w chwili, gdy byli bardziej bezpieczni niż przedtem, lęki te powracały z

taką siłą, że omal nie pobiegła do drzwi i nie krzyknęła do niego, by zaczekał i nigdzie nie wychodził...

Na zewnątrz bungalowu wiatr potrząsał drzewami i uderzał o powierzchnię wody, tworząc pianę na falach; słońce paliło, a kilku kąpiących się odważyło się wejść do wody i pływać blisko brzegu. Mały jacht zakotwiczony trochę dalej kołysał się na martwej fali. Kiedy Swierdłowa zszedł na dół, rozsuwane drzwi uchyliły się odrobinę, a wiatr wpadł przez szparę niczym czyjaś ręka. Pchane wiatrem drzwi rozsunęły się o kilka centymetrów i pod własnym ciężarem coraz bardziej nabierały rozpędu.

Na plaży w pobliżu bungalowu trzech mężczyźni grali w piłkę; wyraźnie widać było sylwetkę Swierdłowa, gdy przeszedł przez pokój od strony schodów. Trwało to mgnienie oka, ponieważ część salonu na dole znajdowała się w cieniu mieszczącej się nad nim sypialni i nie można było z zewnątrz zobaczyć osoby tam się znajdującej.

Drzwi przestały się odsuwać.

Były otwarte na jakieś trzydzieści centymetrów. Piłka uderzyła w pierś jednego z mężczyzn, który upuścił ją na piasek; był on częścią podstawy trójkąta - jego wierzchołek stanowił trzeci z mężczyzn, stojący na szeroko rozstawionych nogach, z głową odrzuconą do tyłu. Był dobrze zbudowany, miał silnie umięśniony tors, ale jego włosy były siwe i krótko przycięte. Nagle wyrzucił prawe ramię do przodu, jego ciało podążyło za tym rzutem; coś małego i ciężkiego przeleciało sześć metrów dzielących plażę od bungalowu, znikając w wąskiej szczelinie między drzwiami a ścianą.

Judith stała w drzwiach sypialni; usłyszała huk jakby wystrzeliła raca. Cały salon wyglądał, jakby roztopiał się w blasku oślepiających żółtych płomieni. Słyszając trzaski ognia rozprzestrzeniającego się z niesłychaną szybkością, otoczona żarem tak intensywnym, jakby w pokoju pod nią wybuchł wulkan, upadła do tyłu, a jej krzyki przerywały poranną ciszę, dopóki nie zagłuszył ich zwycięski ryk wszechogarniającego ognia.

Fergus Stephenson miał zwyczaj czytania amerykańskich i brytyjskich gazet przed pójściem do biura. Zjadł śniadanie w swoim gabinecie: skromny posiłek składający się z chrupkiego chleba, gorzkiej marmolady i herbaty. Jedząc zaczął lekturę od gazet brytyjskich, w których łatwo było przewracać strony jedną ręką, a dopiero później zabrał się do grubych jak cegły pism amerykańskich. Czytał szybko nie opuszczając żadnej wiadomości, choćby zupełnie nie znaczącej, ale związanej ze światowymi wydarzeniami politycznymi, gospodarczymi i społecznymi. Akapit w dziale wiadomości zagranicznych był dobrze umieszczony, opatrzony tytułem wydrukowanym grubą czcionką.

"Obywatel sowiecki ginie w płonącym hotelu". Stephenson odstawił filiżankę na tacy.

Notatka nie była zbyt długa; wiele szczegółów pozostawało nieznanymi. Podano tylko suche fakty, które udało się ustalić.

Sowiecki turysta podający się za

F. G. Swierdłowa padł ofiarą pożaru w bungalowie hotelu w St.

James na cieszącym się dużą popularnością wśród turystów zachodnim wybrzeżu Barbadosu.

Angielka, pani J. Farrow, mieszkająca w Nowym Jorku, została uratowana i przebywa w szpitalu.

Przyczyna pożaru nie była znana, ale podejrzewa się awarię instalacji elektrycznej.

Bungalow spłonął doszczętnie, a sąsiednie budynki zostały poważnie uszkodzone. I to wszystko. Stephenson spojrział na datę. Stało się to trzy dni temu. Sowiecki turysta F. G.

Swierdłowa. A więc jego ostrzeżenie dotarło na czas.

Zaznaczył tę notatkę. Jego sekretarka przegląda gazety w biurze i wycina zaznaczone przez niego fragmenty. Dolał sobie herbaty do filiżanki, chociaż była letnia i niesmaczna.

Przykro mu było z powodu Judith

Farrow; miał nadzieję, że jej obrażenia nie są zbyt poważne.

Później będzie miał czas, by zadzwonić do Lodera i zaprosić go na obiad.

Spotkali się w miłej restauracyjce z dala od centrum.

Nie należała do miejsc odwiedzanych przez dyplomatów, ale zbierali się tam czołowi komentatorzy polityczni stolicy.

Fergus zagadał do kilku, zwracając się do nich po imieniu. Zawsze bardzo się starał utrzymywać dobre stosunki z prasą. Cieszył się wśród nich sporą popularnością.

Usiedli przy stoliku w rogu sali, skąd mieli widok na piękną szeroką aleję za oknem; sala była klimatyzowana i panowała tu miła atmosfera. Wydawało mu się, że Loder jest błądy i wygląda na przygnębitego. Pod pachami miał plamy od potu.

- Przeczytałem notatkę o

Rosjaninie, który zginął w płomieniach na Barbadosie - powiedział Fergus. - Chodzi o tę samą parę, o której rozmawialiśmy kilka tygodni temu, prawda; o przyjaciółkę Dicka Patersona?

- Tak - potwierdził Loder.

Podano im kartę; zamówił melon i kurczę w beszamelu. Nie znosił ogromnych amerykańskich steków zajmujących cały talerz; twierdził, że smakują jak wata z trocinami. Usłyszał, jak Fergus poprosił o omlet i sałatkę z raków.

- To jakaś dziwna sprawa -

Stephenson powrócił do tematu.

- Delikatnie mówiąc - Loder szufłował łyżeczką swego melona.

- Obawiam się, że spaprano tę sprawę. I to moja wina.

- Tak? Na pewno nie - Fergus powiedział łagodnie. - Może mi pan powiedzieć, co się stało?

- Czemu nie - Loder potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie, jakby cieszył się z okazji do rozmowy oraz współczucia okazywanego mu przez Stephensona. - Źle to wszystko zinterpretowałem; Swierdłow nie usiłował zwerbować pani Farrow, lecz chciał przejść na naszą stronę. Wszystko zostało przygotowane; pojechali razem na Barbados dla zmylenia przeciwnika. Stamtąd mieliśmy go zabrać do Anglii.

- Dobry Boże! - Postawiono przed nimi drugie danie, ale Loder ciągnął dalej.

- On był tu najważniejszym facetem w sowieckiej ekipie, jego przejście na naszą stronę byłoby nie lada wyczynem. Ale ktoś musiał ich uprzedzić. Byli przygotowani na jego przybycie na wyspę.

- I stąd ten pożar - wtrącił

Fergus. - To nie był wypadek?

- Wypadek? - Loder roześmiał się gorzko. - Trudno o wypadek, gdy ma się do czynienia z napalmem, a jego właśnie użyli Rosjanie.

Fergus wstrząsnął dreszcz.

Wolałby, aby Loder mu o tym nie powiedział. - Wyobrażam sobie. A co z tą dziewczyną?

- Poparzona. Ale ma szczęście, że żyje. Była w pokoju na górze.

Nasi ludzie wybili okno i wydostali ją.

- Gdzie był Swierdłow?

- Na dole. Nie miał najmniejszej szansy. Napalm jest straszny na otwartej przestrzeni. Proszę sobie wyobrazić, jak to wygląda w zamkniętym pomieszczeniu...

- Wolałbym nie - Fergus wypił łyk wina. Był bardzo błądy. - Coś straszego.

- Twierdził pan kiedyś, że zajmujemy się brudną robotą - powiedział Loder. Zabrał się do jedzenia, ale bez apetytu. - To dobrze oddaje sprawę. Będę musiał odwiedzić panią Farrow; jestem jej to winien. Niezbyt mnie cieszy ta perspektywa.

- Zrobił pan wszystko, co było możliwe. Jestem pewien, że to nie była pańska wina.

- Mógłby pan to powiedzieć mojemu szefowi. Dobry ten kurczak.

- Lubię tutejsze jedzenie -

Fergus pomógł mu zamknąć ten temat.

Spędzili tam prawie dwie godziny, rozmawiając o książkach i pewnej kontrowersyjnej wystawie dzieł sztuki otwartej właśnie w Nowym Jorku. Loder przyznał jakby ze wstydem, że chyba pojedzie ją zobaczyć.

Kiedy wychodzili z restauracji było uzgodnione, że Fergus weźmie jeden wolny dzień i pojedzie razem z nim. Wrócił do biura w pogodnym nastroju, pełen chęci do pracy i prawdziwie uradowany czekającą go wyprawą z Loderem. Chociaż Loder był dość niezwykłym kandydatem na jego przyjaciela, przepaść klasowa dzieląca go od niego coraz mniej mu przeszkadzała. Od lat nie spotkał nikogo, w którym towarzystwie mógłby odprężyć się i dzielić wspólne zainteresowania. Zadzwoił po swoją sekretarkę i rozpoczął dyktowanie długiego listu. Czuł się zupełnie inaczej niż przez ostatnie dwa tygodnie; życie w strachu odcisnęło na nim większe piętno niż zdawał sobie z tego sprawę. Teraz umysł miał jasny i odzyskał dawną energię.

Swierdłow nie żyje, a jego wiedza o "Błękitnym" zginęła wraz z nim podczas tego makabrycznego pożaru. Starał się zapomnieć o tym, co powiedział mu Loder: napalm w zamkniętym pomieszczeniu. Lata podwójnego życia nauczyły go dyscypliny koniecznej, by przeszłość nie mieszała się z terażniejszością.

Człowiek zajmujący się tym, co on, nie mógł pozwolić sobie na luksus opłakiwania lub rozkoszowania się wspomnieniami.

Nie liczyło się nic poza chwilą obecną. Nie przyszło mu nawet na myśl, by powiedzieć żonie, co się stało. Ona też nigdy nie poruszyła tego tematu i coś mu mówiło, że nigdy go nie poruszy.

Pomimo jej całego braku wrażliwości, było to coś, o czym wolałaby nie wiedzieć. A on mógł też pozwolić sobie na zapomnienie. Poczucie zagrożenia należało do przeszłości; był teraz bezpieczny.

Pokój w klinice im. św.

Patrycji był cichy i pogrążony w cieniu; przez prawie trzy tygodnie Judith wyglądała przez okno na atrakcyjny ogród porośnięty zieloną trawą, którą nieustannie podlewano, by uchronić przed palącym słońcem; uporządkowane klomby z jaskrawopurpurowymi kallami i piękny choć zniekształcony uroczyn czerwony, którego łagodny zapach roznosił wiatr.

Za ogrodem lśniła w słońcu fala błękitnego morza; dwa razy widziała duży statek pasażerski przemykający na horyzoncie.

Przychodziły też sztormy i niebo ciemniało, a ulewa biła o szyby.

W nocy krajobraz przypominał księżycową pustkę. Nie było widać żadnych świateł; morze, ogród, uroczyn czerwony i palmy na plaży istniały tylko w świetle księżyca; kiedy chował się za chmurami, wszystko znikało. Z boku za oknem rósł wysoki tamaryndowiec, a jego wysmukłe gałęzie uginały się na wietrze. Rozsypywał mnóstwo strączków ciężkich od dojrzałych nasion. Na prośbę Judith zakonnice przesunęły łóżko tak, by nie mogła go widzieć. Kiedy czuła się już lepiej, wstawała z łóżka i siadywała na krześle.

Nie miała ochoty czytać; nie chciała słuchać radia, które jej przyniesiono. Spędzała czas oglądając ogród i patrząc na morze. Oparzenia drugiego stopnia na nogach zagoiły się.

Na prawym ramieniu miała głęboką ranę od szyby okiennej, którą skaleczyła się, gdy próbowała uciec z płonącego bungalowu; tę bliznę będzie nosić do końca życia. Wspomnienia tego poranka mieszały się jej w głowie; jej umysł odrzucał pewne szczegóły, ponieważ wrażenie horroru było zbyt żywe, by można je było zaakceptować. Wszystko trwało bardzo krótko, jak zrozumiała później, chociaż te chwile, gdy krzyczała i waliła w okno zdawały się trwać wieczność. Z piekła na dole przedostawał się do sypialni dym i płynęła fala gorąca; ogień ryczał niczym ranne zwierzę, liżąc ściany i schody, które zamieniły się w morze płomieni. Judith już traciła przytomność, gdy dwóch barbadoskich policjantów pełniących służbę na zewnątrz rozwaliło okno siekierą i wyciągnęło ją na zewnątrz.

Ubranie tliło się na niej, a nogi miała poparzone przez ogień tryskający przez podłogę. W dwie minuty po tym, jak wyniesiono ją na dwór, zawalił się dach i cały bungalow otworzył się jak krater wulkanu, wyrzucając w niebo wielki jęzor ognia.

Zabrano ją do Świętej

Patrycji, a nie do nowego szpitala w Bridgetown. W tej prywatnej klinice łatwiej było pilnować jej pokoju i dyskretnie kontrolować osoby odwiedzające.

Kiedy była już gotowa do opuszczenia szpitala, wszyscy "opiekunowie" zostali zdjęci z posterunku. Nikt nie miał zamiaru nic jej zrobić. Nikogo nie interesowała, żywa czy martwa; dostali Swierdłowa i tylko to się liczyło. Tak więc Anglicy wycofali obstawę. Na terenie szpitala pozostał jeden barbadoski policjant, ale był to zaledwie gest.

W pierwszym tygodniu przyleciała Nancy Nielson.

Siedziała przy jej łóżku trzymając Judith za rękę, przekazując jej pozdrowienia od Sama, powtarzając wytarte zwroty o tym, że musi się trzymać i niczym nie przejmować; próbowała złagodzić cierpienie kogoś, kogo nie można było pocieszyć. Judith odczuwała ból pomimo otępienia wywołanego działaniem środków przeciwbólowych. Jednak żadne wynalazki medycyny nie mogły złagodzić jej psychicznych cierpień. Ucieszyła się z przyjazdu Nancy i jej słów pocieszenia. Miło było wiedzieć, że Sam oferuje jej wszechstronną pomoc; że jej znajomi przesyłają pozdrowienia. Pewnego dnia pojawił się nawet zarządca hotelu z kwiatami. Doceniała, że ludziom jest przykro z powodu tego, co się stało i próbują jej pomóc. Nic jednak nie mogli poradzić.

Nikt nie mógł przywrócić życia człowiekowi, którego głos słyszała wyraźniej niż niosące jej słowa pociechy głosy żywych, ani zastąpić ciepłej ręki, która dotykała jej, chociaż żadne z nich nie zdawało sobie sprawy, że to ich ostatni fizyczny kontakt.

On nie żył. Zszedł po schodach, słyszała jego kroki przemierzające podłogę. W kilka sekund później przez drzwi wpadła mała bomba rozbryzgując swą śmiercionośną zawartość po całym pokoju.

Odwiedził ją też pewien obcy mężczyzna; nie podał swego nazwiska. Miała niejasne wrażenie, że już kiedyś z nim rozmawiała. Zapytał, czy jej czegoś nie potrzeba i czy nie chce, by załatwić za nią jakieś sprawy związane z jej powrotem do Stanów. Potrząsnęła przecząco głową. Niczego nie potrzebuje.

Opowiedział jej, jak ją uratowano; wyjaśnił, że przez rozsuwane drzwi wrzucono bombę.

Gwałtowne rozprzestrzenienie się ognia wytłumaczył faktem, że użyto napalmu. Nie zadała jedynego pytania, które miało jakiegokolwiek znaczenie. Nie było takiej potrzeby, ponieważ i tak знаła odpowiedź. On sam też nic na ten temat nie powiedział. Na koniec wyciągnął rękę ze słowami: "Do widzenia, pani Farrow. Bardzo mi przykro".

Kiedy wyszedł, przypomniała sobie, że miał taki sam głos, jak mężczyzna, który zatelefonował na kilka minut przed pożarem, by powiadomić ich o miejscu w samolocie.

Teraz czuła się dostatecznie dobrze, by opuścić klinikę.

Zakonnice okazały zrozumienie dla jej pragnienia, by pozostawić ją w spokoju, i jej niechęci do powrotu do świata zewnętrznego. Zaproponowały, że może mieszkać tu w osobnym pokoju jak długo zechce.

Zupełnie, jakby spokojna i wesoła Szkotka, siostra przełożona, rozumiała, że jej ciało goi się o wiele szybciej niż psychika. Jednak ucieczka na zawsze była niemożliwa. Kiedy Judith zdała sobie z tego sprawę, nadszedł czas odejścia ze szpitala. Następnego dnia rano przylatywała Nancy, by zabrać ją do domu. Przez jakiś tydzień miała mieszkać z Nelsonami; prosił ją o to Sam, a ona nie miała siły odmówić; poza tym łatwo przychodził jej upór w zaciszu szpitala. Na "wolności" może okazać się, że z zadowoleniem pozwoli, by pani Nielson przejęła całą odpowiedzialność za codzienne sprawy. Judith pochyliła się na krzesło. Była siedemnasta.

Wkrótce od strony morza nadejdzie pierwszy szary dzień, zupełnie jakby ktoś z dołu zasuwiał żaluzje zasłaniając słońce. Przypomniała sobie, że dokładnie tak widziała zmrok na Barbadosie pierwszej nocy spędzonej na wyspie, gdy uciekała od Richarda Patersona i trywialnej, płytkiej przygody z żonatym facetem, gdy wyobrażała sobie, że została zraniona i jest bardzo nieszczęśliwa.

Porównanie z jej obecnym stanem było tak godne pożałowania, że nie myśląc wykonała gwałtowny ruch ręką, aż rana na ramieniu boleśnie przypomniła jej, by tego nie robiła. Nic w życiu nie dotknęło jej tak bardzo jak śmierć Swierdłowa. Utrata ojca, wypadek męża - nic nie obnażyło każdego nerwu tak jak to straszliwe morderstwo mężczyzny, z którym nie żyła i nie przyznawała się, że go kocha.

Nie można było płakać po tej utracie; on wyśmiałby jej łzy.

Szara linia ściemniała i unosiła się coraz szybciej. Wkrótce zapadnie barbadoska noc. Dopóki nie pojawi się jedna z sióstr i nie włączy świateł, była zadowolona z tego, że siedzi w ciemnościach. Ktoś zapukał do drzwi. Nie odwracając się powiedziała: - Proszę.

- Witam, pani Farrow, można zapalić światło?

Był to Jack Loder. Włączył przełącznik koło drzwi i pokój zalało światło ze szklanej kuli u sufitu. Zbliżył się do Judith i wyciągnął rękę. Wyglądała gorzej, niż się spodziewał; podniosła na niego oczy, ale się nie poruszyła. Opuścił rękę, schował ją do kieszeni spodni i chrząknął stropiony. Judith podniosła głos:

- Niech pan się stąd wynosi.

Nie wiem, po co pan tu przyszedł, ale proszę wyjść.

- Rozumiem, co pani czuje -

Loder przysiadł na skraju łóżka splatając swe palce na kolanie.

Kiwał w przód i w tył nogą obutą w wypolerowany jasnobrązowy półbut. - Pomyślałem, że powinienem panią odwiedzić i zobaczyć, jak się pani czuje.

- Dziękuję. Już pan zobaczył, prawda? Nie czuję się zbyt dobrze, więc proszę wyjść.

Wstał z łóżka; jego pojednawcza poza gdzieś zniknęła.

- To nie była moja wina - wyrzucił z siebie. - Nie powinna mnie pani winić. Zrobiłem, co było w mojej mocy. To nie ja zostawiłem dla nich otwarte drzwi!

- Nie - zgodziła się Judith. -

Nie, to ja źle je zamknęłam. O

Boże, nie sądzi pan, że myśl o tym doprowadza mnie do szaleństwa?!

- Straciliśmy też kartotekę

"Błękitnego". Ona również spłonęła.

- Niech pan nie wspomina o tej przeklętej kartotece! Co mnie obchodzi jakaś kartoteka! - Rozpłakała się. Loder widział w życiu kilka płaczących kobiet i nie spotkał żadnej, która robiłaby to z wdziękiem. Jej złamane w pół ciało podnosiło się i opadało, a twarz była ukryta.

Stanowiła uosobienie bólu i

Loder poczuł się nieswojo.

- Proszę tak nie płakać. On nie był tego wart; tak naprawdę, to wcale go pani nie знаła.

Spotkało go to, na co zasługiwał.

Uniosła głowę. - Ależ skurwysyn z pana.

- Był taki sam jak całe Kgb.
- Loder zapalił papierosa. -
Otrzymał po prostu dawkę lekarstwa, które sam przyrządził, ot i wszystko.
Proszę tylko pomyśleć, kim tak naprawdę był, a nie spłynie pani z oczu ani jedna łza.
- Nie obchodzi mnie, kim był.
Spłonął żywcem! Czy to panu nie wystarcza?
- Przykro mi, że została pani zamieszana w tę aferę; może mnie pani nazywać, jak pani chce, jeśli dzięki temu poczuje się pani lepiej. Powiedziano mi, że wróciła już pani do zdrowia i jutro leci do Stanów.
- Tak - przyznała Judith.
Oparła się wygodniej na krześle; wybuch płaczu osłabił ją.
Chciała jedynie, by sobie poszedł, nic więcej.
- Gdyby był pan człowiekiem przyzwoitym - powiedziała - zostawiłby mnie pan w spokoju.
Proszę.
- Okay. - Loder skończył papierosa; znalazł popielniczkę i zgniótł niedopałek. Zbliżył się do niej i położył jej rękę na ramieniu. - Coś pani przyniosłem. Proszę bardzo.
Podał jej kopertę; rozerwała ją niezgrabnie, nie patrząc dokładnie, co robi. Coś wypadło z niej na spódnicę. Podniosła to - coś ciemnego i błyszczącego, o podłużnym kształcie.
- Skąd pan to ma?
- On powiedział, że pani będzie wiedzieć, co to jest - usłyszała z oddali głos Lodera.
- To nasienie tamaryndowca.
Skąd pan je ma? - zapytała szeptem, a jej blada twarz wpatrzyła się w niego.
- Od pani przyjaciela w Londynie. - Jego brzydka, piegowata twarz zachowała surowy i nieprzyjazny wyraz. - Na Boga, niech pani tylko nie mdleje!
Niech się pani weźmie w garść.
- Od jakiego przyjaciela w Londynie? Tylko jedna osoba na świecie posłałaby mi coś takiego...
- Właśnie. - Loder znowu zapalił. - Mówiłem pani, że nie warto płakać. On nie zginął w ogniu, pani Farrow.
- Nie wierzę panu, to niemożliwe.. Słyszałam, jak schodził na dół, a za chwilę wybuchła ta bomba...
- Pamięta pani, że jeden z moich ludzi zadzwonił do pani, a pani mówiła, że on nie chce siedzieć w domku? Cóż, zaczęliśmy się martwić; w pobliżu kręcił się jakiś jacht, co przy tej pogodzie wyglądało dziwnie. Postanowiliśmy więc ukryć go gdzieś do czasu odlotu.
Kiedy zszedł na dół, dwaj moi ludzie czekali już na niego; nigdy nie zorientował się, co go uderzyło. Gdy wynieśli go przez drzwi, przez balkon wpadła bomba. To była kwestia sekund; niewiele brakowało, by oni także zginęli. Ale, jak mówią, diabeł troszczy się o swoich.
- O mój Boże! - powtarzała w kółko Judith. - Mój Boże...
- Woleliśmy utrzymywać, że zginął w środku - kontynuował Loder. - Jego kolesie z Kgb są przekonani, że zginął, a "Błękitny", bez względu na to, kim jest, sądzi, że jest bezpieczny. Nie działa już pod presją i wykrycie go jest tylko kwestią czasu.
- Nie mogę w to uwierzyć -
Judith otworzyła zaciśniętą dłoń i spojrzała na brązowe ziarenko.
- On jest bezpieczny, ale nieszczęśliwy. Pragnie pani.
Obiecaliśmy mu, że postaramy się, by czuł się jak w domu, ale nie ma żadnego przymusu, nie musi pani jechać.
- Nigdy pana nie lubiłam, panie Loder, ale też nigdy nie uważałam pana za głupca.